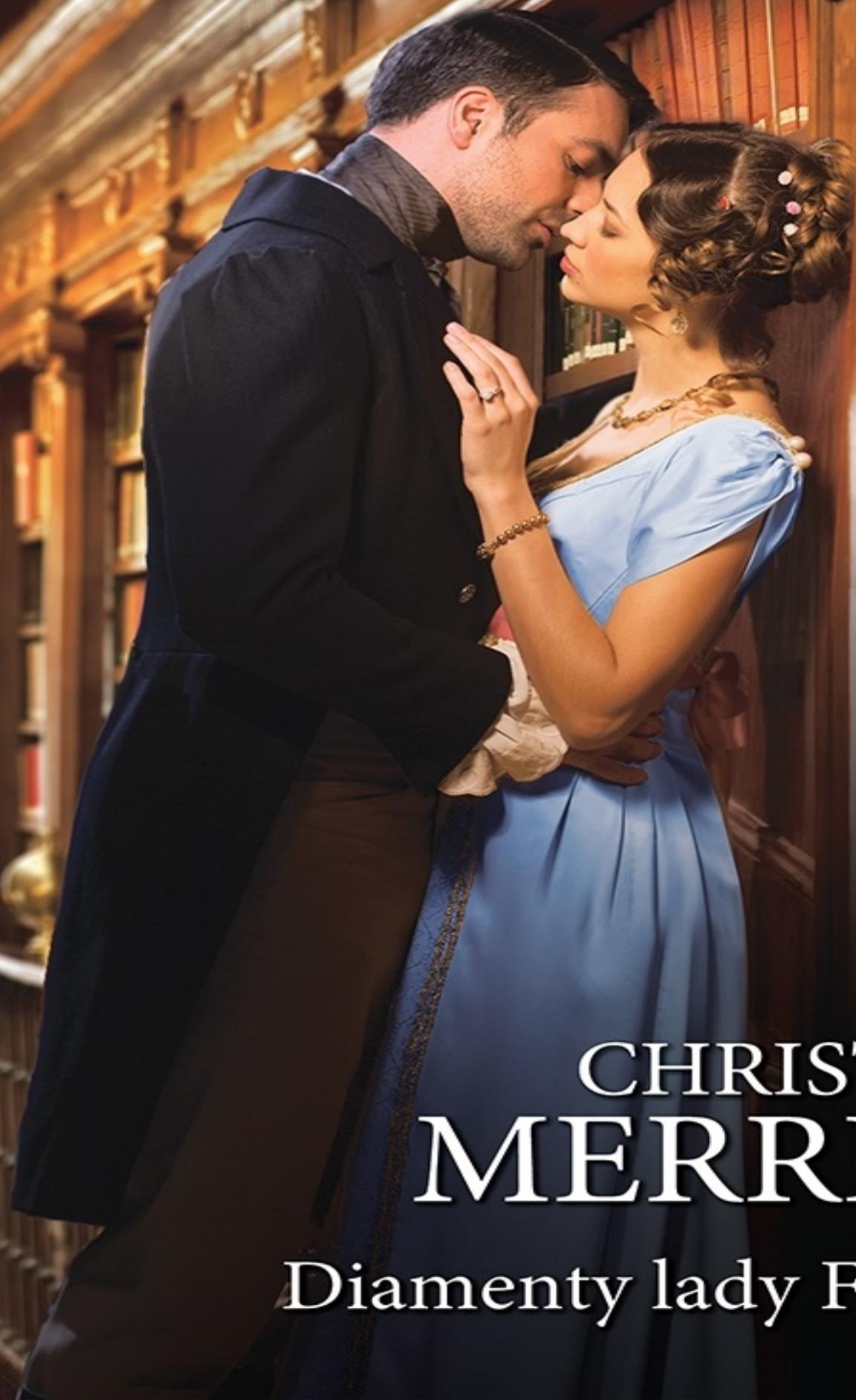
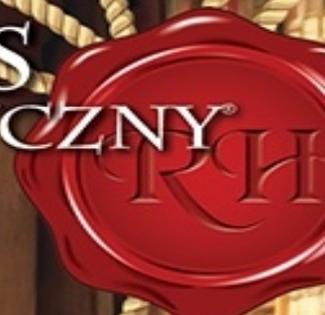




HARLEQUINTM

ROMANS
HISTORYCZNY



CHRISTINE
MERRILL

Diamenty lady Felkirk

Christine Merrill

Diamenty lady Felkirk

Tłumaczenie:

Teresa Komłosz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko mnie boli.

William Felkirk, nie siląc się na otwarcie oczu, przeanalizował ostatnią myśl. Przesadził. Po prostu nie czuł się dobrze. Tak naprawdę dokuczała mu tylko głowa. Każdej operacji umysłowej towarzyszyło powolne, nieznośne pulsowanie w tyle czaszki.

Próbował przełknąć, ale brakowało mu śliny. Ile musiał wypić, żeby się doprowadzić do takiego stanu? Za nic nie potrafił sobie tego przypomnieć. Uroczystość z okazji chrztu bratanka, która odbywała się w domu Adama, przebiegała zdecydowanie zbyt dostojnie, żeby na niej poprzestać. Nie pamiętał jednak, by później dokądkolwiek się wybrał. Zresztą, skoro przebywał w Walii, dokąd mógłby się udać?

Powieki nadal miał zbyt ciężkie, by próbować je unieść, ale nie potrzebował wzroku do odnalezienia kryształowej karafki, stojącej przy łóżku. Łyk wody z pewnością by pomógł, jednak ramię opadło mu bezwładnie. Nie był w stanie zacisnąć zdrętwiałych palców na szyjce naczynia.

Z drugiego końca pokoju dobiegł odgłos podobny do westchnienia, a zaraz potem brzęk tłuczonej porcelanowej ozdoby. Te niezdarne pokojówki... Dziewczyna sprzątała wokół niego, jakby był jednym ze sprzętów. Naprawdę musiała krzyknąć „Budzi się!”, a w dodatku tak głośno, że słyhać ją było w całym domu?

Jakby w odpowiedzi rozległy się pośpieszne kroki, zmierzające do drzwi, i głos, który polecił natychmiast wezwać księcia i milady.

W końcu otworzył oczy i spróbował usiąść, ale otoczenie prezentowało się niewyraźnie, a kręgosłup wydawał się zbyt wiotki, by utrzymać plecy w pionie. Gapił się na sufit i końcówki słupków wystających z ramy łóżka. Nadal przebywał w domu brata, ale przecież Penelope nie nosiła takiego tytułu ani przed poślubieniem Adama, ani obecnie; mówiła nawet ze śmiechem, że nie czuje się wystarczająco dostojnie jak na jej książęcą mość. Choć dopiero co wstała z połogu, miała dość sił, by pełnić rolę pani domu, nie przekazując obowiązków w inne ręce. Kim więc, u diabła, była owa milady?

Musiał się przesłyszeć. Pokręcił głową, co natychmiast wzmogło ból, podobnie jak łomot kroków na schodach i w korytarzu. Że też człowiek nie może w spokoju zмагаć się ze wstydliwą przypadłością w postaci kaca! Znów spróbował przyjąć pozycję siedzącą; poczuł, jak czyjeś ramię podtrzymuje go z tyłu, unosi, jakby był

dzieckiem, i opiera o poduszki.

- Grzeczny chłopiec - usłyszał głos Adama.

Najwyraźniej brat traktował go jak obłożnie chorego. Musiało być z nim gorzej, niż sądził.

- Może łyk wody? - Zamiast kubka, którego się spodziewał, poczuł na wargach dotknięcie zmoczonego ręcznika.

- Cholera! - zaklął i gniewnie szarpnął głową.

W gardle tak mu zaschło, że z trudem wydobywał z siebie głos. Zdołał jednak dać wyraz niezadowoleniu.

- Wolisz w kieliszku? - spytał Adam takim tonem, jakby się zdziwił. - Gdzie jest Justine? Znajdźcie ją, i to szybko.

Will poczuł przy ustach krawędź naczynia. Sięgnął po nie, ale ręka mu drżała tak mocno, że starszy brat musiał mu pomóc się napić.

Kryształowy kielich. Kryształowa woda. Zimna i słodka, spływała mu po języku zdrętwiałym niczym kołek. Pulsowanie w czaszce nieco zelżało.

- Lepiej - wychrypiał.

Od progu dobiegło następne kobiece westchnienie.

- Budzi się - powiedział Adam tonem jednocześnie łagodnym i przynaglającym. - Chodź tu do niego.

- Nie mam odwagi - zabrzmiał kobiecy głos, melodyjny alt z ledwie wyczuwalną naleciałością akcentu.

- Po tak długim czasie to ciebie musi zobaczyć jako pierwszą - odparł książę.

Czuł, jak brat wstaje, i zaraz potem inna dłoń pomogła mu utrzymać kielich.

Coś... nie, raczej ktoś pięknie pachniał tuż obok niego. Różami i cynamonem. Muślinowa tkanina przesunęła się miękko po jego nagim ramieniu, ciepłe, miękkie palce dotknęły barku, a potem czoła, odgarniając z niego włosy. Odzyskiwał zmysły i następowało to serią przyjemnych niespodzianek.

Kiedy był w stanie oderwać wzrok od palców na kielichu i spojrzeć dalej, zobaczył śliczną twarz w kształcie serca, ściągniętą wyrazem troski. Na widok takich rysów zawsze żałował, że nie umie malować ani nawet rysować, by zachować piękny wizerunek przy sobie na zawsze. Patrzące na niego oczy miały niezwykły odcień zieleni, barwę złotych pieniążków, spoczywających na dnie fontanny. Nie mógł oderwać od nich spojrzenia. Dostrzegł w nich smutek i lęk; przez moment wydawało mu się nawet, że widzi wzbierającą łzę. Pąsowe usta zadrżały. Złotorude włosy zakrywał skromny muślinowy czepek. Nieliczne luźne kędziory wokół twarzy zafalowały, jakby kobieta chciała się od niego odsunąć.

- Proszę się nie obawiać - powiedział.

Skąd się wzięła przy jego łóżku? I dlaczego sprawiała wrażenie takiej niepewnej? Umysł wciąż oblepiała mu wata, nie miał pojęcia, kim może być nieznajoma. Tylko jedno wiedział na pewno: nie chciał, żeby się go bała. Adam miał rację. Taki widok po przebudzeniu był darem, zwłaszcza gdy człowieka wprost piekielnie bolała głowa.

- Po tym wszystkim, co się stało, on martwi się o ciebie, Justine. - Adam zaśmiał się z wyraźnym zadowoleniem. - To znaczy, że w ogóle się nie zmieniłeś, Will. Tak się baliśmy... - Głos brata łamał się ze wzruszenia.

- Naprawdę? - odezwała się Penelope, żona Adama, gdzieś przy drzwiach. Brakowało jej tchu, jakby pędem wbiegła do pokoju.

Księżę uciszył ją syknieniem.

- Im nas więcej, tym weselej - mruknął z rezygnacją Will.

Kiedy powoli odwrócił głowę i spojrzał na księżną, odniósł wrażenie, że coś się nie zgadza. Właściwie zupełnie się nie zgadzało, poprawił się w myślach. Wyglądała, jakby była w ciąży. Zaledwie poprzedniego dnia uznał, że zeszczupłała. Spytał o stan jej zdrowia, na co jego brat odparł z troską, że niedawny poród bardzo ją wyczerpał i jeszcze nie doszła w pełni do siebie. A w tym momencie pulchna i krzepka stała w drzwiach sypialni.

Will zmarszczył czoło. Jeśli rodzina chciała mu zrobić kawał, to wysilała się na próżno. Wszyscy przyglądali mu się z uwagą, jakby na coś czekali. Nie miał pojęcia, o co im może chodzić. Ból w czaszce odezwał się ponownie; chciał potrzeć sobie skronie, ale ledwie miał siłę unieść rękę.

Kobieta siedząca przy łóżku chwyciła jego dłoń i ją rozmasowała, przywracając mu częściowe czucie w palcach. Następnie ułożyła ją ostrożnie na kołdrze i sama pogładziła go po czole. Ależ to było przyjemne! Gdyby nie czuł się taki zmęczony, odesłałby krewnych precz, żeby bliżej się z nią zapoznać. Choć początkowo wyczuł w niej wahanie, teraz nie wykazywała nawet cienia skrępowania.

Przybrał wygodną pozycję na poduszkach opartych o wezgłowie i westchnął. Potem wolno, ostrożnie rozprostował palce obu rąk. Sprawilo mu to pewną trudność, podobnie jak poruszanie palcami u nóg. Jednak kiedy uniósł rękę, udało mu się wskazać na naczynie z wodą. Piękna siostra miłosierdzia przytknęła mu do ust krawędź kielicha.

Przełknął wodę i oblizał spierzchnięte wargi.

- Czy ktoś mi wyjaśni, co się stało, czy mam się sam domyślić? Rozchorowałem się w nocy?

- Wyjaśnić? - odezwał się Adam, zabierając głos w imieniu grupy. - Co pamiętasz z ostatnich miesięcy, Will?

- Sezon, ma się rozumieć - odparł, żałując, że nie ma siły machnąć ręką. - I tę blond gąskę, którą próbowaliście mi swatać. Dlaczego uważasz, że możesz mi wybierać kandydatkę na żonę, skoro ja nie wtrącałem się do twojego wyboru? I jeszcze przyjazd do Walii na chrzciny. Z czego składał się poncz, że jestem w takim stanie? Z samego dżinu?

To miał być żart. Tymczasem na otaczających go twarzach malowała się zgroza. Wszyscy milczeli; w końcu Adam odchrząknął i oznajmił:

- Chrzciny były pół roku temu.

- Niemożliwe. - Przecież je pamiętał na tyle wyraźnie, na ile w ogóle mógł sobie cokolwiek przypomnieć. Rzeczywiście, wydawały mu się odległe, ale w końcu dopiero co oprzytomniał. Kiedy się otrząśnie...

- Pół roku - powtórzył książę. - Po przyjęciu wyszedłeś i nie chciałeś nam wyjawić, dokąd idziesz. Zapowiedziałeś, że przyjedziesz z niespodzianką.

- Co nią było? - zainteresował się Will. Skoro znajdował się w domu brata, uznał, musiał tu wrócić z opowieścią, która mogła tłumaczyć jego obecną kondycję.

- Miesiącami nie mieliśmy od ciebie żadnych wieści, a kiedy Justine przywiozła cię do domu, nie byłeś w stanie nic powiedzieć. Zdarzył się wypadek. Uznała, że najlepiej ci posłuży otoczenie rodziny, gdy... - Adam urwał, przejęty.

- Kim jest Justine? - spytał Will, rozglądając się wokół siebie.

Wyraz najwyższego zdumienia i zarazem lęku, malujący się na twarzy kobiety trzymającej go za rękę, wystarczył mu za odpowiedź.

- Naprawdę nie pamiętasz? - spytała.

Nie pamiętał i zarazem nie mógł zrozumieć, jak mógłby zapomnieć taką twarz i taki głos.

- Przypominam sobie chrzciny, ale nie ciebie.

Złociste oczy, szeroko otwarte, patrzyły na niego z niedowierzaniem.

Adam znów chrząknął; ten odruch występował u niego wtedy, gdy chciał się wykazać dyplomacją.

- Wygląda na to, że wiele ci umknęło i trzeba wyjaśnić różne sprawy. Jedno musisz wiedzieć przede wszystkim. Kobieta siedząca obok ciebie to lady Felkirk. - Zrobił pauzę. - Williamie, pozwól, że ci przedstawię twoją żonę Justine.

- Nie jestem żonaty.

Miał serdecznie dość tych niestosownych żartów. Próbował przerzucić nogę przez krawędź łóżka, żeby wstać i odejść, ale opadł na materac niczym ryba

wyrzucona na brzeg. Zsunął się z posłania tak, że brat musiał go podtrzymać i przesunąć z powrotem na środek.

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że następuje poprawa, reszta się nie liczy. - Głos należał do złotowłosego anioła, czyli jego rzekomej żony. Jak ją nazywali? Justine?

To imię, choć równie piękne jak kobieta, która je nosiła, zupełnie nic mu nie mówiło.

Adam znów pochylił się nad łóżkiem; uśmiechał się, jakkolwiek z pewnym wysiłkiem.

- Justine sprowadziła cię do domu i od tego czasu leżałeś bez przytomności. Obawiałem się, że już nigdy... - Nastąpiła pauza, a po niej ciężkie westchnienie.

Najwidoczniej ojcostwo zmiękczyło charakter brata, pomyślał Will, nie mógł bowiem przypomnieć sobie, by wcześniej słyszał u niego tak rzewny ton.

- Lekarze nie dawali nam wielkiej nadziei. Widzieć, jak się budzisz, prawie taki jak dawniej...

Zatem rozbiłem sobie głowę. Zupełnie tego nie pamiętała, ale z pewnością to tłumaczyło nieznośne pulsowanie w czaszce.

- Co się stało?

- Spadłeś z konia.

To akurat brzmiało prawdopodobnie. Czasami zdarzało mu się szarżować, kiedy siedział w siodle. Jednak jego stary przyjaciel Jupiter z reguły zachowywał się spokojnie, o ile jeździec odpowiednio mocno trzymał wodze. Ale żona... Spojrzał na kobietę przy łóżku, oczekując, że i ona doda od siebie jakieś wyjaśnienie.

- Spędzaliśmy nasz miesiąc miodowy - odezwała się łagodnie, jakby chciała pobudzić jego wspomnienia. - Poznaliśmy się w Bath na początku lata.

Nadal nic. Co robił w Bath? Nie znosił tego miejsca z paskudnymi wodami zdrojowymi, pełnego spiskujących matek z córkami, którym w Londynie nie udało się złapać odpowiedniego kandydata na męża.

- Jestem pewna, że miałeś w planach ożenek, kiedy nas opuszczaleś - wtrąciła tonem zachęty Penny. - Obiecywałeś nam niespodziankę, ale nie przypuszczaliśmy, że będzie aż tak radosna. Kiedy Justine wróciła z tobą... - Zawiesiła głos, wzruszona jak jej mąż. - Była dla ciebie bardzo dobra. Dla nas wszystkich. Nigdy nie straciła nadziei. - Udając, że musi doprowadzić do porządku zaparowane okulary, Penny wyciągnęła chusteczkę i dyskretnie otarła łzy.

Tylko kobieta zwana Justine sprawiała wrażenie całkiem spokojnej, jakby powrót sprzed bram śmierci męża, który zupełnie jej nie pamiętał, nie stanowił niczego szczególnego. Odezwała się rzeczowym tonem.

- Będzie dobrze. Wszystko przebiega lepiej, niż mogliśmy się spodziewać.

- Pewnie, doznanie wstrząśnienia mózgu i utrata pół roku życia to doprawdy błahostka, jest co świętować - rzekł ze złością Will.

Może piękna nieznajoma wcale nie zasługiwała na jego gniew? A może upiła go i zdzieliła w łeb, pozbawiając przytomności, żeby móc udawać jego żonę? Tyle że to nie miałyby sensu. Nie posiadał ani majątku, ani tytułu, żeby być celem tego rodzaju podstępu. Gdyby chciała go skrzywdzić, po co przywoziłaby go później do jego rodzinnego domu? I po co by się nim opiekowała, pomagając odzyskać zdrowie?

Tajemnicza Justine zignorowała jego groźną minę i odpowiedziała z uśmiechem.

- I owszem, jest co świętować. Lekarz twierdził, że nigdy się nie obudzisz, a jednak się to stało. A teraz, kiedy już będziesz mógł normalnie jeść, szybko nabierzesz sił.

Czyżby mu się zdawało, że dostrzegł w jej oczach przelotny cień, jakby jego powrót do zdrowia oznaczał nie tylko błogosławieństwo?

Może była równie skołowana jak on sam? A może ją zranił? Zadał sobie trud, żeby się z nią ożenić, a potem całkiem o niej zapomniał. A teraz złościł się na nią, winiąc ją za swój ból głowy. Czy przed wypadkiem traktował ją podobnie? Może to małżeństwo było pomyłką? Jeśli tak, to nie mógł jej mieć za złe, że na chwilę zapragnęła, by jego długotrwała choroba skończyła się, dając jej wolność.

Kiedy znów na nią spojrzał, twarz miała promienną niczym letni dzień. Musiało mu się zdawać, że widzi na niej wątpliwości, pewnie dał się zasugerować własnym urojeniom. Gdyby czuł się mocniejszy i miał okazję trochę ją przepytąć, wszystko stałoby się jasne. Na razie należy poskromić niedorzeczne domysły i po prostu czekać. Odruchowo pokręcił głową i natychmiast tego pożałował, bo ból wrócił ze zdwojoną siłą.

Pochyliła się nad nim, sięgając po wilgotny ręcznik, leżący po drugiej stronie łóżka; przytknęła mu go do czoła.

Skąd wiedziała, że to przyniesie mu ulgę? Nieważne. Jeśli zgadywała, to udało jej się trafić w sedno. Ujął jej dłoń i lekko uścisnął; miał nadzieję, że odbierze ten gest jako wyraz wdzięczności. Ból stopniowo zanikał, wątpliwości wręcz przeciwnie. W kształcie dłoni, którą trzymał, nie znajdował nic znajomego. Przecież gdyby rzeczywiście ją poślubił, ten dotyk nie powinien mu się wydawać całkowicie obcy. Starając się ukryć nagłe skrępowanie, cofnął rękę.

Upewniła się, że kompres leży stabilnie i nie powinien się zsunąć, po czym splótła dłoń na kolanach, jakby i jej przerwanie cielesnego kontaktu sprawiło ulgę.

Można było odnieść wrażenie, że tylko oni dwoje czują się ze sobą

niekomfortowo; reszta osób zebranych w pokoju nie kryła radości.

- Jak tylko będziesz gotowy, przeniesiemy cię na dół - orzekła Penny. - Może postaramy się o wózek inwalidzki, żebyś mógł zażywać słońca w ogrodzie.

- Nonsens.

Znów próbował wstać; tym razem poczynił znaczący postęp, zdołał przerzucić obie nogi przez krawędź łóżka i przyjąć pozycję siedzącą. Kompres zsunął się z czoła i prawie natychmiast potem zakręciło mu się w głowie i poczuł, że zaczyna opadać na bok.

I tym razem Adam pośpieszył z pomocą, chwycił go za ramię i przytrzymał.

- Powoli. Staraj się nadmiernie nie forsować. Jeśli sobie tego nie życzysz, nie posadzimy cię na wózku inwalidzkim. Stopniowo dojdiesz do siebie i ani się obejrzymy, jak będziesz spacerował o własnych siłach.

- Nie musisz próbować tego robić już teraz - wtrąciła z naciskiem Penny. - Wypoczynek nadal jest najważniejszy. Tak samo jak spokój. Na razie zostawimy was samych.

- Nie.

- Tak.

Will i Justine odezwali się jednocześnie.

- Potrzebujesz odpoczynku - przypomniała i delikatnie położyła mu dłoń na piersi, próbując go nakłonić, by znów się położył. - Później będziemy mieć dość czasu na rozmowy.

- Odpoczywałem aż nadto długo - obruszył się Will. - Jeśli mam wam wierzyć, to przespałem całe miesiące.

Prawdopodobnie kobieta miała rację. Po tym, w końcu niewielkim, wysiłku ból głowy znów zaczął mu nieznośnie dokuczać. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Wcześniej musiał jednak usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań. Justine musiała wiedzieć więcej, niż mu wyjawiała, mimo że na jej ślicznej buzi malowała się niewinność.

- Wyjdźcie wszyscy. Proszę - dodał, widząc niemile zaskoczone miny. - Przyślijcie tu mojego kamerdynera. Po tak długim czasie spędzonym w pościeli chcę się umyć i ubrać. Zanim on tu dotrze, porozmawiam z żoną.

- Oczywiście - rzekł Adam i uśmiechnął się z ulgą. - Jeśli poczujesz się na siłach, możesz zejść do jadalni na obiad, a jak nie, to każemy ci przynieść tacę na górę. Tak czy inaczej... - Podeszedł do brata i mocno uściskał mu dłoń. - Dobrze widzieć, że wracasz do zdrowia. Chodź, Penny, z pewnością mają do omówienia wiele spraw, które nas nie dotyczą.

Zamknęli za sobą drzwi i Will został sam na sam z kobietą, która twierdziła, że jest jego żoną. Stłumił w sobie wzbierającą panikę. Wciąż był zbyt słaby, aby się bronić, gdyby okazała się nie aż tak łagodna, na jaką wyglądała. Z drugiej strony, z jakiego powodu postrzegać miłą, słodką istotę jako zagrożenie? Gdyby chciała wyrządzić mu krzywdę, wcześniej miała ku temu wystarczająco dużo okazji.

Tylko czy świeżo poślubiona małżonka nie powinna okazywać większej radości na wieść, że mąż powraca do żywych? Jeśli go kocha, dlaczego tkwi przy łóżku, milcząc, z miną skazańca? Coś mu w niej nie pasowało. Nie potrafił sprecyzować wątpliwości, zresztą, było ich tak wiele...

Kobieta jakby wyczuła jego nastrój, uśmiechnęła się niepewnie i znów przyjęła rolę pielęgniarki.

- Mogę ci coś podać? Zrobić coś, żeby było ci wygodniej?

- Jesteś wyjątkowo troskliwą siostrzyczką miłosierdzia - pochwalił, choć w jego tonie trudno byłoby się doszukać wdzięczności. - W tej chwili nie potrzebuję niczego poza zakończeniem tej nedorzecznej maskarady.

- To nie maskarada. - Sprawiała wrażenie raczej zdumionej niż przestraszonej. - Nie próbujemy cię oszukać. Zostałeś ranny i byłeś nieprzytomny przez kilka miesięcy. Podejdź do okna, to sam zobaczysz. Chrzciny odbyły się podczas Wielkanocy. Wiosna dawno minęła, lato również. Liście opadają z drzew, a wieczorami robi się zimno.

- Nie potrzebuję, żebyś mi opowiadała o pogodzie - odparł ze złością, zerkając na szare niebo za oknem. - Sam widzę, jak wygląda, i wiem, że doznałem urazu, bo cały czas mnie boli. - Ostrożnie przejechał dłonią po włosach i zdziwił się, wyczuwszy bruzdę po ranie na czaszce. - To nie tłumaczy całej reszty.

- Jakiej reszty? - spytała, choć przecież musiała dobrze wiedzieć, o co mu chodzi.

- Ciebie. Kim naprawdę jesteś? I co cię ze mną łączy? - Spojrzał w szeroko otwarte zielone oczy. - Bo mógłbym przysiąc przed Bogiem, że nie jesteś moją żoną.

- Williamie! - rzuciła z oburzeniem, jeśli udawanym, to całkiem przekonująco.

- Tak właśnie się nazywam. A ty?

- Justine, ma się rozumieć.

- A zanim mnie poślubiłaś? - Nie mógł sobie darować kpiącego tonu.

- Chodzi ci o moje panięńskie nazwisko? De Bryun. - Zrobiła pauzę, jakby czekała, że ta informacja pobudzi jego pamięć. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Tak twierdzisz. Teraz pewnie się dowiem, że jesteś sierotą.

- Owszem. - Głos nie pozostawiał wątpliwości, że czuje się dotknięta jego

zachowaniem.

W przyszłości mógł żałować, że tak szorstko ją traktował, jednak w tym momencie miał dość własnych problemów.

- Zatem nie masz nikogo, kto mógłby potwierdzić twoją tożsamość.

- Mam siostrę, ale nie była obecna na naszym ślubie, podobnie jak twoja rodzina.

- Ożeniłem się bez wiedzy bliskich? - Penny już wcześniej to sugerowała, ale to nie zmieniało faktu, że nie potrafił dostrzec sensu w wydarzeniach, o których mu opowiadano. - Czyli żadne z nas nie przejmowało się uczuciami najbliższych. Tak po prostu, nagle... - z pewnym wysiłkiem zdołał pstryknąć palcami - ...postanowiliśmy wziąć ślub.

- Omówiliśmy wszystko zawczasu - zapewniła. - Stwierdziłeś, że na powiadomienie rodziny będzie czas później i że twój brat zachował się wobec ciebie tak samo.

Rzeczywiście tak było. Czyżby oba małżeństwa zostały zawarte równie nagle i niespodziewanie? Ponadto Adam przyznał, że też nie zapamiętał swojego ślubu. Owszem, okoliczności może i były podobne, ale on, Will, prezentował więcej rozsądku niż starszy brat i nigdy by tak nie postąpił.

- Mogłaś poznać szczegóły dotyczące ślubu księcia w jakikolwiek inny sposób - stwierdził.

Westchnęła jak uczennica zmuszana do recytowania zadanej lekcji.

- Ale nie poznałam ich w inny sposób. Dowiedziałam się od ciebie. Powiedziałaś, że twój ojciec miał na imię John, a matka Mary, księżę i księżna Bellston. Miałaś jedną siostrę, ale zmarła wkrótce po narodzinach. Opowiedziałaś mi o swoim bracie. Dlatego cię tu przywiozłam. Z jakiego innego powodu bym to zrobiła, jeśli nie z miłości?

To w istocie przedstawiało zagadkę. Potarł skronie; głęboko wierzył, że musi istnieć logiczne wytłumaczenie tego wszystkiego, ale poszukiwanie go w obecnym stanie okazywało się zbyt poważnym wysiłkiem dla jego obolałej głowy.

- Mogłaś wyczytać te rzeczy w pierwszym lepszym herbarzu.

- Albo usłyszeć je od ciebie - sprostowała cierpliwie. - A w tym, że nie mam rodziców, nie widzę niczego nadzwyczajnego. W końcu ty też ich nie masz.

Trudno było zaprzeczyć. Dlaczego więc jej sieroctwo wydało mu się aż tak znaczące? Ostrożnie pokręcił głową, bo wciąż czuł się jak popękana figurka z porcelany.

- Domyślam się, że mógłbym cię tak przepytować godzinami i na wszystko znalazłabyś odpowiedź. Pozostaje pytanie, na które raczej nie udzieliłabyś mi

zadowolającego wyjaśnienia. Mianowicie, co miałyby mnie skłonić do ożenku?

- Zapewniałaś, że mnie kochasz - usta jej drżały, choć wcale nie wyglądała na bliską płaczu - ale nie chciałam się z tobą przespać, zanim się nie pobierzemy.

Wy tłumaczenie nie było dla niego zbyt pochlebne. Jednak zawierało więcej sensu niż wszystko inne, co od niej usłyszał.

- Akurat w to, że chciałem się z tobą przespać, mogę uwierzyć. W przeciwieństwie do pamięci, wzrok wciąż mam sprawny.

Wpatrywał się w jej piękne włosy, te nieschowane pod skromnym czepkiem. Mimo wyczerpania i irytacji spowodowanej sytuacją, miał ochotę zerwać jej z głowy muślinowe nakrycie, by móc w pełni podziwiać złocistorude pukle.

- Jesteś piękna i masz tego świadomość, prawda? Chyba nie będziesz udawać, że nie wiesz, jakie wrażenie robisz na mężczyznach? Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

- Ponieważ uznałam, że jesteś miły i że będziesz dobrym mężem. - Ton jej głosu zdradzał, iż przeżyła w tym względzie rozczarowanie. Odwróciła wzrok. - Rzeczywiście nic nie mogę poradzić na to, jak wyglądam i jak inni mnie postrzegają.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabyś chcieć wyglądać inaczej - odrzekł szczerze.

Gdy spojrzał jej w twarz, dostrzegł malujące się na niej żal i bunt, jakby uważała urodę raczej za balast niż atut. Prosty, wręcz surowy strój niewiele się różnił od uniformu służącej. Czepek uszyty z gładkiego materiału, bez koronkowych ozdób czy wstążek, również nie zdradzał śladów próżności. Jeśli próbowała ukryć swoje walory, to nieskutecznie. Skromna oprawa sprawiała, że jej uroda lśniła tym mocniejszym blaskiem.

- Zachowujesz się tak, jakbyś teraz, kiedy już masz, czego pragnęłaś, winił mnie za to, co się stało. - Bezwiednie dotknęła ręką czepka i ukryła pod nim kilka niesfornych kosmyków. - Nie wciągnęłam cię w małżeństwo, którego nie chciałaś. Tak jak nie zostawiłam cię rannego na pastwę losu. Wątpię, bym zdołała przedstawić zadowalające dowody, że mówię prawdę. A czy ty możesz dowieść, że zrobiłam coś złego? Dałam ci to, czego ode mnie chciałaś, i zapewniłam ci pomoc w nieszczęściu. Żyjesz dziś tylko dlatego, że cię pielęgnowałam. Przykro mi, że nie mogę ci zaoferować niczego więcej.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Jeśli rzeczywiście była jego żoną, to wykazywała dużą cierpliwość. Miała powody oburzać się na niego za nieprzyjemne traktowanie. Tymczasem w jej głosie nie słyszał złości, tylko rezygnację. Gdyby nie to, że zamiast obrazu ich wspólnej przeszłości miał w głowie niepokojącą pustkę, natychmiast by jej uwierzył i przeprosił ją.

- Przyznaję, że jestem ci winien wdzięczność - odezwał się po chwili. - Jednak w tym momencie nie potrzebuję twojej pomocy. Proszę, idź się przygotować do obiadu. Może spotkamy się przy stole, a porozmawiamy później.

- Bardzo chętnie, milordzie.

Kłamała, ma się rozumieć. Podniosła się z łóżka i wykonała ruch przypominający dygnięcie. Następnie opuściła pokój krokiem tak zwawym, jakby chciała uciec z niego jak najszybciej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie pamiętał jej.

Justine de Bryun zatrzymała się tuż za drzwiami pokoju Williama Felkirka, starając się opanować radość i ulgę. Odzyskał przytomność, ale miał amnezję. Nie przypomniał sobie, co się z nim działo podczas ostatnich miesięcy. Musiała ukryć te emocje pod miną kobiety, której mąż właśnie się obudził niczym Łazarz. Nie chciała, żeby ktoś je dostrzegł i zaczął ją przepytawać. Wystarczyły pytania zadane przez Felkirka podczas trudnej rozmowy, którą dopiero co z nim odbyła. Nie potrzebowała dodatkowego zainteresowania ze strony księcia i księżnej. Przynajmniej do czasu, aż znajdzie sposób na wydobycie się z sytuacji, do której sama doprowadziła.

Penny czekała na nią w korytarzu; udawała, że wcale nie jest ciekawa, co zaszło, kiedy Justine została sam na sam z Williamem. Należało wymyślić coś, co byłoby nie do końca kłamstwem. Od czasu przybycia do tego domu wciąż okłamywała księżnę i z tego powodu doskwierało jej poczucie winy. Czyż Penny zasługiwała na takie traktowanie? Od samego początku odnosiła się do niej przyjaźnie, oferowała pomoc i darzyła siostrzanym współczuciem.

Justine miała powody do nienawiści wobec rodu Felkirków, lecz nie chciała przenosić tej wrogości na kobietę, która weszła do rodziny poprzez małżeństwo. Tak samo jak niedorzecznością byłoby nienawidzić dziedzica, który był niewinnym dzieckiem w kołysce. Księżę, będący głową rodziny, również okazywał jej wyłącznie życzliwość, czym zasłużył sobie na częściowe przebaczenie.

Pozostawał więc William Felkirk. Namieszał jej w życiu do tego stopnia, że należała mu się kara za wszystkie dawne grzechy rodziny. Jego powolne dochodzenie do zdrowia wystarczyło, by zaspokoić jej żądzę zemsty.

Prawdę mówiąc, z trudem to wszystko znosiła. Jej ojciec zmarł szybką śmiercią. Natomiast William Felkirk balansował na krawędzi całymi miesiącami, coraz słabszy, bezustannie pogrążony we śnie. Kilka razy przyłapała się na tym, że prosi Boga, by litościwie ulżył mu w cierpieniu. Ponieważ jednak modlitwy pozostały bez echa, starała się po chrześcijańsku udzielać choremu wsparcia.

Do momentu, gdy się obudził i znów zaczął sprawiać kłopoty.

Penny zbliżała się do niej z rozpostartymi szeroko ramionami, gotowa gratulować lub pocieszać, według potrzeb. Justine odkryła, że właściwie wcale nie musi udawać, bo w istocie usta jej drżały i lada moment z oczu mogły popłynąć łzy. Po raz

kolejny musiała sama stawić czoło sytuacji, na którą nie miała żadnego wpływu. Księżna Bellston sprawiała wrażenie, że życzy jej jak najlepiej, jednak Justine zdążyła się przekonać na własnej skórze, jak szybko w biedzie domniemani przyjaciele potrafią się zmienić we wrogów. Powinna mieć się na baczności.

- Nie poznaje mnie - odezwała się cicho, spoglądając przez ramię na drzwi sypialni, z której dopiero co wyszła. - Nie wierzy, że jesteśmy małżeństwem.

Księżna objęła ją i uściśnęła po matczynemu.

- Już dobrze, dobrze, wszystko się ułoży, jestem tego pewna. Teraz, kiedy zaczął dochodzić do siebie, lada moment sobie przypomni, kim byliście dla siebie nawzajem.

- Z pewnością - powiedziała Justine, jakby to nie stanowiło kolejnego powodu do łez.

Zanik pamięci u Felkirka był najlepszą wiadomością, jaką mogła otrzymać. Zapomniał wszystko, co najgorsze, i miała szansę uniknąć kary. Za atak na arystokratyczną rodzinę niechybnie groziła szubienica. Miała świadomość, że jej los został przypieczętowany tamtego dnia, gdy znalazła go w kałuży krwi na podłodze. Mimo że początkowo źle mu życzyła, to, że William Felkirk dochodził do zdrowia i do tego miał amnezję, stanowiło dar od Boga.

Rzecz jasna, to oznaczało również, że nie mógł sobie przypomnieć tego, czego chciałyby się dowiedzieć. Niestety, bo przecież właśnie dlatego zadała sobie trud, żeby go ratować.

Penny pogładziła ją po ramieniu.

- Jak tylko nabierze sił, będziecie mogli wrócić do starej posiadłości rodziny. Teraz należy do Williama i będzie też twoim domem. To niedaleko stąd, około dwóch kilometrów. Znajome otoczenie pomoże mu szybko odzyskać pamięć, a gdybyście nas potrzebowali, przecież jesteśmy w pobliżu.

Odzyskanie przez Felkirka pamięci wcale nie było pożądaną okolicznością, a przeprowadzka do jego osobistej posiadłości wciągnęłaby ją jeszcze głębiej w pułapkę, którą zastawiła. Zostaliby sam na sam, bez księżęcej pary do pomocy w opędzaniu się przed niewygodnymi pytaniami.

- Tak, zamieszkanie tam razem z nim zupełnie zmieni sytuację - odparła, uważając, by ton głosu nie zdradził poczucia rezygnacji.

- Będziemy całkiem blisko - odparła radośnie Penny. - Możemy was odwiedzać, przyjeżdżać na obiad, kiedy będziecie gotowi nas podejmować.

Zamierzali przyjeżdżać i odjeżdżać przed porą spoczynku. Nocami Justine będzie musiała radzić sobie z obcym mężczyzną, który będzie oczekiwał nie tylko

pielęgnacji w chorobie ze strony pięknej kobiety, podającej się za jego żonę. Czy zaledwie przed chwilą nie zauważył: „Chyba nie zamierzasz udawać, że nie wiesz, jak działasz na mężczyzn?”.

Montague powiedział coś podobnego, kiedy mówił o czekającej ją przyszłości. Teraz wszystko miało się powtórzyć. Nieprzytomny William Felkirk wyglądał jak wspaniały posąg. Jednak kiedy się ocknął, od razu dostrzegła jego dotąd uszpioną siłę. Krew krążyła w nim żywiej, dodając koloru ładnie wykrojonym ustom; w niebieskich oczach zdążyła spostrzec błysk zainteresowania. Wkrótce miał się pojawić inny, bardzo męski odzew na jej obecność w tym samym pokoju. Zadrżała, bo dreszcz lęku przebiegł jej po plecach.

Penny bez słowa ściągnęła szal z ramion i otuliła nim Justine.

- Jesteś wyczerpana. Ciężko pracowałaś, żeby przywrócić mu zdrowie. A teraz się okazało, że jest inaczej, niż się spodziewałaś.

- Tak, rzeczywiście - przyznała Justine.

Zakładała, że pomimo wszystkich jej starań Felkirk umrze. Oto któregoś dnia wejdzie do sypialni swojego pacjenta i znajdzie sztywne, zimne ciało. Skłaniało ją to do tym bardziej gorączkowego poszukiwania dowodów świadczących na korzyść ojca, jakiegoś znaku, że dostarczył klejnoty, które przewoził, gdy zginął. A gdyby diamenty trafiły do jej rąk, mogłaby zniknąć, zanim ktokolwiek odkryje jej kłamstwa.

Później przyszło jej do głowy, że gdyby William Felkirk umarł, byłoby jej łatwiej po prostu nic nie robić, zostać tam, gdzie się znajdowała, i pozwolić, by księżęca para pocieszała ją w żałobie. Montague nie odważyłby się wyznać prawdy ze strachu, że ona uczyni to samo. Za rok, po zrzuceniu żałoby, mogłaby się cieszyć latem, londyńskim sezonem pełnym balów i przyjęć...

A co by to oznaczało dla Margot? Jak zwykle ta myśl podziałała niczym kubeł zimnej wody, skutecznie studząc wszelką radość. Wydało jej się okropnie niesprawiedliwe, że każde wspomnienie ukochanej młodszej siostry wiąże się z przykrymi odczuciami.

Zmierzały holem do głównych schodów; Penny trąkotała jak nakręcona, wypełniając ciężką ciszę opisami przyszłego szczęścia, które przecież było niemożliwe.

- Przede wszystkim nie zamartwiaj się jego dzisiejszym zachowaniem. Jestem pewna, że on cię kocha. Tyle że prawda była dla niego potężnym zaskoczeniem. - Po momencie wahania dodała: - Lekarze twierdzą, że wypadek mógł spowodować zmiany w jego charakterze.

- Istotnie - mruknęła Justine.

Co mogłaby powiedzieć na ten temat? Niewiele wiedziała o charakterze lorda Felkirka po tamtym jednym krótkim spotkaniu. Kiedy wszedł do sklepu, uznała, że jest przystojny i raczej sympatyczny. Jednak powitalny uśmiech zamarł mu na ustach w momencie, gdy pojął, z kim ma do czynienia.

Wyczuwając jej napięcie, Penny rzekła dobroduszenie:

- Z czasem przypomni sobie ciebie, jestem o tym przekonana. Nie powinnaś się martwić.

- Z pewnością masz rację - odparła szczerze Justine, choć jej uśmiech towarzyszący tym słowom bynajmniej nie wyrażał radości.

Oczywiście, że sobie przypomni. Tylko zanim to nastąpi, ona musi znaleźć się jak najdalej od niego, nawet jeśli to by oznaczało powrót do życia z Montagiem, przed którym miała nadzieję uciec.

Dotarły do drzwi jej pokoju; cmoknęła księżnę lekko w policzek na dowód, że wszystko jest w porządku.

- Chyba powinnam położyć się na chwilę przed obiadem - powiedziała.

- Oczywiście - podchwyciła Penny. - Teraz, kiedy twój mąż ma się lepiej, musisz zadbać o siebie. To jasne, że chcesz wyglądać jak najlepiej, na wypadek gdyby Will poczuł się na siłach zejść na posiłek.

Justine pokiwała głową z wymuszonym uśmiechem, modląc się w duchu, by to jednak nie nastąpiło. Obecność Williama przy stole oznaczałaby kolejne pytania. Ledwie uporała się z dotychczasowymi i potrzebowała czasu, by się przygotować na następne. Dlatego nie marnowała czasu i przystąpiła do obmyślenia ewentualnych odpowiedzi natychmiast po zamknięciu za sobą drzwi. Nawet najmniejszy moment wahania mógł zachwiać jej wiarą w sens tego, co dotąd zrobiła, i dać pole wątpliwościom. Zwątpienie zaś oznaczało słabość i mogło prowadzić do ostatecznej klęski. Czyż gorzkie doświadczenie nie nauczyło jej, że przeżywają tylko najsilniejsi?

Postanowiła być silna, nawet jeśli przez to wyrzekłaby się szczęścia. Podeszła do szafki przy łóżku, zapaliła świecę i przeniosła ją na stolik pod oknem; miała pewność, że płomyk jest widoczny z daleka.

Świeca wciąż się paliła, gdy Justine opuściła pokój i zeszła do jadalni na obiad.

ROZDZIAŁ TRZECI

Will zaczynał się obawiać, że Penny miała rację, proponując mu skorzystanie z wózka inwalidzkiego. Skoro brakowało mu sił na przejście własnej sypialni, nie było mowy, by dał radę pokonać schody na parter bez pomocy służących. A gdyby nawet zdołał zejść, nie starczyłoby mu energii na samodzielny powrót i musiałby pozwolić, by go wniesiono. Naraziłby dumę na poważny uszczerbek.

Zupełnie jakby nie wystarczyło, że stracił pamięć i siły, to również nerwy zostały nadszarpnięte - wpadał w irytację z powodu byle drobnostki. Leżąc w łóżku, próbował słuchać rozmowy prowadzonej w korytarzu - Penny zapewniała tajemniczą Justine, że wszystko będzie dobrze. Zdjął go strach, że rodzina spiskuje przeciwko niemu z obcą kobietą. Nawet pojawienie się kamerdynera ze świeżą bielizną i przyborami do golenia przyprawiło go o przyspieszone bicie serca. Kiedyś był opanowany i pewny siebie... Być może uraz spowodował zmiany w mózgu i wcześniejsze usposobienie miało już nie powrócić.

Nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie zamierzał spędzić reszty życia, ukrywając się w pokoju i miotając w poczuciu bezradności. Wolał wierzyć, że jeśli wystarczająco mocno się postara, jego życie będzie wyglądało tak jak kiedyś.

Tyle że obecnie był żonaty.

O tej kobiecie też nie chciał myśleć. Uspokoił się trochę, czerpiąc pociechę z obecności zaufanego kamerdynera Stewarta. Cieszył się, że znów będzie czysty, ogolony i ubrany w coś innego niż nocna koszula. Krępowało go jednak, że nie potrafi samodzielnie usiąść, musi być podtrzymywany; czuł się jak manekin, na który trzeba naciągać poszczególne części garderoby.

Stewart nie pozwalał sobie na żadne uwagi poza tym, że obejrzawszy policzek chlebodawcy, stwierdził, iż milady włada brzytwą nie gorzej od niego i mogłaby się doskonale sprawdzić w roli kamerdynera, gdyby Bóg okazał więcej łaskawości i stworzył ją mężczyzną.

- Ona mnie goliła? - Will nie wiedział, dlaczego tak go zaniepokoiła myśl o kształtnej dłoni Justine, trzymającej ostrze przy jego gardle.

Stewart się uśmiechnął.

- Robiła wszystko, milordzie. Tak się starała, że domownicy oddychali z ulgą, gdy opuszczała pokój. Baliśmy się, że ciągły wysiłek zupełnie ją wyczerpie.

Kamerdyner sformułował wypowiedź w taki sposób, jakby miał na myśli zarówno rodzinę, jak i służbę. Wyglądało, że cały dom był pod wrażeniem miłości

i poświęcenia, jakie Justine wkładała w pielęgnowanie chorego męża.

- Co jeszcze służba mówi o mojej żonie?

Jeśli krążyły jakieś plotki, to Stewart musiał je znać; pozostawało mieć nadzieję, że lojalność wobec pracodawcy skłoni go do szczerzej odpowiedzi.

Służący uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jest najwspanialszą kobietą w całej Walii, milordzie. Łagodną i uprzejmą, o takim usposobieniu, że lepszego ze świecą szukać. Na razie nie dała nam się bliżej poznać, jako że książę wolał mieć pana pod własnym dachem.

Will uśmiechnął się pod nosem. Pierwszy raz podczas tej rozmowy usłyszał w głosie kamerdynera cień dezaprobaty - nie podobało mu się, że książę miał czelność postawić na swoim, wybierając to, co jego zdaniem było korzystniejsze dla brata.

- Skoro czuje się pan lepiej, wkrótce znów będzie pan z nami i wszystko wróci do normy. W dodatku będziemy mieć jaśnie panią. - Stewart rozpromienił się jeszcze bardziej, jakby ta perspektywa wydawała mu się wyjątkowo radosna.

Doskonale. Cała Walia podziwiała jego żonę. Logika podpowiadała, że on także powinien się przyłączyć. Czyż nie sprawiał mu przyjemności widok jej twarzy, brzmienie głosu, delikatny dotyk? Gdyby nie czuł się tak rozbity, pewnie podniecałaby go świadomość, że ta urocza istota zna najbardziej intymne szczegóły jego anatomii. Że dotykała go miękkimi białymi dłońmi jako kochanka, nawet kiedy leżał bez przytomności. Ostatnia myśl przyprawiła go o dreszcz.

- Ostrożnie, milordzie - ostrzegł Stewart, manipulując nożyczkami tuż przy uchu swojego pana.

Will odetchnął głęboko, próbując się opanować.

- Właśnie taki mam plan, Stewarcie. Od tej pory zamierzam być bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Mimo iż kosztowało go to wiele wysiłku, Will zjadł obiad w jadalni razem z resztą rodziny. Wprawdzie nogi nadal miał jak z waty i nie był w stanie na nich ustać, jednak nie mógł znieść myśli o kolejnym posiłku w łóżku. Męczyło go też podejrzenie, że jeśli nie pojawi się przy stole, posłuży za główny temat konwersacji. Schodząc po schodach, kurczowo trzymał się poręczy i dzięki temu udało mu się przewyciężyć nagły zawrót głowy. Wolną ręką wspierał się na ramieniu lokaja. Przemierzając hol, próbował skorzystać z laski, ale zaraz ją odrzucił, ponieważ brakło mu siły, by ją utrzymać. Postanowił ćwiczyć w swojej sypialni, w razie konieczności nawet cały dzień, byle znów być dawnym sobą.

Kiedy już usiadł przy stole, poczuł się niemal normalnie. Wprawdzie nie nabrał tyle apetytu, by spróbować wszystkich dań, ale był autentycznie głodny. Według tego, co twierdził Stewart, przez ostatnie tygodnie karmiono go jedynie kleikami z kubeczka. Wystarczyło samo trzymanie noża i widelca, by poprawić mu humor, choć do sprawnego posługiwania się sztucami pozostała daleka droga.

Po upuszczeniu kolejnego kawałka ryby, niesionego do ust, uświadomił sobie, że przy stole panuje nienaturalna cisza. Wszyscy obserwowali go z uwagą.

Zniecierpliwiony odrzucił widelec.

- Nie jest mi łatwiej, kiedy się na mnie gapicie.

- Może gdybym ci pokroiła... - odezwała się Justine.

Nachyliła się ku niemu, gotowa rozdrobnić jedzenie na jego talerzu, jakby był dzieckiem, które nie potrafi zrobić tego samo.

- Na pewno nie - odburknął.

Nastąpiło nerwowe poruszenie wśród reszty osób zgromadzonych przy stole. Książę odchrząknął, jakby chciał w ten sposób przypomnieć bratu o konieczności zachowania dobrych manier.

- Przepraszam. - Will był zły na Justine za jej przesadną gorliwość, a jeszcze bardziej na siebie za brak opanowania i grubiaństwo. - To trudne.

- Wkrótce stanie się łatwiejsze - zapewniła.

Skinieniem przyzwała lokaja i poprosiła go o coś szeptem.

Prawie natychmiast przyniesiono inne danie, specjalnie dla Willa. Rzadki wołowy gulasz wiano do kufła i podano z kromką miękkiego chleba. Chłopska potrawa pasuje do mojego prymitywnego zachowania, pomyślał. Ręka mu drżała, kiedy podnosił kufel do ust; trochę zawstydzony otarł chlebem sos z brody. Jednak zebrani przy stole sprawiali wrażenie szczęśliwych, że w ogóle sobie poradził i że dopisuje mu apetyt. Przestali zwracać uwagę na zachowanie Willa i podjęli rozmowy.

Czuł, jak z każdym kęsem wracają mu siły. Nim skończył jeść, ręce przestały mu się trząść, a od pełnego brzucha promieniowało przyjemne ciepło. Wciąż nie do końca udobruchany, zdobył się na skinienie w stronę Justine, które miało wyrażać podziękowanie.

W odpowiedzi wdzięcznie pochyliła głowę, jakby mu dawała do zrozumienia, że chętnie zrobiła coś, co uważała za swój obowiązek. Wciąż nie umiał dojść do ładu z jej nagłą obecnością w swoim życiu, natomiast ona nie wydawała się zakłopotana tą sytuacją. Choć podczas kolacji prawie na niego nie patrzyła, cały czas świadoma jego potrzeb pilnowała, by je bezzwłocznie zaspokajano. Gdy tylko dostrzegała

problem, nie zwlekała z pomocą, dbając przy tym, by nie ucierpiała godność Williama.

Może wcale nie stało się źle, skoro poślubił piękność gotową poświęcić życie dbaniu o moje zdrowie i szczęście? Tego wieczoru miała na sobie jedwabną suknię w kolorze nasyconej zieleni. Na innej kobiecie ten odcień mógłby się wydać nieciekawym, natomiast u niej podkreślał oryginalną barwę oczu. Dekolt, wprawdzie głębszy niż w sukni noszonej w ciągu dnia, nadal mógł uchodzić za skromny. Odkrywał smukłą szyję i ramiona, ale reszty pozwalał się jedynie domyślać. Na głowę włożyła ten sam czepek co wcześniej, skutecznie zakrywając większość włosów.

Wydało mu się niesprawiedliwe, że nie może jej sobie przypomnieć z czasów, nim założyła ten atrybut małżeńskiej stateczności. Bratowa raczej nie przejmowała się takimi rzeczami nie z chęci eksponowania swoich blond pukli, ale z powodu kompletnego braku zainteresowania modą.

W przypadku Justine nieszczęsny czepek kojarzył mu się nie tyle ze skromnością, ile z pragnieniem ukrycia czegoś, co najbardziej chciał zobaczyć. Podobnie było z jej pięknymi oczami, wpatrzonymi w talerz, oraz dźwięcznym głosem, którego używała wyłącznie wtedy, gdy się do niej zwracano. Przypominała zamkniętą księgę, z której nic nie dało się wyczytać. Pozostała przy stole, dopóki nie sprzątnięto po deserze, po czym dygnęła wdzięcznie i przeniosły się obie z Penny do bawialni; mężczyźni zostali sami, żeby się delektować porto.

- Dasz radę unieść kieliszek? - spytał Adam, nalewając wino. - Czy to zbyt trudne?

- Dla zasobów z twojej piwniczki mogę się zdobyć na wysiłek - odparł Will. Miał wielką ochotę się napić, żeby choć trochę rozładować napięcie.

- Tylko nie urwij mi głowy, jeśli ci się nie uda - ostrzegł go brat z uśmiechem. - Twojej żonie może to nie przeszkadza, ale jeśli będziesz mi sprawiał dalsze kłopoty, wezwę panią domu, żeby cię położyła do łóżka jak twojego małego bratanka.

- Wybacz - rzekł Will tonem dalekim od przeprasającego. - Mam piekielną migrenę. - Zmarszczył czoło. - Nie posyłaj po laudanum. Jeśli, jak twierdzisz, leżałem bez przytomności miesiącami, myśl o usypianiu się lekiem jest mi wstrętne.

- Jeśli? - Adam przyjrzał się bratu spod uniesionych brwi i pociągnął łyk wina. - Powiedz mi, a znasz mnie od urodzenia, czy kiedykolwiek cię okłamałem.

- Oczywiście, że nie - odparł Will wpatrzony w zawartość kieliszka. Było mu głupio za nutę sceptycyzmu wyraźnie wyczuwalną w jego głosie. - Zdarzało się jednak, że wierzyłeś w kłamstwa innych.

Adam skinął głową.

- Uważasz, że w tej sprawie ktoś mnie okłamuje? Jak to możliwe przy tak oczywistych dowodach? Patrzyłem, jak leżysz bez ducha w pokoju na górze przez kilka miesięcy. Nie było żadnych wątpliwości, że odniosłeś bardzo poważne obrażenia i jesteś bliski śmierci.

- Ale nie było cię przy wypadku - zauważył Will.

- Nie - przyznał Adam.

- Mimo to wierzysz w wersję wydarzeń przedstawioną przez tę Justine de Bryun?

- Owszem, wierzę w to, co mówi. Nazywa się lady Justine Felkirk, ponieważ jest twoją żoną.

- Skąd to wiesz? - W geście bezradności Will uderzył pięścią w blat stołu, kryształowe kieliszki zadrżały. - Powiedziano mi, że nie byłeś na ślubie. Widziałeś dokument pozwolenia na zawarcie małżeństwa?

Adam odpowiedział bez wahania:

- Ożeniłeś się w Gretna Green, podobnie jak ja. Żadne pozwolenie nie było potrzebne.

- To dlaczego jej wierzysz? - nie ustępował Will. - Jakie masz dowody poza słowem obcej kobiety? Skąd wiesz, że to nie ona jest odpowiedzialna za mój stan?

Tym razem spojrzenie brata wyrażało przyganę.

- Ponieważ nie znajduję powodu, dla którego miałyby cię zranić, a następnie przybyć do mojego domu, wyczerpana po wielu dniach spędzonych w powozie, z twoją rozbitą głową na kolanach, żeby cię pielęgnować w powrocie do zdrowia.

- Może istotnie nie jest winna - uznał William, czując się jeszcze bardziej głupio - ale to nie znaczy, że się z nią ożeniłem. Gdybym dał się ponieść wielkiej namiętności, która popchnęłaby mnie do pośpiesznego ożenku, powinienem obecnie odczuwać jakieś jej pozostałości.

- Pozostałości? - Adam uśmiechnął się pod nosem. - Mówisz o tym wspaniałym uczuciu, jakim jest miłość, jakby chodziło o szkodliwy nalot.

- Czy to normalne, że zapomniałbym kobietę, która tak wygląda? - Nawet jego brat, pozostający w szczęśliwym związku, musiał zauważyć, że Justine de Bryun jest piękną zapadającą w pamięć. - Czy to normalne, że nic nie czuję, kiedy na nią patrzę?

- Nic? - zdziwił się Adam.

Will wzruszył ramionami. Ostatnie stwierdzenie nie do końca oddawało prawdę. Żaden mężczyzna nie mógłby spoglądać na jego rzekomą żonę i nic przy tym nie poczuć. Z pewnością jednak nie powinien się miotać między podejrzliwością

a pożądaniem.

- Nic, co wydarzyło się przez minione ostatnie miesiące nie było normalne - powiedział Adam, jakby to miało pocieszyć Willa. - Mogę cię jedynie zapewnić, że odkąd wróciłeś do nas w tak fatalnym stanie, tylko na jedno mogliśmy liczyć, na miłość Justine. Nawet przez moment nie przestała w ciebie wierzyć, nawet kiedy twój powrót do zdrowia wydawał się nader wątpliwy.

- Nie winię jej za poświęcenie, ale to samo mogłaby zrobić dla mnie współczująca obca osoba.

- Bez wątpienia jest dla ciebie kimś więcej - stwierdził Adam. - Gdy ją poznaliśmy, od razu podbiła moje serce, zapewne podobnie było w twoim przypadku. Jest nie tylko oddana i piękna, ale też utalentowana. Stanowi miłe towarzystwo, ma doskonałe maniery, w niczym nie przypomina tych pustogłowych gąsek, które cię oblegały w Londynie.

- To miłe, że od razu ją pokochałeś, ale masz własną żonę - przypomniał mu Will.

- Nie zachowuj się jak dureń! - zirytował się Adam. - Penny także ją pokochała. Są jak siostry. W ciągu dwóch miesięcy stała się dla nas niczym członek rodziny.

- To nie tłumaczy, z jakiego powodu się z nią ożeniłem - upierał się William. - Nie wyjaśnia też, dlaczego chętnie przyjąłeś ją do swojego domu po usłyszeniu nędznych wyjaśnień. Nagły wyjazd do Gretna Green? Upadek z konia? Ani jedno, ani drugie nie brzmi wiarygodnie. Pamiętasz, żebym kiedyś podejmował nieprzemysłane decyzje? Upijam się, dokonuję głupich zakładów, ścigam się konno, zadaję z obcymi kobietami?

- Jesteś wyjątkowo rozsądnym człowiekiem - odparł Adam. - Niemal zbyt rozsądnym jak na młodszego brata. To ja powinienem cię pouczać. Pamiętam, jak mnie zrugaleś, kiedy przywiozłem Penny do Londynu...

- Nie mówmy o tym - poprosił William, unosząc dłoń w geście protestu. - Nie miałem racji. Jak sam mówisz, jestem aż nadto ostrożny. Dlatego wątpię, żeby wszystko wyglądało tak, jak mi to przedstawiono. Zachowanie, jakie przypisuje mi Justine de Bryun, zupełnie nie leży w moim charakterze. Nie bez znaczenia jest to, że możesz polegać jedynie na jej słowach.

Adam ściągnął brwi, jakby się namyślał, po czym wyznał:

- Z początku żywiliśmy wątpliwości. Rozwiały się, gdy tylko lepiej ją poznaliśmy.

- Dlaczego? - Will z trudem panował nad irytacją.

- Ponieważ rozmawiając z nią, nabraliśmy przekonania, że dokładnie odpowiada typowi kobiety, jaki wybrałbyś sobie na żonę. Jest zrównoważona, mądra, zachowuje zimną krew w trudnych sytuacjach i ma żywą inteligencję. Do tego jej

gust i poglądy, poczucie humoru i styl życia idealnie psują do twoich. – Adam pokręcił głową, jakby się dziwił. – To jasne, że jest twoją bratnią duszą. Jak mógłbyś się ożenić z kimkolwiek innym?

– Chyba żartujesz. – Will pomyślał o dziewczynie, która prawie nie patrzyła mu w oczy, do tego niemal w ogóle się nie odzywała, i zastanawiał się, czy naprawdę tak go postrzegają inni.

– Wiem, że w tej chwili to trudne, ale musiałeś dostrzec te wszystkie zalety, kiedy ją poznałeś. Najwyraźniej przyciągnęły was do siebie podobieństwa. Zaufaj mi, Will. Wy dwoje jesteście jak dwa magnesy. Od chwili, gdy tu przybyła, cały czas spędzała przy tobie. Codziennie rano wychodziła na krótki spacer, ale poza tym cię nie odstępowała.

– Nie licząc nocy – sprostował William. Myśl o bezustannej obserwacji wydawała mu się odstręczająca.

– Większość nocy spędzała na składanym łóżku w twojej garderobie – powiedział Adam. – Chciała być blisko, na wypadek gdybyś się obudził. Nie wzdragała się przez żadną posługą przy tobie, w każdym razie każdą była gotowa świadczyć.

Znów wstrząsnął nim dreszcz, ten sam, który poczuł, gdy wyobraził sobie Justine z brzytwą w ręku. Bez wątpienia dorównywała urodą Dalili. Czy nie mogła być równie niebezpieczna?

Wyglądało jednak na to, że Adam nie podziela jego lęków.

– Od samego początku pielęgnowała cię z wielkim oddaniem, jakby już doświadczyła twojej miłości i podziwu. Jestem pewien, że znów je w sobie odnajdziesz, kiedy całkowicie dojdiesz do siebie. Tymczasem skoro nie potrafisz zaufać własnemu sercu, uwierz zapewnieniom rodziny. Wszystko będzie dobrze. A teraz dopij wino i pozwól, że cię odprowadzę do pokoju. Z pewnością rano poczujesz się zupełnie inaczej.

Czy kiedykolwiek radziłem się serca, podejmując tak doniosłe decyzje? – zastanawiał się William. Nie widział sensu w uświadamianiu Adamowi bezużyteczności jego rady. Serce było kapryśnym organem, gotowym podpowiedzieć coś wręcz przeciwnego, niż nakazywała nieszczęsna obolała głowa. Kiedy kamerdyner pomagał mu się przygotować do nocnego spoczynku, Will czuł się nie tylko słaby, ale też całkiem skołowany. Nie miał śmiałości wyznać Stewartowi ani nawet własnemu bratu, że boi się wracać do łóżka, w którym przeleżał tak długi czas. A gdyby tak zamknął oczy i po otwarciu ich odkrył, że uciekło mu z życia kolejne pół roku?

Oczywiście nic takiego nie mogło się zdarzyć. Od popołudnia nastąpiła

zauważalna poprawa. Ból i uczucie zagubienia wprawdzie nie zniknęły, ale pusta tablica jego pamięci zaczęła się zapełniać, choć litery, które widział na niej oczyma wyobraźni, nakreśliła cudza ręka. Wiedział, że potrzebuje snu, mimo iż nie czuł się zmęczony. Rano zamierzał chodzić, chociaż tak naprawdę wcale nie chciało mu się ruszać. Żywił nadzieję, że stopniowo zdoła się otrząsnąć, zmusi ciało i umysł do działania zgodnie z jego wolą.

Ledwie Stewart odszedł, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Justine weszła do pokoju, nie czekając na zaproszenie, cicha jak duch, w prostej nocnej koszuli.

Poczuł apetyt, który nie miał nic wspólnego ze stanem serca czy umysłu. Kiedy patrzył na Justine, pożądanie nie potrzebowało pamięci, wystarczyło to, co widział. Przez cienkie płótno prześwitywał zarys ciała. Musiało być miękkie i ciepłe; gdyby tego zażądał, przyłgnęłoby do niego. Choć na chwilę zapomniałby o lęku związanym z przeszłością i przyszłością, rozkoszując się teraźniejszością. Może powtórzenie tego, co wcześniej musieli robić, obudziłoby w nim jakieś wspomnienie?

A może strach wcale by nie zniknął? Nawet po wspólnie spędzonej nocy mogła pozostać dla niego taką samą tajemnicą jak dotychczas. W zielonych oczach i bladym uśmiechu było coś niepokojącego. Jakby stanowiły piękną maskę, która może spaść nagle o północy i odsłonić coś zupełnie nieoczekiwanego.

Na myśl o wzięciu Justine do łóżka poczuł nagłą nerwowość, jakby znalazł się przed ołtarzem. Jeśli wierzyć opowieściom, już tam stanął. Tamtej nocy z pewnością panował nad własnym ciałem. A teraz, skoro nie miał siły samodzielnie chodzić, jak mógłby poradzić sobie z kobietą w łóżku? Był ciekaw, czy porównywałaby swoje doznania z wcześniejszym doświadczeniem.

Może ona także się bała? Wyglądała raczej jak dziewczycza ofiara; w prostej białej koszuli bez ozdób, z włosami spływającymi na plecy luźno splecionym złotorudym warkoczem. W świetle płomieni z kominka wydawała się młodsza, jakby miała nie więcej niż dwadzieścia dwa lata.

Nagle poczuł wyrzuty sumienia, że jej nie wierzy. Wyglądała zbyt niewinnie, by skrywać jakiegokolwiek mroczne sekrety. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało, by dążyła do fizycznego kontaktu z nim. Przeciwnie, kiedy byli sami, nieśmiałość, którą zauważył u niej podczas kolacji, tym bardziej rzucała się w oczy.

Po chwili nieufność wróciła. Jeśli naprawdę została jego żoną, to czyż nie powinna okazywać więcej radości z faktu, że się obudził i dochodzi do zdrowia? Nie powinno jej zależeć na odzyskaniu fizycznej bliskości z mężem? A może ożenił się z nią i dopiero po ślubie odkrył, że nie odwzajemnia jego namiętności? Wcześniej mówiła o jego dobroci i uprzejmości. Nie wspomniała o pragnieniu, nie rzuciła mu się na

szyję, nie poczuł na twarzy pocałunków wyrażających ulgę, że wreszcie wrócił do żywych. Uśmiechała się do niego miło, lecz chłodno.

W odpowiedzi zdobył się na wymuszony grymas, który także miał być uśmiechem.

- Co tu robisz? - spytał, nawet nie próbując ukryć zdziwienia.

- Pomyślałam, że skoro nie śpisz...

Sądziła, że wejdzie mu do łóżka i sytuacja między nimi zmieni się na lepsze? Będą z zapalem spółkować, by udowodnić, że nieświadomość przeszłości nie ma żadnego znaczenia? Czyżby mężczyznami dało się aż tak łatwo manipulować?

Przeszła obok niego i usiadła na przeciwległym brzegu łóżka. Wyglądała jak pięknie uformowana drewniana lalka, umieszczona na krawędzi półki. Gdyby jej dotknął, opadłaby na plecy z tym samym nieobecny wyrazem oczu, rozsunęła nogi i pozwoliła mu się posiąść.

Na tę myśl poczuł dziwne mulenie w środku. Po tak długim czasie skrępowanie nie byłoby niczym niezwykłym. Jeśli parę łączyła miłość, dało się je rozładować śmiechem po szeptanej rozmowie o potrzebie cierpliwości i zapewnieniach, że liczy się wyłącznie czuła bliskość.

Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, by z nią miał w taki sposób rozmawiać. Patrząc na Justine, czuł jedynie trudną do określenia, niepokojącą żądzę. Chciał zobaczyć, co znajduje się pod skromną koszulą, którą miała na sobie, dotknąć jej włosów. Jednak najbardziej ze wszystkiego pragnął zagłębić się w niej i poczuć, że pamięć przeszłości wraca, wymazując lęki i wątpliwości ostatniego dnia.

A czego ona oczekiwała? Spoglądała na niego wzrokiem, który wyrażał spokojne przyzwolenie, co bynajmniej nie zachęcało go do podejmowania jakichkolwiek działań. Może powściągliwe kobiety nie czerpały przyjemności z małżeńskiego pożycia? Jeśli rzeczywiście tak było w jej przypadku, jak on miałby odczuwać radość z takiego zbliżenia? Zazdrościł Adamowi i Penny, którzy bez wątpienia stanowili dwie połówki tego samego jabłka. Może jemu takie szczęście nie było pisane? Adam twierdził, że on, Will, jest podobny do tej kobiety. Skoro ona była chłodna i apatyczna, co można było powiedzieć o nim?

Trochę za długo gapił się na nią bez słowa, zaczęła więc jeszcze raz:

- Kiedy byłeś nieprzytomny, spałam zawsze w pobliżu twojego pokoju. Mam składane łóżko w garderobie. Chciałam być niedaleko, na wypadek gdybyś krzyczał przez sen.

- Nie będzie już takiej potrzeby - zapewnił.

Prawdopodobnie powiedziała to, by dodać mu otuchy, tymczasem on nade wszystko pragnął zostać sam i zastanowić się nad tym, co go spotkało.

Przygryzła wargę, po czym powiedziała:

- Wolałabym się trzymać w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował, ale jako mój mąż możesz zdecydować, gdzie mam się położyć.

Spojrzała wymownie na posłanie. To był jedyny moment ożywienia widoczny na jej twarzy, na której przez cały czas gościł wyraz spokojnej uległości.

To odkrycie tym bardziej zniechęciło go do cielesnego kontaktu. Milczał jeszcze przez chwilę, a potem zaśmiał się z udawanym zaskoczeniem.

- Przykro mi to mówić, moja droga, ale nie ma dla mnie znaczenia, gdzie będziesz spała tej nocy. Jestem stanowczo zbyt wyczerpany, żeby się zdobyć na jakiegokolwiek miłosne poczynania.

Tak jak się obawiał, odmową sprawił jej raczej ulgę niż rozczarowanie. Podniosła się sztywno i ruszyła w stronę korytarza prowadzącego do sąsiedniej sypialni.

- W takim razie wrócę do swojego pokoju, żebyś mógł wypoczywać. Gdybyś w nocy czegoś potrzebował...

- Zadzwońię po służbę - przerwał jej szorstko. - Więcej nie musisz zadawać sobie trudu ani spać w nogach mojego łóżka jak pies. Gdybym czegoś od ciebie potrzebował, zapukam do twoich drzwi.

Inna kobieta mogłaby odplącić mu tak samo nieuprzejmym słowem albo wybuchnąć bezsensownym szlochem. Tymczasem Justine jedynie skinęła głową i odpowiedziała tonem dobrze ułożonej pokojówki:

- Doskonale, milordzie.

Uporczywy głos wewnątrz czaszki łajał go, żądając, by poniechał tak niestosownego zachowania. Nawet jeśli nie stanowili dwóch połówek jabłka, nie miał prawa traktować jej w ten sposób.

- Zobaczymy się rano - dodał, starając się przybrać łagodniejszy ton. - Na dole przy śniadaniu.

- Oczywiście.

Wyobraził ją sobie, jak siedzi cicho, je, kiedy on jej każe, pije na jego życzenie i przez cały czas zachowuje się niczym bezwolna marionetka. Gdyby rzeczywiście tak miało być, Adam całkowicie by się mylił. Justine stanowiła przeciwieństwo kobiety, jaką Will wybrałby na żonę. Nie miała w sobie ducha, nie stawiała mu żadnego wyzwania. Niczego nie mógł się od niej nauczyć, niczego ciekawego w niej odkryć. Kobieta opuszczająca jego pokój była idealnie piękna, całkowicie mu posłuszna i... nudna.

Nieoczekiwanie w jego głowie rozbłysło wspomnienie z przeszłości: obserwował brata, dumnego z syna i żony podczas uroczystości chrztu. Niemowlę płakało,

a jego matka, bliska paniki, nie umiała zapanować nad sytuacją. Nie mąciło to w najmniejszym stopniu szczęścia bijącego z oblicza Adama. Można było odnieść wrażenie, że pokój aż tętni życiem. Wtedy po raz pierwszy Will poczuł zazdrość. Zapragnął mieć żonę i rzeczywiście postanowił ożenić się w trakcie najbliższego roku.

Nie pamiętał, by wyraził swoje postanowienie głośno, ale z pewnością tkwiło mu w głowie, kiedy po chrzcinach opuszczał dom brata. Kierował się na południe. Mnóstwo pięknych kobiet chętnie przyjęłoby jego oświadczenia. Postanowił wybrać jedną z nich po tym, jak...

Jak co? Było jeszcze coś, co zamierzał. Dopiero później miał się ożenić. Cokolwiek to było, musiał osiągnąć cel, bo przecież wypełnił drugą część planu i znalazł sobie żonę.

Pozostawało mu zaakceptować własny wybór. Nachylił się, żeby zdmuchnąć świecę, po czym spoczął na łóżku, które choć znajome, wydało mu się puste.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Podczas tygodni spędzanych w Bellston Manor Justine znajdowała rozmaite usprawiedliwienia dla porannych spacerów. Lubiła regularny wysiłek fizyczny. Uwielbiała naturę. Chciała się zapoznać z okolicą, która miała się stać jej domem po – podówczas wątpliwym – wyzdrowieniu Williama Felkirka. Usłyszała przypadkiem, jak Penny rozmawia z księciem o jej przechadzkach; oboje odnosili się do nich z aprobatą. Kiwając głowami ze współczuciem, zgodnie przyznawali, że biednej Justine należy się choćby krótkie wytchnienie od opieki nad chorym.

Bolało ją, że tak dobrodusznie przyjmują jej kolejne kłamstwo. Spośród przedstawianych przez nią powodów liczył się tylko jeden – regularne samotne wyjścia pozwalały łatwo ukryć tych kilka spacerów, których nie odbywała w pojedynkę.

Przejsie przez wypielęgowany park zajmowało jej prawie dziesięć minut. Dalej ścieżka wiała się pośród drzew, które stanowiły skuteczną osłonę przed niepożądanymi spojrzzeniami. Przez większość poranków odosobnienie dawało jej okazję, by się odprężyć i być sobą. Niedługie chwile spędzane między dębami należały tylko do niej i były nowością. Ileż to lat minęło od czasu, gdy mogła czuć, że choćby przez moment kontroluje własne życie?

Tego ranka było inaczej. Odosobnienie oznaczało jedynie zmianę dekoracji. Ledwie zdążyła się skryć, usłyszała za sobą kroki. Mimo że oczekiwała nadejścia Johna Montague'a, wzdrygnęła się na jego widok.

Nie potrafiła się wyzbyć tego odruchu i bardzo ją to irytowało. Nawet nie starał się wtopić w otoczenie, miał na sobie ten sam nienagannie skrojony czarny surdut i śnieżnobiałe bryczesy, które lubił nosić w mieście. Wzorzysta jedwabna kamizelka odbijała się od zielonego tła niczym barwny tropikalny ptak. Mocny zapach wody kolońskiej nie pasował do naturalnych woni otaczającej ich przyrody. Miał kościste ciało, ostre rysy, czerstwą cerę i kręcone rude włosy.

Jedyną bardziej subtelną cechą, jaką się charakteryzował, była umiejętność bezszelestnego poruszania się. Niezależnie od tego, czy szedł przez las po opadłych liściach, czy po twardej marmurowej posadzce sklepu jubilerskiego, który razem prowadzili w Bath, nie zdarzało się, by stuk obcasa czy szurnięcie podeszwą zdradziło, że się zbliża. Pojawiał się znienacka jak kot i tak samo znikał. Po każdym spotkaniu przez długie godziny zachowywała nienaturalną czujność, wzdrygając się

z byle powodu i oglądając przez ramię, przekonana, że może być gdzieś w pobliżu, nasłuchuje, patrzy, czeka, aby się objawić w najmniej spodziewanym momencie.

Jak zwykle, wyśmiał jej strach, jakby mu to sprawiało przyjemność. Następnie przyciągnął ją do siebie, by jej przypomnieć, że należy do niego, nie do Williama Felkirka. Pozwoliła mu się pocałować jak zawsze, zachowując opanowanie. Jeśli nie mogła wzbudzić w sobie odzewu innego niż wstręt, lepiej było nie okazywać żadnych emocji. Kiedy już nie była w stanie znieść dotyku jego ust, odsunęła się, udając, że powodem jest chęć jak najszybszego podzielenia się z nim świeżymi wiadomościami.

Przechylił głowę na bok, jakby się zastanawiał, czy powinien ją ukarać za zuchwałość. W końcu się odezwał.

- Widziałem światło w twoim oknie. Masz jakieś nowiny?

- Felkirk się obudził. - Montague głośno wciągnął powietrze, więc dodała pośpiesznie: - Niczego nie pamięta.

- Niczego? - Uśmiechnął się, zadowolony z tej cudownie sprzyjającej okoliczności.

- Zupełnie nic z ostatnich sześciu miesięcy - zapewniła. - Nie pamięta swojego dochodzenia ani ciebie. - Ani mnie, dodała w myślach. - Co najważniejsze, nie przypomina sobie momentu, kiedy został ranny. Powiedziałam mu, że spadł z konia.

- Uwierzył ci? - spytał Montague bez specjalnego optymizmu.

- Nie wiem.

- Co będzie, jeśli okoliczności się zmienią?

- Nastąpi katastrofa. Muszę zniknąć, zanim to się stanie.

Plan ucieczki od Montague'a okazał się nierealny, skoro znów była na niego skazana. Uznała jednak, że lepiej wrócić do diabła, którego się zna, niż być narażoną na to, co będzie, gdy lord Felkirk przypomni sobie autentyczny przebieg wypadków.

- Co z diamentami? - spytał Montague. - Jesteś w tym domu od tygodni. Mam wierzyć, że niczego nie znalazłaś?

- Nie znalazłam.

- Sprawdziłaś w szkatułce, gdzie księżna trzyma biżuterię?

Justine westchnęła.

- Przecież już ci mówiłam. Udałam, że jestem po kobiecemu ciekawa, i pokazała mi wszystkie klejnoty. W żadnym z tych pasujących do zestawu, który przewoził mój ojciec, nie ma poszukiwanych przez nas kamieni.

- Muszą być schowane gdzie indziej - upierał się Montague. - Po przybyciu do

Bath Felkirk był pewien, że zna miejsce ich ukrycia.

- Zatem ta wiadomość tkwi w jego mózgu razem z powodem jego niedyspozycji. - Justine miała ochotę chwycić swojego rozmówcę za rękaw i odciągnąć głębiej w zarośla. Zrezygnowała jednak, ponieważ każdy jej nawet najbardziej niewinny gest dawał mu poczucie, że może sobie poczynać coraz śmieiej. - Musisz mnie stąd wydostać.

- Nie będziemy mieć diamentów - zauważył niezadowolony Montague. - Bez nich niczego nie zyskamy na tej całej maskaradzie, na którą się uparłaś. Równie dobrze mogłaś pozwolić, żebym wykończył go w Bath.

- A może Felkirk wyjawiał komuś swoje plany? - Zaryzykowała i pogładziła go po ramieniu, żeby odwrócić jego uwagę od poprzedniego tematu. - Nie lepiej wiedzieć, że żaden ślad nie prowadzi do ciebie?

- Odkryłaś to prawie natychmiast - przypomniał jej. - Jeśli nigdzie nie znalazłaś poszukiwanych przez nas diamentów, to powinnaś była zrobić tak, jak radziłem, i udusić go, kiedy spał.

- Wiesz, że nie mogłam.

Starła się zachować spokój, choć słysząc, z jaką nonszalancją Montague mówi o zabójstwie z zimną krwią, zadrżała. Nawet w sytuacji zagrożenia własnego życia nie potrafiłaby się zmusić do popełnienia mordu.

- Nie rozumiem, co cię powstrzymuje - mówił dalej Montague. - Jego rodzina odpowiada za śmierć twojego ojca, który był moim najlepszym przyjacielem. - Uderzył się w pierś dla podkreślenia wspomnianej więzi. - Został zamordowany na ich terenie, kiedy wiozł dla nich diamenty. Nie zapewnili bezpiecznego przejazdu na swojej ziemi. Nie zaproponowali mu eskorty strażnika. A kiedy popełniono zbrodnię, nie kiwnęli palcem, żeby złapać zabójcę. Nawet gorzej, mogli być współwinni. Jeśli Felkirk ma rację i kamienie znajdują się nadal na terenie posiadłości, to w co mamy wierzyć?

- Wątpię, żeby tak to przebiegło. - Według niej, taka wersja była niewiarygodna. Po co księżę miałby napadać na jubilera, skoro mógł bez trudu zapłacić za kamienie?

- Może i nie - przyznał Montague - ale sprawiedliwości powinno stać się zadość.

- To prawda - przytaknęła ostrożnie - ale wzięcie sprawiedliwości we własne ręce i zaatakowanie brata księcia było bardzo niebezpieczne.

Czy jej ojciec wiedział o szaleństwie współnika, kiedy ustanawiał go opiekunem pary bezbronnych sierot? Nie miało to większego znaczenia, ponieważ i tak niewiele mogła działać, dopóki Margot nie osiągnie pełnoletności.

- Przeżył atak i nie pamięta, co się stało, więc nie będziesz ścigany - dodała.

- Wszystko pięknie, ale kiedy aranżowałaś tę całą maskaradę, obiecałaś, że znajdziesz diamenty, których szukał Felkirk, i mi je oddasz.

Zdumiało ją, że mógł w coś podobnego uwierzyć. Gdyby natrafiła na kamienie utracone przez ojca, sprzedałaby je i uciekła z siostrą tam, gdzie ani Montague, ani Felkirk nie mogliby jej odszukać.

- Jak ci mówiłam, nigdzie nie natrafiłam nawet na ślad po nich. Plan nie wypalił. Musisz mi pomóc opuścić ten dom, zanim będzie za późno i lord Felkirk przypomni sobie, kim naprawdę jestem. - Z westchnieniem, próbując go zachęcić, zaproponowała: - Moglibyśmy wziąć pokój w gospodzie po drodze do Bath.

- Tęsknisz za mną? - spytał z obleśnym uśmiechem. - Jak miło. Nic się nie martw. Wkrótce wrócisz do mojego łóżka i będzie tak jak wcześniej, zanim Felkirk nas odszukał. Myślę jednak, że na razie powinnaś zostać tu, gdzie jesteś. Może wrócić mu pamięć, a wówczas mogłabyś wyciągnąć od niego wiadomości, których potrzebujemy. Nadal może nam się udać.

- To będzie wymagało przekonania go, że jestem jego żoną - zauważyła. - Wiesz, czego będzie ode mnie oczekiwał. - Wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby zaborczość Montague'a w końcu się na coś przydała.

Chwyił ją mocno za ramię, była pewna, że samo wspomnienie o takiej możliwości skłoni go do wymierzenia jej kary. Tymczasem Montague ją pocałował, wpychając język do ust, jakby myśl o jej ewentualnym zbliżeniu z Felkirkiem go podnieciła. A może po prostu chciał ją przestraszyć i zmusić, by odwzajemniła jego awanse?

Na to nie było najmniejszej szansy. W takich momentach nauczyła się całkowicie wyłączać uczucia. Myślała wówczas jedynie o tym, że trzeba tylko trochę poczekać i będzie po wszystkim.

W końcu oderwał się od niej i szepnął:

- Musisz wykorzystać swoje talenty. Wiem, że sobie poradzisz. Tak wiele trzeba, żeby skłonić Felkirka do mówienia i wyciągnąć od niego wszystko, co chcemy wiedzieć?

- A jeśli jednak mi się nie uda? Jeśli sobie przypomni, że widział mnie z tobą? W Bath na pewno się domyślił, że jestem twoją kochanką. Widziałam to w jego oczach. Nie każ mi tego robić, bo z pewnością się nie powiedzie.

- Lepiej dopilnuj, żeby się udało - syknął. - Dla własnego dobra... i swojej siostry.

- Nie wspominaj o Margot. - Wyszarpnęła ramię z jego uścisku, znów spięta lękiem, który specjalnie u niej wywołał.

- Będę mówił o niej lub do niej, kiedy tylko przyjdzie mi ochota. - Dobrze znał jej

słaby punkt i celował weń bez skrępowań, napawając się jej wyraźnym przestraczem. – Do czasu pełnoletności Margot nadal pozostaje moją podopieczną. – Znowu chwycił jej dłoń, tym razem nieco delikatniej. Przesunął palcami po skórze, najwidoczniej uznając, że ją to podnieci. – Bez ciebie czuję się bardzo samotny, Justine. Może powinienem zabrać Margot ze szkoły. Mogłaby zająć twoje miejsce, pracować w sklepie. Dotrzymywałyby mi towarzystwa, dopóki nie wrócisz. – Podniósł jej dłoń do ust i przejechał końcem języka po kostkach. – Muszę przyznać, że prawie dorównuje ci urodą.

Znowu wyłączyła emocje, żeby nie czuć jego dotyku.

– Nie ma potrzeby sprowadzać Margot – odezwała się spokojnym, niemal przymilnym tonem. – Zrobię dokładnie tak, jak radzisz. Odkryję, czego Felkirk się dowiedział. Potem wrócę do ciebie i wszystko będzie jak dawniej.

– Liczę na to – rzekł ostrzegawczo, patrząc jej prosto w oczy. – Masz zrobić wszystko, co niezbędne, żeby uzyskać informacje, których potrzebujemy. Będę miał te kamienie, Justine, a potem będziemy razem.

Wszystko, co niezbędne. Miała okłamywać Williama Felkirka, a do tego dzielić z nim łóżko. Może nadal istniała szansa, że odnajdzie diamenty i zaraz potem ucieknie? Miała jednak świadomość, że do tego czasu utraci część siebie, tak jak działo się za każdym razem, gdy była z Montagem. Ile jeszcze mogła utracić, skoro już czuła się pusta w środku?

– Oczywiście – odparła. Słyszała własny głos zniekształcony, jakby dobiegał z daleka. Myślała o Margot, o tym, że powinna zostać w szkole jeszcze przez rok, bo tam jest bezpieczna. – Zrobię wszystko, co będzie trzeba.

Pozwoliła się jeszcze raz pocałować, tym razem jednak Montague pociągnął ją ze ścieżki głębiej w zarośla. Najwyraźniej miał ochotę na dalsze, bardziej namiętne pieszczoty, ale nie było na nie czasu. Odepchnęła go od siebie i wygładziła suknię.

– Oczekują, że zaraz wrócę. Wyszłam na krótki spacer. Nie mogę zostać dłużej. Jeśli Felkirk zejdzie na śniadanie, będzie chciał mnie widzieć przy stole. – Pocałowała Montague'a w usta, żywiąc nadzieję, że nie rozpozna w jej zachowaniu uniku.

– Jasne. – Przygładził jej włosy i poprawił czepek, wykorzystując pretekst, by jeszcze raz jej dotknąć. – Wracaj do domu. Nie wzbudzaj podejrzeń, ale też nie zwlekaj za bardzo. Pamiętaj, że Margot przyjeżdża ze szkoły na święta. Jeśli nie będziesz z nami, przekażę jej...

Odwróciła się gwałtownie i odeszła. Jak zawsze nie mogła wyjść ze zdumienia, że jej opiekun potrafi nawet zwykłe słowo pożegnania zamienić w groźbę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Will spał niespokojnie, budził się nagle i często, jakby udowadniał sobie, że jest w stanie ponownie otworzyć oczy. Do rana ból głowy nieco zelżał. Zdołał zrobić kilka chwiejnych kroków po pokoju, nim zadzwonił po kule, które przygotowała dla niego służba.

W pokoju śniadaniowym zastał służących, którzy właśnie zabierali ze stołu talerz z na wpół zjedzoną grzanką, posmarowaną marmoladą z oranżerii Tima Coltona. Zresztą jego ulubioną.

Adam podniósł wzrok znad filiżanki z kawą.

- Jeśli szukasz żony, to wiedz, że zdążyła wstać i wyjść z domu. Bardzo lubi poranne przechadzki, zupełnie jak ty, kiedy jesteś na wsi.

- Aha. - Will wyjrzał przez okno na blaknącą zieleń parku i kolorowe liście wirujące na wietrze. - Akurat ten zwyczaj przez jakiś czas będzie dla mnie niedostępny.

Księżę skinął głową, po czym się uśmiechnął.

- Nie masz pojęcia, jak dobrze cię widzieć znowu na nogach, nawet jeśli trochę chwiejnych.

- Dla mnie jest tak, jakby czas stanął w miejscu i nie minęło kilka miesięcy - wyjął Will.

- To dobrze. Nie pamiętasz bólu.

- Nie tylko to przegapiłem - przypomniał mu Will, spoglądając na pojemnik z marmoladą.

- Jak już ci mówiłem, nie ma się czego obawiać. W przeciwieństwie do mojej drogiej Penelope, Justine jest niezwykle cierpliwą kobietą. Nie poczuje się zraniona twoim brakiem pamięci.

- O tym nie pomyślałem - przyznał Will. Uświadomił sobie, że jeśli rzeczywiście się z nią ożenił, to nie tylko dla niego sytuacja jest trudna.

Adam nie krył zaskoczenia.

- Jakież to nieczułe. Owszem, zostałeś ranny i cierpiełeś, ale inni się o ciebie martwili i ubolewali nad twoim stanem. A wszystko przez głupi upadek z konia.

- No właśnie - mruknął Will. - Jak to się mogło zdarzyć?

- Zakładam, że chciałeś się popisać przed Justine. - Mimo starań w głosie Adama zabrzmiała nuta przygany. - Wszyscy zakochani mężczyźni zachowują się jak idioci.

W tej kwestii Will całkowicie się z nim zgadzał.

- I dlatego zawsze unikałem tego stanu...

- Aż do teraz - dokończył Adam.

- Nadal jednej rzeczy nie rozumiem - rzekł Will, jeszcze bardziej skołowany niż wcześniej. - Twierdzisz, że jest podobna do mnie. Załóżmy, że to prawda. Dlaczego nie przywiozłem jej do domu, żebyś ją poznał, i nie ożeniłem się jak Pan Bóg przykazał, w kościele? Skoro jest do mnie taka podobna, dlaczego na to nie nalegała? To się nie trzyma kupy.

Brat odpowiedział mu śmiechem.

- Nie potrafisz dostrzec powodu do jak najszybszego ożenku z taką kobietą? Biedaku...

- Rzeczywiście jest ładna - uznał Will.

- Wzrok ci odjęło? - rzucił cierpko Adam. - Ładna to zdecydowanie za mało powiedziane.

- No cóż, piękna - sprostował niechętnie Will. - Na świecie jest takich pełno i jakoś im się opierałem.

- Aż do teraz - powtórzył Adam.

- Nie mam pojęcia, skąd się we mnie wzięła ta magiczna przemiana. I co mnie zawiodło do Bath?

Książkę ściągnął brwi.

- Jestem pewien, że z czasem sobie przypomnisz. Jeśli nie, możesz zapytać Justine. - Spojrzał na brata pytająco. - Rozmawiałeś z nią?

- Krótko.

- Co znaczy, że zamieniłeś z nią mniej słów niż ze mną.

William pokręcił głową.

- Wolałbym najpierw usłyszeć twoją wersję wydarzeń.

- Przekonasz się, że jej opowieść w zasadzie pokrywa się z moją - zapewnił go Adam. - Nie pamiętasz jej, ale nie ma powodu zakładać, że będzie się wzdragać przed odpowiadaniem na twoje pytania.

William zamyślił się, nie bardzo wiedział, jak wytłumaczyć bratu swoje wątpliwości.

- Nie chodzi tylko o to, że nie pamiętam ślubu. Mam dziwne poczucie, że nie należy jej ufać.

Książkę z trudem opanował irytację.

- Lekarze uprzedzali nas, że możesz popadać w mroczne nastroje, o ile w ogóle wyzdrowiejesz. Staraj się nie pograżać w nich bez reszty.

- A jeśli nie mogę temu zapobiec? Twierdzisz, że będę ją kochał tak jak wcześniej,

że to tylko kwestia czasu. A jeśli nie?

- Wtedy uznam, że jeszcze w pełni nie doszedłeś do siebie, i powiem ci, że potrzebujesz znacznie więcej czasu. - Adam najwyraźniej nie dostrzegał powagi problemu nurtującego brata.

- W takim razie miej tę radę pod ręką, bo widok Justine nie wzbudza we mnie ciepłych uczuć i nie potrafię wyobrazić sobie, że kiedykolwiek ją kochałem.

- Zawsze brakowało ci wyobraźni - rzekł z westchnieniem Adam.

- Może rzeczywiście brakowało, ale nie chcę jej w sobie rozwijać tylko po to, by tworzyć prawdopodobne wizje rzekomego małżeństwa. Skoro nie mogę sobie przypomnieć żony, to czy nie dałoby się anulować ślubu? Z pewnością mój uszczerbek na umyśle...

Adam spojrzał na brata zmrużonymi oczami.

- Nic nie wskazuje na to, by twój umysł szwankował, kiedy ją poznałeś. Wypadek zdarzył się później. Zadeklarowanie uszczerbku na umyśle spowodowałoby dodatkowe problemy. Wolisz, żebym przejął zarządzanie twoimi pieniędzmi i ziemią, skoro jesteś niezdolny do podejmowania decyzji? A jeśli będziesz chciał powtórnie się ożenić? Jak mielibyśmy zagwarantować tej drugiej kobiecie, że nie spotka jej podobny los? Jeśli nie chcesz, by na resztę życia oddano cię pod moją opiekę i traktowano tak, jakbyś nie potrafił sam dbać o własne sprawy, lepiej docień ten rozum, jaki masz, i nie wyskakuj z takimi pomysłami.

Willowi zabrakło kontrargumentu.

- Już lepiej, żebyś od nowa poznawał żonę, jakby była to obca osoba, i z czasem na nowo wyhodował w sercu uczucie. Przypuszczam, że odpowiedź na wszystkie twoje wątpliwości jest całkiem prosta. Udział w ceremonii chrztu natchnął cię myślami o małżeństwie. Pojechałeś do Bath, bo wiedziałeś, że tam można spotkać wiele młodych dam, wybrałeś najbardziej odpowiednią kandydatkę i się oświadczyłeś. Ponieważ byłeś zdecydowanie przeciwny mojemu pośpiesznemu ożenkowi, nie zrobiłbyś tego samego, gdyby więzy między wami dwojgiem nie były mocne.

Słowa brata zabrzmiały rozsądnie, lecz Will nadal nie był w stanie dać im wiary.

- A jeśli w grę wchodził inny powód?

- Uważam, że jeśli nie potrafisz jej kochać, to weź pod uwagę, że nie ma w niej niczego, co budziłoby niechęć. Jest piękna, utalentowana i okazuje ci duże przywiązanie. Wiele małżeństw trwa na znacznie słabszych podstawach. Naprawdę mogłeś gorzej trafić. - Adam przybrał rzeczowy ton, którego używał zawsze, gdy rozsądzał spory między dzierżawcami i który nie pozostawiał pola do dalszych

dyskusji.

Zatem decyzja została podjęta, pomyślał Will. Był żonaty, a brat najwyraźniej nie dbał o to, czy ten stan mu odpowiada. Nie umiał wytłumaczyć prześladowającego go poczucia, że z jego małżeństwem coś jest nie w porządku.

- A jak mam się zabrać za hodowanie uczucia? Jaką mi dasz radę, mądry księżę Bellston?

Adam uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Radziłbym, żebyś natychmiast odszukał żonę i spędził z nią cały dzień. Później powinieneś się wynieść z mojego domu najszybciej, jak tylko będziesz mógł.

- Odprawiasz mnie? - zdziwił się Will. - Ledwie jako tako doszedłem do siebie.

- Twój dom stoi niecałe dwa kilometry stąd - przypomniał mu księżę, wykonując uspokajający gest ręką. - A do lekarza będziesz miał nawet bliżej niż tutaj. Oczywiście, wasze odwiedziny zawsze będą mile widziane. Jednak im szybciej przestaniesz szukać wymówek do izolowania się od Justine, tym prędzej znów ją pokochasz. Oboje musicie przestać wykorzystywać naszą obecność jako pretekst do unikania wzajemnej bliskości.

- Oczekujesz, że pójdę do łóżka z obcą kobietą, a rano obudzę się ponownie w niej zakochany?

Adam zmrużył oczy, co oznaczało, że jego cierpliwość zaczyna się wyczerpywać.

- Chyba to uderzenie w głowę rzeczywiście pozbawiło cię rozumu. Opierasz się tak, jakby kochanie się z piękną kobietą było przykrym obowiązkiem. Ale nie o to mi chodziło. Musicie pozostać jedynie we własnym towarzystwie. Pobyć ze sobą, porozmawiać, żebyś mógł odkryć, co ci się w niej najpierw spodobało. Przewiduję, że jeszcze przed końcem tygodnia doniesiesz mi, że całkowicie się w niej zadurzyłeś.

- Doskonale. Dzisiaj z nią o tym porozmawiam. Jutro zabiorę Justine do domu i postaram się ją traktować, jakby była żoną, którą sam świadomie wybrałem. Przewiduję jednak, że za tydzień odbędziemy tę samą dyskusję, a wówczas będę od ciebie oczekiwał bardziej skutecznych rad zamiast pustych frazesów o zauroczeniu i miłości.

Will dokończył śniadanie i mając w głowie słowa brata, wyruszył na poszukiwanie Justine. Wyglądało na to, że ona także nie ma specjalnej ochoty z nim rozmawiać. Służba poinformowała go, że zaraz po porannym spacerze pojechała z księżną odwiedzić chorych i potrzebujących we wsi.

Penny wróciła bez Justine. Okazało się, że została zaproszona na lunch do

wikarego, żeby uczcić cudowne wyzdrowienie jej ciężko rannego męża. Nikomu nie przyszło do głowy, że Willa także należałoby zaprosić na tę uroczystość.

Po południu zjawiała się w domu, ale Will nie mógł jej odszukać. Kiedy udał się do pokoju dzieciennego, żeby odwiedzić bratanka, powiedziano mu, że chłopczyka właśnie ułożono do łóżka na drzemkę, a jaśnie pani śpiewa mu do snu. Niania zapewniła Willa, że jego żona ma głos anioła i naturalny dar do obchodzenia się z dziećmi. Najwyraźniej wybrał idealną matkę dla swojego przyszłego potomstwa, brakowało mu jedynie chęci, by je z nią spłodzić.

Ciężko było przypisywać jej niegodziwe motywy działania, skoro całymi dniami oddawała się zacnym uczynom. To tłumaczyło, dlaczego tak mocno podbiła serca całej rodziny. Will odniósł wrażenie, że Justine specjalnie go unika. Gdziekolwiek się udał, dowiadywał się, że jaśnie pani, owszem, była, ale już poszła, zrobiwszy coś dobrego albo wykazawszy się doskonałymi manierami.

Ostatecznie nie widział jej aż do kolacji, do której przebierali się po przeciwnych stronach drzwi łączących ich pokoje. Adam podejmował Coltonów, organizując coś w rodzaju małego przyjęcia na cześć powrotu Willa do zdrowia. Prawdopodobnie bardziej mu chodziło o wymuszenie na młodszym bracie stosowniejszego zachowania. Tim i Daphne od lat przyjaźnili się z Bellstonami, ale przecież nie mógł na nich warczeć i prychać, jak mu się zdarzało w stosunku do własnej rodziny.

Tego wieczoru przynajmniej zdołał jeść i pić bez pomocy Justine. Choć nadal odczuwał zmęczenie, dzień spędzony poza łóżkiem i kilka solidnych posiłków w cudowny sposób wzmocniły osłabione ciało.

Podczas rozmowy na temat ostatnich eksperymentów Tima w szklarni Will uniósł kieliszek i przez szkło ponad stołem popatrzył na kobietę, którą rzekomo kochał. Miała na sobie białą muślinową suknię przetykaną złotymi nitkami; złotorude włosy o ciepłej barwie wymykały się zalotnymi spiralkami spod nudnego białego czepka. Gdyby nie ten czepki, wyglądałaby jak jeden z aniołów z obrazu Botticellego, niewinny, ale trochę za bardzo z tego świata.

Mimochodem spostrzegła jego wzrok i lekko się zarumieniła, po czym wpatrzyła w swój talerz. Co poprawiło mu nastrój? Może chodziło o to, że tego dnia czuł się lepiej? A może o wypite wino? Niewykluczone, że decydujące było wydostanie się z ograniczonej przestrzeni pokoju. Zastanawiał się bezowocnie, co każe mu żywić nieufność wobec Justine, skoro nie dostrzega w jej zachowaniu niczego podejrzanego.

Sprawiała wrażenie onieśmielonej, ale czy mógł mieć jej to za złe? Od chwili, gdy po raz pierwszy otworzył powieki, okazywała mu jedynie dobroć i cierpliwość, na co reagował brakiem zaufania i wrogością. Nawet istnego anioła zmęczyłoby takie traktowanie i w końcu by się odsunął.

Trochę w ramach eksperymentu popatrzył bezpośrednio na nią na tyle długo, by nie mogła udać, że nie zauważa jego spojrzenia. Lekko przekrzywiła głowę, uśmiechając się nerwowo. Odpowiedział uśmiechem, z wyraźną aprobatą.

Wytrzymała jego wzrok tylko przez moment, po czym znów skromnie spuściła oczy. Sprawiała wrażenie, jakby się odprężyła, jej ramiona i plecy straciły sztywność, linia ust ułożyła się w miększy, bardziej pogodny wyraz. Wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle i z pewnością bardziej pociągająco niż wcześniej, gdy wydawała mu się zbyt powściągliwa, a nawet wycofana.

Jeśli jest jej mężem i wcześniej spędzili ze sobą chociaż jedną noc, to poznał rozkosze, jakie musiało dawać obcowanie z jej cudownym ciałem. Jednak siedząca naprzeciw niego za stołem kobieta prezentowała się zupełnie inaczej niż ta, która poprzedniego wieczoru przycupnęła na brzegu jego łóżka. Zjawiała się w jego sypialni wyraźnie gotowa mu się poddać, gdyby zechciał dążyć do zbliżenia, lecz jednocześnie była zimna i nieprzystępna.

Po posiłku Will miał nadzieję na kieliszek porto w męskim gronie, ale Adam i Tim szybko przełknęli trunek, by zaraz dołączyć do pań. Usprawiedliwili swój pośpiech jego wciąż jeszcze delikatną kondycją, zachwalając mu wygodne fotele w salonie. Z początku uznał ich zachowanie za podstęp, który miał go zmusić do przebywania w towarzystwie żony, a tym samym pomóc mu w odzyskaniu wspomnień. Wkrótce doszedł do wniosku, że odkąd porzucili kawalerski stan, po prostu przywykli do spędzania wieczorów z żonami i nie zamierzali powracać do dawnych zwyczajów, nawet z okazji jego cudownego wyzdrowienia. Najwyraźniej oczekiwali, że skoro on także jest żonaty, będzie mu to odpowiadać.

Żonaty.

Wszystkie myśli Willa krążyły wokół tej sprawy, targał nim uczuciowy zamęt. Być może podświadomie unikał Justine. Powinien umieć poprowadzić z nią swobodną rozmowę, tak jak Adam i Tim robili to z Penny i Daphne. Nie przychodziło mu jednak do głowy nic, z czym mógłby się do niej zwrócić, poza uporczywie kołaczącym mu pod czaszką pytaniem: Kim jesteś?

Nikt inny się nad tym nie zastanawiał. Wszyscy jakby dobrze ją znali. Siedziała w fotelu, który zapewne zwykle zajmowała, przy osłoniętym świeczniku, gawędząc miło, jakby czuła się tu u siebie. Sięgnęła do koszyka przy fotelu, żeby wyjąć zeń

robótkę: skomplikowany system nitek i szpilek na satynowej poduszce. Pozostałe kobiety uśmiechnęły się do niej, a potem obserwowały z podziwem jej pracę, dyskutując o dzieciach i prowadzeniu domu.

Adam i Tim żywo omawiali zagadnienia polityczne, o których nie miał pojęcia. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim zorientuje się w bieżących wydarzeniach. Prawdopodobnie mniej, niż potrzebował na odkrycie szczegółów dotyczących własnego życia. Wystarczyło przeczytać „The Times”, żeby się dowiedzieć wszystkiego, co niezbędne. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo starał się zerwać przesłaniającą ostatnie sześć miesięcy zasłonę, okazywała się nie do ruszenia. Jeśli miał wierzyć w to, co mu przedstawiano, to odbył podróż do Bath, zakochał się, ożenił... i kto wie, co jeszcze się wydarzyło.

Znów zaczęła go boleć głowa.

Powoli podniósł się na nogi i dotarł do stolika pod oknem, na którym stała karafka z brandy. Napełnił kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Nie uronił ani kropli, więc uznał, że należy mu się nagroda w postaci drugiej porcji trunku. Następnie wsparł się na kulach i ruszył w drogę powrotną na swój fotel. Przechodząc przez salon, musiał minąć Justine, przystanął więc, żeby się przyjrzeć jej pracy.

Na poduszce leżącej przed nią zobaczył przypięty szpilkami kawałek koronki. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że patrzy nie na gotowy, kupiony wyrób, lecz owoc jej pracy. Gotowe dzieło przytrzymał w miejscu istny labirynt szpilek, miało się wrażenie, że jest ich więcej niż igieł na jeżu. Z brzegu koronki wystawało mnóstwo nici, nawiniętych na szpulki z kości słoniowej. Jakby w ogóle nie myśląc, co robi, przesuwiała jedną nad drugą albo pod spodem, wykonywała podobny manewr trzecią, czwartą i kolejną, tu zawiązała supeł, tam splotła warkocz. Wbijając szpilkę w ukończony fragment i zabierała się za inny zestaw nici. Delikatne stukanie szpilek w połączeniu z niemal tanecznym ruchem jej dłoni działało na niego niczym lek rozluźniający, jakby udzielał mu się spokój kobiety dziergającej koronkę. Choć stał tak blisko, że czuł zapach perfum Justine, nie dostrzegł nawet śladu onieśmienia, które zwykle okazywała w jego obecności. W ruchu jej dłoni nie było krzty napięcia ani wahania. Może, pomyślał, umiała się skupić tak, by w czasie pracy nie dopuszczać do siebie jakichkolwiek problemów. Nie korzystała z podkładki z rysunkiem wzoru, tworzyła wymyślny ornament, przywołując z pamięci właściwy układ nitek. Jednocześnie ani na moment nie przerywała rozmowy. Jeśli pytanie którejs z kobiet było dla niej krępujące, to w ogóle tego po sobie nie pokazywała, zręczne palce manipulowały szpulkami bez zakłóceń.

Stał dokładnie na wprost Justine, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Nagle

patrząc na nią, poczuł coś nowego. Czy to była zazdrość, że poświęca uwagę koroncy i tamtym dwóm kobietom zamiast jemu? Czy może żal, że przepisał czas, gdy była gotowa skupić się na nim?

Stopniowo odcinek gotowego wyrobu na poduszce się wydłużał. Nic dziwnego, że pielęgnowała go bez narzekania całymi miesiącami, posiadała doprawdy niepospolitą cierpliwość. Penny, widząc jego zainteresowanie, powiedziała głośno:

- Spod jej ręki wychodzą wspaniałe wyroby.

Komplement wywołał rumieniec na policzkach Justine, ale nie skłonił jej do przerywania pracy ani na moment, nie spowodował poplątania nitek.

- Tam, skąd pochodzę, robienie koronek jest dość powszechne - powiedziała. - Moja matka była w tym znacznie lepsza ode mnie.

- Tam, skąd pochodzisz? - podchwycił Will; to była kolejna informacja, której nie znał.

- W Belgii - odparła cicho. - Urodziłam się w Antwerpii.

- A poznaliśmy się w Bath - rzekł z zadumą.

Nadal pozostawało tajemnicą, skąd się tam oboje wzięli. Jeśli będzie powtarzał te wiadomości, to niewykluczone, iż w końcu dostrzeże w nich sens.

- Może w Belgii jest to powszechne, ale twoje wyroby są najbardziej misterne ze wszystkich, jakie w życiu widziałam - oznajmiła Penny i spojrzała na Willa. - Szkoda, że nie przywiozłeś Justine do nas przed chrzcinami. Bardzo by mi się podobała szatka z taką lamówką, jaką teraz dzierga.

- Dla następnego dziecka na pewno taką dostaniesz - obiecała jej Justine, nie podnosząc wzroku znad robótki.

- Nie śmiałabym prosić. - Penny uśmiechnęła się do Willa, jakby komplement i jego dotyczył. - W zeszłym miesiącu zrobiła mi kołnierzyk, w którym czuję się jak prawdziwa księżna. - Pochwała była niepoślednia, jako że Penny raczej podkreślała swoją zwyczajność.

- A rąbek u mojej halki jest tak piękny, że aż szkoda zakrywać go spódnicą - dodała Daphne. - Kazałam pokojówce podszyć brzeg sukni, żeby było go widać choć trochę.

- Ponieważ jesteś bezwstydna - wtrącił z uśmiechem jej mąż.

Popatrzył na jej nogi, jakby uważał, że również inne atrybuty jego żony są zbyt ładne, by pozostawać w ukryciu. Amatorzy dorodnych rudych kobiet z obfitym biustem mogliby mu przyznać rację, obiektywnie jednak można było stwierdzić, że Daphne miała tyle urody, co Penny rozsądku.

Will odruchowo spojrzał na Justine. Płomień świecy wydobywał złote błyski z jej

włosów, pogłębiał zielony odcień źrenic. Zwiedzając muzea, podziwiał technikę flamandzkich mistrzów, twarze postaci na ich obrazach promieniały wewnętrznym blaskiem niczym opale odbijające światło. W tym momencie przyszło mu do głowy, że po prostu umieli oddać na płótnie to, co widzieli. Justine, choć siedziała prawie nieruchomo, w milczeniu, roztaczała wokół siebie właśnie taką aurę. Może to go do niej przyciągnęło? Stał niczym wmurowany i nie mógł oderwać od niej oczu...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Adam niemal podskoczył, by je otworzyć. Czar prysł. Brat odwrócił się do Willa z uśmiechem.

- A teraz, dla urozmaicenia wieczoru, odwiedzi nas twój imiennik. - Przytrzymał drzwi, wpuszczając do salonu nianię z pulchnym maluchem.

Will domyślił się, że to jego bratanek.

Szok był prawie tak duży jak przy odkryciu, że się ożenił. Poprzednio widział małego Williama podczas chrztu w kaplicy; malec popiskiwał, kiedy polewano mu główkę wodą. Miał wówczas zaledwie parę miesięcy i interesowało go jedynie mleko i sen. Dziecko, które wniesiono do salonu, było trzy razy większe od tego, które zapamiętał, i wyrywało się z objęć niani, spragnione uwagi i czułości rodziców.

Penny odłożyła książkę, wzięła synka na kolana i szczebiocząc do niego słodko, zaczęła wypytywać nianię, jak malcowi minął dzień. Potem przyszła kolej na Adama, który przyklęknął na podłodze i zachęcał synka, żeby sam do niego przyszedł. Dziecko chętnie usłuchało, wypuszczone z ramion matki rzuciło się ku ojcu. Krótki przemarsz zawierał elementy zamaszystych kroków, pełzania, a nawet imponującą próbę wspięcia się na nogę stolika. Uwieńczone sukcesem wysiłki zostały nagrodzone przez dumnego ojca uściskiem i smakołykiem, wyciągniętym z kieszeni kamizelki mimo wyrażanych przez Penny obaw, że jedzenie słodczy zakłóci chłopcu sen.

Will poczuł dziwne ściskanie w piersi. Przed sześcioma miesiącami poświęcał bratankowi niewiele uwagi, choć owszem, czuł zrozumiałą dumę, że postanowiono mu nadać jego imię. Widząc zmianę, jaka dokonana się w chłopcu, miał poczucie, że stracił coś, czego pragnął, choć sobie tego nie uświadamiał.

Adam podniósł synka na ręce, wytarł mu lepkie od cukierka rączki i buzię, po czym oświadczył:

- A teraz, młody Williamie, nadszedł czas, żebyś poznał stryjka. Możesz się z nim przywitać. Słyszeliśmy już, jak wymawiasz słowo „stryjek”. Pokaż swojemu chrzestnemu, jaki jesteś bystry.

Onieśmiałe zainteresowaniem dorosłych dziecko wcale nie miało ochoty się

odezwać. Chwyciło ojca mocno za kłapy i wtuliło buzię w materiał surduta. Im bardziej Adam z dzieckiem na ręku zbliżał się do Willa, tym mocniej malec się kulił. W końcu Will widział tylko wygięte plecki i jasne loki.

- Cześć, Bill - odezwał się cicho, z nadzieją, że chłopczyk tylko się z nim droczy. -
A kuku.

Zamiast się roześmiać, malec krzyknął przeraźliwie i zalał się łzami, kurczowo wczepiony w ubranie ojca. Najwyraźniej chciał, żeby jak najszybciej go stamtąd zabrać.

- Nie rozumiem - rzekł skonsternowany Adam. - Przecież cię widywałem. Codziennie zabieraliśmy go do twojego pokoju. Nigdy byśmy nie pozwolili, żeby zapomniał...

- W porządku - powiedział Will, ale był mocno zawiedziony. Czyżby stracony czas zamienił go w potwora? Czy chłopiec zobaczył coś, o czym inni nie wspominali?

Penny z ponurą miną odebrała dziecko z rąk męża.

- Za dużo emocji. Zabiorę go do pokoju dzieciennego i położę spać, o ile uda mi się go uspokoić.

Will poczuł pulsowanie bólu w czaszce, krzyk dziecka dodatkowo wzmocnił dolegliwość.

- Nie. Ja stąd wyjdę, a on niech zostanie.

Potknął się, gdy koniec jednej z kul pośliznął się na drewnianej posadzce. Na szczęście, zachwiał się do przodu i tym szybciej dopadł drzwi, nie dbając o to, by je za sobą zamknąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po wyjściu Williama w salonie zapadła pełna napięcia cisza. Nawet dziecko umilkło, chlipnęło przez łzy, ale z wyraźną ulgą. Po chwili wszyscy naraz rzucili się do drzwi.

- Ja pójdę - odezwała się Justine z niespodziewaną stanowczością w głosie.

Ta deklaracja została przyjęta ze zrozumieniem. Księżę odstąpił od drzwi, mówiąc uprzejmie:

- Oczywiście. To musisz być ty.

W rzeczywistości nie miała ochoty podążyć za lordem Felkirkiem, ponieważ oznaczało to konieczność stanięcia z nim twarzą w twarz na osobności. Poprzedniego wieczoru ją odprawił, co jak najbardziej było jej na rękę. Trochę się obawiała, nawet jeszcze przed otrzymaniem polecenia od Montague'a, że będzie musiała udawać namiętność wobec człowieka, z którym wolałaby nie mieć nic wspólnego.

Kiedy pielęgnowała Willa, nie zaprzętała sobie głowy rozważaniami na temat jego charakteru. Karmienie, mycie i zmienianie pościeli to były po prostu kolejne zadania do wykonania. Odpowiadało jej, że ma czym zająć ręce i umysł.

Tamten okres nieodwołalnie się zakończył. Miała świadomość, że tej nocy być może będzie musiała leżeć w jego łóżku i pozwolić mu na skorzystanie z praw męża.

Żywiła nadzieję, że nadal będzie jej okazywał obojętność, przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Gdyby w dalszym ciągu żyli jak obcy sobie ludzie, może udałoby jej się wymyślić sposób ucieczki, zanim nastąpi to, co nieuniknione. Wiedziała, że ją obserwował przy obiedzie, a potem w salonie przy pracy nad koronką, i przy tym się uśmiechał. Choć wydawało się to przyjemniejsze od ciągłych podejrzeń, to ciepły, badawczy uśmiech, który już widywała na męskich twarzach, mógł zapoczątkować niechcianą serię zdarzeń. Mogły przywieść ją do jego sypialni i jeszcze głębiej wciągnąć w pułapkę kłamstw, którą sama na siebie zastawiła.

Starła się o tym wszystkim nie myśleć, kiedy wychodziła z salonu śladem lorda Felkirka. W tym momencie jej potrzebował, i tylko to się liczyło. W każdym razie wymagał wsparcia, a jako żona była zobowiązana mu go udzielić. Biedak umknął niczym zranione zwierzę po tym, jak chrześniak się od niego odwrócił. Mimo iż okazanie współczucia mogło jeszcze bardziej skomplikować jej życie, nie potrafiła beczynnie patrzeć na cudze cierpienie.

- Zaczekaj!

Nie musiała za nim wołać. Dogoniła go bez trudu, jako że zmagał się z kulami i własną słabością. Zdołał dotrzeć zaledwie do końca holu, gdzie wisiało niewielkie owalne lustro. Stanął przed nim i wpatrywał się w swoje odbicie z taką miną, jakby spodziewał się ujrzeć potwora.

Dołączyła do niego, tak że mógł dostrzec jej obecność w lustrze.

- Nie powinieneś tak bardzo się przejmować. Billy jest miłym, pogodnym dzieckiem, ale nawet najsympatyczniejsze dzieci mogą zapłakać, kiedy się je zaskoczy.

- Naprawdę aż tak się zmieniłem? - Dotykał swojej twarzy, jakby nie wierzył w to, co widzi.

- Właściwie nie.

Nie bardzo miała ochotę się do tego przyznać nawet w duchu, ale wyglądała jeszcze przystojniej niż w Bath. W czarnych włosach pojawiło się pojedyncze pasemko siwizny, tuż koło blizny po ranie. Bładość cery po długotrwałej chorobie wyostrzyła mu rysy, a przez to jeszcze bardziej uwydatniła ich szlachetność. Uśmiech i swobodne zachowanie, jakie prezentował w domu, nie onieśmiały jej tak jak uprzejmość dżentelmena, który przyszedł do sklepu i życzył sobie rozmawiać z panem Montagiem o zbrodni popełnionej w Walii przed dwudziestu laty. Od razu wzbudził jej niechęć, bo poruszył temat wciąż bardzo dla niej bolesny.

Tymczasem pośród swoich krewnych sprawiał wrażenie młodszego i bardziej otwartego. Zaledwie raz czy dwa się do niej uśmiechnął, a jego głośnego śmiechu w ogóle jeszcze nie słyszała, ale po charakterystycznych zmarszczkach wokół ust poznała, że musiał często okazywać rozbawienie. Wyglądał na bardzo miłego człowieka, więc tym bardziej zrobiło jej się go żal.

- Kiedy wyjechałeś po chrzcinach, Billy był za mały, żeby cię zapamiętać i teraz rozpoznać - próbowała tłumaczyć. - Odkąd cię tu przywiozłam, często cię widywał, ale zawsze z zamkniętymi oczami i na leżąco. Teraz stałeś i patrzyłeś wprost na niego. Przestraszył się, bo nie rozumie zmiany, jaka w tobie zaszła.

- Ja też nie rozumiem - powiedział cicho Will, jakby do siebie. Następnie dodał: - Nie ma powodu się bać. - Odwrócił się do Justine, jakby i ją chciał przekonać. - Nie jestem taki straszny, jak bliżej się mnie pozna.

Tłumiąc w sobie obawę, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chłopiec przekona się o tym w swoim czasie.

Wykonał ledwie dostrzegalne skinienie.

- Mam nadzieję, że ty też się przekonasz. Nie traktowałem cię zbyt dobrze,

odkąd się ocknąłem, ale to, co mi się przydarzyło, wydaje się dziwne.

Will odwrócił się z powrotem twarzą do lustra; wpatrywał się w nie, jakby w odbiciu Justine mógł wyczytać coś, czego nie dostrzegł, gdy patrzył na nią wprost.

Opanowała chęć, by zrobić to samo: obejrzeć dokładnie swoją twarz. Jak powinno się wyglądać w takim momencie? Przez większą część dorosłego życia nauczyła się dobrze maskować. Ale czy można być aż tak dobrą aktorką, by odegrać perfekcyjne przedstawienie przed kimś, kto cię obserwuje, szuka w tobie odpowiedzi, które pomogą mu odkryć własną prawdę?

Ze względu na siostrę musiała chociaż spróbować. Posłała mu pocieszający uśmiech i zdołała uronić pojedynczą łzę, która miała świadczyć o tym, że jest zbyt wzruszona, by znaleźć odpowiednie słowa. Zyskała dzięki temu parę sekund na uporządkowanie myśli.

- Nie boję się ciebie - skłamała - i rozumiem, że musi upłynąć trochę czasu, zanim znów w pełni poczujesz się sobą.

- Słyszę od wszystkich, że dotychczasową poprawę zdrowia zawdzięczam wyłącznie twojej opiece - powiedział ze zmarszczonym czołem i z taką miną, jakby powtarzał podsuniętą przez kogoś innego formułkę. - Prawdę mówiąc, nie potrafię sobie przypomnieć niczego sprzed wczorajszego dnia, ani ciebie, ani naszego ślubu. Proszę, oświeć mnie w tej kwestii. Jak to się stało, że się związaliśmy?

Tym razem nie usłyszała oskarżycielskiej nuty w jego głosie. Nie tyle żądał wyjaśnień, co sprawiał wrażenie szczerze zaciekawionego. Jakby oczekiwał, że Szeherezada przedstawi mu opowieść tak porywającą, iż nie zdoła się oprzeć.

Co mogłaby powiedzieć, żeby go uspokoić?

- Przyjechałeś do Bath, kiedy krokusy skończyły kwitnąć, w maju - zaczęła, starając się koncentrować na tych najprzyjemniejszych fragmentach wspomnień.

- W jakim miesiącu się pobraliśmy?

- W czerwcu. - To był dobry miesiąc na śluby, zarówno prawdziwe, jak i zmyślane.

- Adam mówił, że wzięliśmy ślub w Gretna Green - rzekł z zadumą, jakby w myślach obliczał dystans między tymi dwoma miejscami.

- Ale poznaliśmy się w Bath - powtórzyła. Zależało jej, by opowieść zachowała pozory prawdopodobieństwa. - W sklepie. - To akurat było prawdą. Nie mogła jednak dodać, że chodziło o firmę Montague i de Bryun, dostawcy eleganckiej biżuterii. - Uczyłam koronczarstwa w szkole dla młodych dziewcząt. Chciałam sprzedać niektóre ze swoich wyrobów. - Czyż nie było to kiedyś jej marzeniem? Zarabiać własnymi rękami na skromne życie?

- Czego mogłem szukać w sklepie z damską galanterią? - spytał Will, nie kryjąc zdumienia.

- Sądzę, że przyszedłeś tam za mną. - Uśmiechnęła się na widok jego miny. - Jak tylko zobaczyłam cię wchodzącego do sklepu, wszystko się zmieniło. - To była szczerza prawda. Tyle że wcale nie na lepsze.

- Spodobałem ci się? - Najwidoczniej jego poczucie własnej wartości nie ucierpiało, bo zauważyła, że odruchowo wypiął pierś w poczuciu dumy.

- Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną.

To również była prawda. Dobrze pamiętała dreszcz podniecenia, jaki ją przebiegł, gdy go ujrzała w drzwiach sklepu. Dopiero po chwili ze zgrozą dowiedziała się, że ma przed sobą lorda Felkirka.

- A co ja o tobie wtedy pomyślałem?

To także było dla niej oczywiste. Przedstawiła mu Montague'a jako swojego pracodawcę, ale lord Felkirk musiał zauważyć jej głęboko wycięty dekolt i zaborcze zachowanie Montague'a, więc z pewnością domyślił się, że jej obowiązki wobec tego człowieka nie ograniczają się do stania za ladą. Wówczas usta ledwie zauważalnie wygięły mu się w grymasie pogardy.

- Sądzę, że było ci mnie żal. - Miała nadzieję, że rzeczywiście takie było jego odczucie.

- Zaproponowałem więc, że wybawię cię od ciężkiego losu? - Uniósł brew.

- Z początku ci odmówiłam. - Uznała, że skoro ma stworzyć opowieść o bajkowym romansie, niezbędna jest odpowiednia liczba szczegółów. - Wydawało mi się, że twoja propozycja jest trochę niestosowna.

- Ale podbiłem cię swoim urokiem osobistym i szczerością - rzekł z takim niedowierzaniem w głosie, że aż parsknęła śmiechem.

- Zabierałeś mnie na spacer po centrum miasta. Spotykaliśmy się w miejscach publicznych i w herbaciarniach. Udowodniłeś mi, że masz uczciwe zamiary. - Czyż nie zazdrościła wielu młodym parom, które widywała w takich właśnie sytuacjach przez sklepowe okno? Zdarzało się, że później przychodzili do sklepu oglądać obrączki. - Kiedy się oświadczyłeś, oczywiście powiedziałam „tak”.

- Oczywiście - powtórzył bez przekonania. - Ale co ja robiłem w Bath? Nienawidzę tego miasta.

Tego nie przewidywała.

- Co robiłeś w Bath? Nie mówiłeś o tym. Co większość ludzi tam robi? Pije wody mineralne. Chodzi na przyjęcia.

- Dotąd udawało mi się unikać takich rozrywek - stwierdził cierpko. - Dlaczego

nagle zacząłbym w nich gustować?

- Nie wiem. Rzeczywiście wspominałeś, że cię nudzą - zaryzykowała. - Odkąd mnie poznałeś, zacząłeś je znosić lepiej.

- A potem uciekliśmy.

Uciezka musiała mu się wydać mało prawdopodobna, pomyślała Justine. Poznawszy jego rodzinę, widząc, jak bardzo jest przywiązany do bliskich, nabrała pewności, że gdyby znalazł odpowiednią kandydatkę na żonę, natychmiast by ją do nich przywiózł i zaprezentował.

- Nie chciałeś czekać nawet na zapowiedzi ani na uzyskanie specjalnego pozwolenia na ślub. A ja byłam... - wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie kłamstwo największe ze wszystkich dotychczas przez siebie wypowiedzianych - ... bardzo trudno było mi się oprzeć twoim zalotom. Prawdę mówiąc, wydało mi się to niemożliwe. Już po wszystkim twierdziłeś, że szybki ślub to właściwe rozwiązanie, i powiadomiliśmy rodzinę o fakcie dokonanym.

- Rozumiem.

Teraz Will się zarumienił. Pozwoliła mu myśleć, że wykorzystał okazję i jest jej winien pewne zadośćuczynienie. Zresztą wkrótce zamierzała je wyegzekwować. Znowu spojrzał na jej odbicie w lustrze.

- Nie wątpię, że uparcie dążyłem do celu, kiedy już cię wybrałem. Jesteś chyba najładniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Dziękuję.

Nauczyła się przyjmować te słowa jako komplement, choć czasami wydawały jej się raczej przekleństwem. Jakże odmiennie mogło wyglądać jej życie, gdyby pozbawiona urody nie budziła pożądania... Mogłaby istnieć niezauważona i zachować cnotę. Z pewnością nie przebywałyby teraz w książęcej posiadłości, flirtując z bratem jej właściciela.

- Twoja uwaga mi pochlebiała. Z pewnością były inne kandydatki, bardziej odpowiednie dla książęcego brata niż emigrantka bez rodziny i majątku.

Przyłożył palec do jej ust.

- Nie mów tak o sobie - poprosił. - Od czasu wypadku aż z nawiązką dowiodłeś swojej wartości.

Spontaniczny gest zaskoczył ich oboje. Skrępowany Will szybko cofnął rękę.

- Dziękuję. - Żałowała, że ta pochwała jej się nie należy.

- Co do wypadku... Opowiedz mi o nim - poprosił.

Zadrżała na wspomnienie straszego widoku, gdy leżał przed nią na podłodze ranny, bez przytomności. Znowu musiała uciec się do kłamstwa.

- Chciałeś się przede mną popisać. Skok się nie udał.

- Ale co z Jupiterem?

Przez moment nie wiedziała, o co mu chodzi. Czyżby obsesyjnie interesował się astronomią, o czym nie wiedziała? Może należał do tych, którzy uważają, że ich życiem rządzą gwiazdy? Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że Felkirkowi chodzi o konia. Co się stało z jego wierzchowcem? Nie miała na ten temat żadnych wiadomości. Jeśli Montague czuwał nad sytuacją, to z pewnością do tej pory go sprzedał. A może koń wciąż przebywał w stajni, czekając na powrót właściciela?

- Przykro mi, ale złamał nogę. Nic nie dało się zrobić... - Lepszym wyjściem było pozwolić mu myśleć, że zwierzę nie żyje, niż że nikt nie zadał sobie trudu, by je odnaleźć.

Uniósł rękę i jednocześnie odwrócił głowę w bok, jakby nie chciał, by kończyła to, co miała do powiedzenia. Oparł się ciężko na kulach, wyraźnie przybity. Kiedy usiłowała go podtrzymać i okazać współczucie, zachnął się, ale zdążyła wyczuć, że drży od wstrzymywanego szlochu. Szybko się opanował, próbował nawet przyjąć bardziej wyprostowaną postawę.

- W takim razie dostałem to, na co zasługiwałem - stwierdził głosem pełnym pogardy dla samego siebie. - Ryzykowałem, głupio narażając inne życie na niebezpieczeństwo. Co, u licha, we mnie wstąpiło, żeby skrzywdzić zwierzę, które od siedmiu lat było mi wiernym przyjacielem?

Jeśli miała nadzieję podnieść go na duchu, to zupełnie jej się nie udało. Żałował konia? Zdenerwował się jeszcze mocniej niż w chwili opuszczenia salonu. Kiedy go poznała, zakładała, że jemu i jego rodzinie zależy wyłącznie na pieniądzach i własnych sprawach. Z całą pewnością nic ich nie obchodził jej ojciec, kiedy przed laty leżał umierający na terenie ich posiadłości.

Jednak księżę i Penny okazali się inni, niż się spodziewała, i traktowali ją jak dawno utraconą siostrę. A teraz patrzyła na autentyczną rozpacz lorda Felkirka z powodu śmierci zwierzęcia. Chciała cofnąć niefortunne słowa i zapewnić go, że w istocie koń gdzieś tam jest i ma się dobrze. Wierzchowca pełnej krwi, a takim zapewne był Jupiter, nie sprzedano by za marny pieniądz, żeby pokryć koszt utrzymania w stajni.

Nic jednak nie powiedziała, odczekała, aż Will się trochę uspokoi, i dopiero wtedy spytała cicho:

- Chcesz, żebym wezwała Stewarta?

Zaprzeczył ruchem głowy. Następnie wyprostował się i wziął głęboki oddech.

- To zbyt krępujące.

- To nie twoja wina - zapewniła go. - Widywałam cię w gorszym stanie. Pozwól, że odprowadzę cię do twojego pokoju.

Zaśmiał się słabo i razem ruszyli w stronę schodów.

- Bynajmniej mnie to nie pociesza. Chyba najgorsza dla mężczyzny jest bezradność w obecności pięknej kobiety. - Przystanął na moment, by przetrzeć dłonią twarz. - I płacz z powodu konia. Musisz mnie uważać nie tylko za kulawego, ale i szalonego.

- Lekarze uprzedzali, że możesz nie być sobą - przypomniała mu.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Słaba pociecha, że mogę się zachowywać jak szaleniec i nikt nie zwróci na to uwagi. Przykro mi to mówić, moja droga, ale nie mogę tłumaczyć urazem głowy łez z powodu utraty Jupitera. Był wspaniałym wierzchowcem i moim oddanym przyjacielem. Musiałem ci wspominać, jak długo byliśmy razem.

- Rozumiem.

Starła się nie okazać ulgi. Wzburzenie Felkirka, jakkolwiek nieuzasadnione, było jej na rękę. Zbyt pochłonięty staraniami o zachowanie resztek godności poniechał zadawania dalszych pytań.

Znów się zatrzymał, chwycił się mocno balustrady schodów i szybko otarł oczy wierzchem dłoni.

- Tak czy inaczej, przepraszam. - Postawił nogę na następnym stopniu. - Skoro nadal nie panuję nad swoim ciałem i umysłem, to nie nadaję się do towarzystwa. Popełniłem błąd, narzucając innym swoją obecność dziś wieczorem.

- Nie możesz się wiecznie ukrywać w swoim pokoju. Poza tym radziłeś sobie znacznie lepiej niż wczoraj - podkreśliła zgodnie z prawdą. Odkąd odzyskał przytomność, rekonwalescencja przebiegała w zadziwiającym tempie. - Rodzina bardzo chce cię widywać i zachowa cierpliwość.

- Nie tak znów wiele cierpliwości. - Otarł resztki łez. - Ledwie stanąłem na nogi, a Adam zamierza nas odprawić.

- Nie! - wyrwało się Justine.

Nie miała prawa protestować. Czyżby zapomniała, że jest intruzem? To nie był jej dom i nie wolno jej było czuć się jak u siebie. Tylko skoro nie mogła tu mieszkać, to dokąd miała się udać?

Felkirk uśmiechnął się do niej blado.

- Powiedziałem coś podobnego, kiedy brat to zasugerował. Jednak po namyśle przyznałem mu rację. Mam własny dom, niecałe dwa kilometry stąd. - Po krótkiej pauzie sprostował: - Mamy dom. Tam jest nasze miejsce. Jutro sama zobaczysz.

- Ale... - Co powie Montague'owi? I jak to zrobi? Nie było czasu na pozostawienie mu jakiegoś sygnału.

Dotarli na szczyt schodów, Felkirk ostrożnie wsparł ciężar ciała na jednej z kul i objął Justine wolnym ramieniem.

- Nie masz się czego obawiać. Adam miał słuszość, podobnie jak ty przed chwilą. Nie mogę się wiecznie ukrywać w pokoju, zakładając, że mój stan się poprawi. Nie możemy też wykorzystywać rozmiarów tego domu i obecności Adama i Penny, żeby się nawzajem unikać.

Czyżby aż tak wyraźnie było widać, że starała się schodzić mu z oczu? Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc skupiła się na podtrzymywaniu Felkirka przez ostatnie kilka kroków, dzielących ich od jego sypialni. Stanęli przed drzwiami; w środku bez wątpienia czekał kamerdyner, żeby pomóc swojemu panu ułożyć się do snu. Pomyślała, że skoro on już jej nie potrzebuje, mogłaby życzyć mu dobrej nocy i umknąć na parter, by powiadomić rodzinę, że udał się na spoczynek. Przy odrobinie szczęścia mógłby spać, kiedy ona wróci na górę. Miał jednak rację, nie będzie mogła wiecznie go unikać. Ale czy nie wolno jej było odwlec nieuniknionego jeszcze o tę jedną noc?

Dygnęła z oczami wbitymi w podłogę. Miała świadomość, że kochająca żona nie powinna tak się zachowywać, tylko okazywać mężowi więcej ciepła, zwracać się do niego śmieiej i nie bać się patrzeć mu w oczy. Jednak kiedy Felkirk znajdował się tak blisko, nie potrafiła rozsądnie myśleć. Czego mogła się spodziewać, kiedy opuszczą ten gościnny dom i zostaną tylko we dwoje? Odwróciła się i omiotła wzrokiem korytarz.

- Jeśli nie jestem ci potrzebna, to wrócę do salonu i powiem rodzinie, jak się sprawy mają.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział William takim tonem, jakby właśnie w tym momencie coś wpadło mu do głowy. Gestem zachęcił ją, by się nachyliła, jakby zamierzał szeptać jej do ucha.

Usłuchała życzenia.

Wtedy ją pocałował, a właściwie zaledwie musnął wargami jej usta tak szybko i niespodziewanie, że zaskoczona, wstrzymała oddech. Na moment w jej umyśle zapanował spokój. Nie pustka jak wówczas, gdy była z Montagiem. To był spokój jeziora w pogodny, bezwietrzny dzień. Poczwała leciutkie łaskotanie w środku. Czyżby pragnęła, by pocałunek się powtórzył?

- Dziękuję ci za pomoc i poświęcenie - odezwał się William. Słowom towarzyszył nieznaczny uśmiech, z którego nic nie dało się wyczytać.

- To było...

Do licha, dlaczego nagle nie potrafi skleić prostego zdania ani się oderwać od Felkirka? Opierała się o niego, jakby to jej brakowało sił i potrzebowała wsparcia. Montague'owi by się to nie podobało. Wysłał ją do tego domu jako uwodzicielkę, z jasno określonym zadaniem. Nie życzyłby sobie, by zachowywała się jak oszołomiona dzierlatka. Doczekała się drugiego pocałunku, cudownie delikatnego i słodkiego.

William oparł się plecami o framugę drzwi i przyciągnął Justine do siebie. Następnie dotknął jej ust rozchylonymi wargami, przesunął nimi lekko na boki, a potem zamknął je na jej wargach, raz, drugi, trzeci.

Dlaczego brakowało jej tchu? Montague wyśmiałby ją i nazwał głupią. Nie chciała jednak o nim myśleć przynajmniej w tym momencie. Skupiła wzrok i uwagę na małym dołku w podbródku, który miała tuż przed oczami, gdy te same miękkie usta całowały ją w czoło. Naszła ją ochota polizać napiętą skórę i poczuć na języku szorstkość kiełkującego zarostu.

Nie zdążyła tego zrobić, za długo się wahała. Felkirk wypuścił ją z objęć i uśmiechnął się, patrząc jej w twarz. Po raz pierwszy zobaczyła to, o czym zapewniała ją rodzina - że był człowiekiem o pogodnym, przyjacielskim usposobieniu.

- Masz rację, moja droga - powiedział. - Powinnaś wrócić do salonu, a ja muszę odpocząć. Wolałbym, żeby było inaczej, ale obawiam się, że do niektórych rzeczy na razie nie jestem zdolny.

Miał na myśli małżeńskie igraszki w łóżku. Nie wiedziała, czy żona powinna okazać w takiej sytuacji wstydlivość, ale na samą myśl mimowolnie się zarumieniła.

Rozśmieszyło go jej zakłopotanie.

- Ponieważ tu jesteś i wyglądasz tak, jak wyglądasz, więc będę się żarliwie modlił o powrót do pełni zdrowia i sił.

- Ja też będę się za ciebie modlić - obiecała.

- Módl się o moją pamięć - dodał. - Nie mogę sobie przypomnieć, ile dla siebie nawzajem znaczyliśmy. Jestem jednak pewien, że kiedy wezmę cię w ramiona, wszystko mi się przypomni.

Pomyślała o różańcu, który trzymała w szufladzie. Zamierzała kilka razy odmówić go tej nocy, żywiąc nadzieję, że liczba modłów o wybiórczą pamięć może przeważać nad tym wszystkim, o co prosił Felkirk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Od czasu, gdy William Felkirk odzyskał przytomność i powrócił do rzeczywistości, Justine odkrywała niedogodności małżeńskiego życia. Kiedy leżał pogrążony w śpiączce, kwestia, kto podejmuje decyzje, nie podlegała dyskusji. Parę razy ksiązę przekonał ją do swoich racji co do opieki nad chorym, ale odbyło się to w wyniku rozmowy opartej na rzeczowych argumentach. Jednak lord Felkirk zamierzał nie tylko zabierać głos na temat własnej rekonwalescencji, ale też chciał podejmować decyzje we wszystkich innych sprawach.

Po rozmowie w korytarzu żywiła nadzieję, że zyska dość czasu, by przekonać Felkirka, że należy z dużą ostrożnością rozważać zmianę miejsca pobytu. Następnego ranka przekonała się, że przygotowania do przenosin ruszyły pełną parą i miały się zakończyć przed południem. Kamerdyner, nie kryjąc ulgi, pakował ograniczony zestaw strojów chlebobdawcy oraz przybory do golenia. Garderoba Justine wymagała tylko nieco więcej uwagi, jako że wyprawiając się na północ, zabrała ze sobą zaledwie jeden kufer podróży. Penny zaproponowała jej, by korzystała z usług wyznaczonej przez nią pokojówki, zanim wybierze sobie kogoś do tej roli spośród służby we własnym domu. Dziewczynę wysłano odpowiednio wcześniej i prawdopodobnie rozwieszała już suknie i prasowała wstążki.

William Felkirk krążył nerwowo po pokoju, jakby nie mógł się doczekać wyruszenia w drogę. Choć wcześniej wyrażał zastrzeżenia do rady brata, najwyraźniej wziął ją sobie do serca i zamierzał natychmiast się do niej zastosować.

- Nie ma sensu utrzymywać drugiego domu pustego, w dodatku położonego tak blisko - stwierdził. - Nie uchodzi też wymagać od służby, żeby bezustannie przenosiła różne rzeczy pomiędzy jednym a drugim domem. Zamierzam zamieszkać pod własnym dachem.

- Ale jesteś jeszcze taki słaby - próbowała oponować Justine. Zerknęła ukradkiem na kule stojące w kącie. Zastanawiała się, czy to wieczorny pocałunek dodał Willowi energii.

- Przecież nie wybiorę się tam na piechotę, a przejazd powozem nie zmęczy mnie bardziej niż siedzenie na wózku inwalidzkim. Poza tym trochę świeżego powietrza prawdopodobnie dobrze mi zrobi.

- Lekarz... - zaczęła płaczkliwym tonem.

- ...mieszka bliżej mojego domu - dokończył za Justine. - I nie mów mi, proszę, że będę się musiał przyzwyczajać do innych schodów czy rozkładu pokoi. To dom,

w którym dorastałem, więc znam każdy kąt i stopień. Poza tym jest o wiele mniejszy niż domiszcze mojego brata. Tu towarzyszy mi wrażenie, że muszę przejść kilometr, żeby dotrzeć z łóżka na śniadanie.

Skutecznie powstrzymał jej sprzeciw.

- To znaczy, że nie zawsze mieszkałeś tutaj, w posiadłości księcia?

- Mój Boże, oczywiście, że nie. - William pokręcił głową z uśmiechem. - Matka nie lubiła starego domu. Dobrze służył dziesięciu pokoleniom Bellstonów, ale ona chciała mieć salę balową i piękną dużą jadalnię. Dobrze, że nie dożyła tej chwili i nie widziała, jak Adam niemal doszczętnie spalił tę siedzibę kilka lat temu. Byłaby wstrząśnięta. Ale to już zupełnie inna historia.

- Jak dawno temu to się stało? - spytała Justine, próbując ukryć nagłe ożywienie.

- Chodzi ci o pożar?

- Nie, o budowę nowego domu.

- Niecałe piętnaście lat temu - odparł po chwili namysłu. - Okazało się, że była to dobra decyzja. Dzięki niej mogę mieszkać na terenie rodzinnej ziemi, nie siedząc bratu na głowie. Domy są położone na tyle blisko siebie, że wystarcza jedna stajnia, lodownia i ogród warzywny. - Uśmiechnął się szeroko. - Mogę czerpać wszelkie korzyści z książęcego statusu, nie ponosząc żadnej związanej z nim odpowiedzialności.

Piętnaście lat, a jej ojciec nie żył od dwudziestu. Jeśli miała znaleźć wskazówki dotyczące morderstwa czy zaginionych diamentów, należało ich szukać w na terenie starej posiadłości, gdzie wkrótce się przeniesie.

- W takim razie myślę, że masz rację - oznajmiła Justine, próbując maskować podniecenie. - Zmiana dobrze ci zrobi - zauważyła i dodała w myślach: a mnie stworzy okazję do przeszukania właściwego pomieszczenia. Ta wiadomość - kiedy już znajdzie sposób, by ją przekazać - powinna uspokoić Montague'a. A to z kolei da jej szansę na wymyślenie następnego kroku, by uchronić przed nim Margot.

To oznaczało również, że odtąd zostanie sam na sam z Felkirkiem. Nie będzie księcia i jego żony, z którymi spędzali czas. Wzrastało ryzyko, że Felkirkowi wróci pamięć albo jej niechcący wyrwie się część prawdy, a nie będzie łatwo tego zatuszować zmianą tematu.

Kiedy zapadnie ciemność, w ogóle nie będą mieli powodu rozmawiać. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, poczuła dziwne ni to napięcie, ni oczekiwanie, jakie się zwykle wyczuwa w powietrzu przed burzą.

- Spodoba ci się - rzekł z przekonaniem, biorąc jej milczenie za bardziej uzasadnione obawy. - Cierpliwości. Będiesz panią we własnym domu. Każesz

wszystko urządzić po swojemu i wkrótce będziemy mogli odwzajemnić gościnność Adama i Penny.

Własny dom. Cóż za dziwne pojęcie, pomyślała Justine. Miała doświadczenie w zarządzaniu służbą Montague'a, ale widziała, jak ci ludzie na nią patrzyli: na w pół z politowaniem, na w pół z przyganą, jakby ich uwierało, że muszą wykonywać polecenia utrzymanki. Teraz miała zostać prawdziwą gospodynią magnackiej posiadłości, gdzie nikt nie będzie kwestionował jej praw. Gdyby sytuacja nie była tak zawikłana, szczerze by się cieszyła z czekającej ją perspektywy.

Kiedy już wyruszyli, przekonała się, że William miał rację co do konieczności przeprowadzki. Siedząc obok niego w powozie, obserwowała, jak humor mu się poprawia niemal z każdym obrotem kół. Wpatrywał się w widok za oknem tak uważnie, że zaczęła się obawiać, iż próbuje unikać jej wzroku. W końcu się odezwał.

- Dobrze znów wracać do domu. Wiele z tego, co się dzieje, wciąż nie mogę objąć umysłem. Pobyt w domu brata bynajmniej mi tego nie ułatwiał.

- Oboje, Adam i Penny, okazali mi mnóstwo dobroci, kiedy tam mieszkaliśmy - przypomniała mu Justine.

- Niczego innego bym się po nich nie spodziewał, ale kiedy braliśmy ślub, z pewnością nie planowaliśmy mieszkać przez resztę życia w cudzym domu.

- To prawda.

- Ledwie zakończyliśmy nasz miesiąc miodowy, czyż nie?

Uwaga zabrzmiała całkiem niewinnie, mieli naturalny powód, by spędzać czas tylko ze sobą. Mimo to nagle oboje zamilkli.

- Nie znaleźmy się zbyt długo - odpowiedziała po chwili Justine - a ostatnie miesiące były wyjątkowo trudne.

Znów zapadła cisza.

William wziął głęboki oddech i zaczął jeszcze raz.

- Będę z tobą szczery, bo nic innego nie ma sensu. Nie znam cię tak, jak mąż powinien znać żonę.

- Twój wypadek... - zaczęła, szukając gorączkowo w myślach argumentów, które w logiczny sposób wyjaśniłyby brak jakichkolwiek romantycznych wspomnień.

- ...należy do przeszłości - dokończył za nią. - Nie pamiętam cię. Jeśli mamy stanowić parę małżonków, nie warto tego rozdrapywać. Muszę... musimy - poprawił się - budować przyszłość na tym, co nam zostało. To się nie uda, jeśli nadal będziemy się unikać, wykorzystywać towarzystwo rodziny i znajomych i sypiać po przeciwnych stronach zamkniętych drzwi. - Odetchnął, jakby nazwanie tego, co

oczywiste, kosztowało go niemało wysiłku.

- To ty mnie odesłałeś - przypomniała, starając się uniknąć tonu pretensji.

Gdyby naprawdę byli małżeństwem, prawdopodobnie czułaby się zraniona i rozgniewana odmową. Jednak reakcja, która wydawała się najbardziej naturalna, mogła najłatwiej zdradzić jej kłamstwa.

- Nie powinienem był tego robić. Jeśli jesteśmy małżeństwem...

- Jeśli?

- Skoro jesteśmy małżeństwem - sprostował - musimy się pogodzić z faktem, że ostatnie pół roku niczego nie zmienia. Rozmawiałem z moim bratem i nie sądzę, żeby anulowanie ślubu było możliwe.

Jak można rozwiązać małżeństwo, które nigdy nie zostało zawarte? Tego nie wolno jej było powiedzieć, więc zadała inne pytanie.

- Zatem chciałeś mnie odtrącić?

Dostrzegła, że zmienił się na twarzy, kiedy uświadomił sobie okrucieństwo własnych słów. Odezwał się ponownie dopiero po chwili zadumy.

- Jeśli taki zamiar powstał w mojej głowie, to nie był wobec ciebie w porządku, podobnie jak wówczas, gdy odesłałem cię ze swojej sypialni. Kiedy przybędziemy do domu, dla wygody każę służbie umieścić twoje rzeczy w sąsiednim pokoju, ale odtąd oczekuję, że będziesz dzielić ze mną łóżko.

- Jak sobie życzysz, milordzie.

Kiedy Montague mówił jej, jaka przyszłość ją czeka, zrobił to równie beznamiętnie. Głupia, po jednym czy dwóch pocałunkach wyobrażała sobie, że ten człowiek będzie ją traktował inaczej.

Usłyszała, jak siedzący obok lord Felkirk zaklął pod nosem.

- Nie chciałem, żebyś odebrała to jak rozkaz.

- Jesteś moim mężem. - Starła się, by zabrzmiało to przekonująco. - Przymknęłam ci powieki. Będzie tak, jak sobie życzysz, a ja postaram się nie dawać ci powodów do niezadowolenia.

Najwyraźniej do tej pory jej się to nie udawało. Felkirk siedział ze zmarszczonym czołem. Po wcześniejszym radosnym ożywieniu nic nie pozostało.

- Mój dom - oznajmił, kiedy dojechali na miejsce. Czekał na jej odpowiedź.

Właściwie nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie tego, co ujrzała. To, co miała przed oczami, w niczym nie przypominało na wskroś nowoczesnej posiadłości Adama, z jej wielkimi oknami i idealnie symetryczną zabudową skrzydeł. Kiedyś stara siedziba służyła jako forteca i wciąż nosiła ślady pierwotnego przeznaczenia. Prostokątną wieżę po lewej wieńczył u góry szeroki

krenelaż. Po prawej wieży został jedynie niski murek z szarego kamienia, znaczący koniec warzywnego ogrodu. Wprawdzie nad wzmocnionymi żelazem drzwiami wejściowymi zachował się kamienny gotycki łuk, ale reszta głównego budynku została przebudowana przez jakiegoś niewydarzonego architekta z ubiegłego wieku.

Patrząc na bezładną mieszaninę stylów, Justine zrozumiała, dlaczego poprzednia księżna uparła się, żeby postawić dla siebie nową siedzibę. Rozumiała, ale nie zamierzała przyznać jej racji.

- Mieszkasz w zamku - powiedziała i natychmiast ugryzła się w język, zła, że wypowiada na głos rzeczy oczywiste.

- Poniekąd. Kiedyś to był zamek, ale ze starych murów niewiele zostało.

- Nie szkodzi. - Zadarła głowę, żeby popatrzeć na szczyt wieży. - Jest wspaniały.

- Podoba ci się? - Wydawał się zdumiony jej entuzjazmem.

- A tobie nie? - Popatrzyła na niego, nie mniej zdziwiona.

- Właściwie tak, ale ja tu się wychowałem. Może dlatego staram się nie zwracać uwagi na oczywiste niedoskonałości.

Z powrotem przeniosła wzrok na stare zabudowania, niegdyś zapewne imponujące w swej potędze.

- Cóż, ja tu żadnych nie widzę. Ta siedziba ma charakter.

- Skoro tak uważasz...

William skinął nieznacznie głową i odwrócił się w stronę wejścia. Służący zgromadzili się przy drzwiach, żeby pozdrowić wracającego do domu pana i oficjalnie powitać jego żonę. William ruszył przodem, nieco chwiejnie, uśmiechając się do ochmistrza cieplej, niż kiedykolwiek uśmiechał się do Justine. Pozwolił lokajowi, żeby mu pomógł wejść na ostatnie stopnie przed progiem. Zapowiadał wprawdzie, że ze względu na niewielką odległość podróż nie będzie fatygująca, jednak było widać, że go zmęczyła.

- Myślę, że jeśli mnie nie potrzebujesz, to przez chwilę odpocznę w swoim pokoju - zwrócił się do Justine.

- Sam wiesz, że za nadto nie możesz się forsować. Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy, teraz, kiedy jesteśmy już w domu. - Ostatnie słowo wymówiła z pewnym trudem, przez moment bała się, że uwięźnie jej w gardle.

William przytaknął, po czym rzekł coś cicho do lokaja, który podał mu ramię i pomógł wspiąć się po schodach na piętro.

Justine została sama ze służbą. Odetchnęła z ulgą, że uwolniła się od towarzystwa Felkirka chociaż na parę godzin. Wydała polecenia co do rozpakowania bagaży

i omówiła menu z ochmistrzynią, a następnie spytała od niechcenia, w którym pokoju może znaleźć pióro, atrament i papier listowy. Tonem wyjaśnienia dodała, że chciałaby powiadomić zaprzyjaźnioną osobę o swojej przeprowadzce.

Ochmistrzyńni, pani Bell, bez zadawania zbędnych pytań skierowała ją do pokoju porannego, gdzie Justine mogła napisać krótką wiadomość dla pana Smitha, gdyż pod takim nazwiskiem Montague zamieszkał w pobliskiej gospodzie.

Wyobraziła sobie, jak list zmierza do niego drogą prowadzącą do wsi, która leżała dokładnie pośrodku między obiema posiadłościami. Jej ojciec podróżował tą drogą tamtej nocy, podczas której zginął. Na zakręcie pojechał w lewo zamiast w prawo, jak wcześniej zakładała. Była przekonana, że podczas porannych spacerów odtwarzała ostatnie kroki ojca, ale nie doszła wystarczająco daleko. Ojciec zmierzał do tego domu. Zginął na tym terenie. Wszelkie wskazówki co do morderstwa czy zaginionych diamentów musiały się znajdować pod tym dachem.

Należało tylko je znaleźć. Potem zamierzała uratować Margot i razem z nią uciec, nie wyjawiając prawdy ani Williamowi Felkirkowi, ani Johnowi Montague'owi.

Kiedy o tym myślała, trudno jej było zachować optymizm.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Justine siedziała przy stole zastawionym do lunchu, kiedy Will zszedł na dół po krótkiej drzemce. Trochę go to zirykowało. Nie był przyzwyczajony do tego, że widzi kogoś naprzeciw, po drugiej stronie stołu, a już zwłaszcza osobę, która specjalnie zasiadła tam wcześniej, gotowa mu usługiwać. Świeża, dobrze usposobiona, w muślinowej sukni i wykrochmalonym czepku, proponowała, że nałoży mu jedzenie albo ułatwi spożycie posiłku w inny sposób.

Nie oczekiwał pomocy. Chciał, żeby zostawiono go w spokoju, pragnął zrozumieć to, co się stało. Jednak musiał się przystosować do nowej sytuacji. Po rozmowie w powozie, podczas której padły mocne słowa, wykorzystał pierwszą okazję, żeby uciec do swojego pokoju i ochłonać.

Przynajmniej odkąd się wyniósł z domu brata, nie otaczał go wianuszek uśmiechniętych twarzy ludzi, którzy zapewniali go, że wszystko jest w najlepszym porządku, podczas gdy wiedział, że tak nie jest. Teraz miał przed sobą tylko jedną twarz. Choć była piękna, malował się na niej ten sam co zawsze trudny do odczytania wyraz. Jeśli on i Justine rzeczywiście byli tak do siebie podobni, jak twierdził Adam, powinna być na niego zła, tak samo jak on był zły na siebie. Odprawił ją, jakby jej pragnienia i potrzeby w ogóle się nie liczyły. A ona przyjęła jego zachowanie tak, jakby nie miała uczuć, które można zranić.

Może czekała na to samo co on: nagły przyływ pamięci, który wszystko wyjaśni. Odniósł jednak wrażenie, że jego postawa w tej kwestii budziła w niej dziwny lęk.

- Nie spytasz mnie, czy przypomniałem sobie cokolwiek w związku z powrotem do domu? - odezwał się Will, nalewając wino i z uwagą przyglądając się Justine.

Uniosła kieliszek do ust.

- Spodziewam się, że jeśli sobie cokolwiek przypomnisz, pierwsza się o tym dowiem. Chyba nie zamierzasz taić przede mną prawdy? - Otworzyła szeroko oczy, jakby myśl, że mógłby cokolwiek przed nią skrywać, nawet nie powstała w jej głowie.

Natychmiast poczuł się jak niegodziwiec, że tak ją traktuje.

- Oczywiście, że nie - zapewnił pośpiesznie.

Z jakiego powodu ukrywałyby to, co wiedział? Po wzmiance o anulowaniu ślubu musiała założyć, że próbuje negocjować ich małżeństwo, udając, że nic o nim nie wie. Nawet jeśli wcale nie chciał się wiązać, nie zamierzał porzucać Justine, skoro już była jego żoną, i nie chciał jej narażać na zgubę tylko po to, by uniknąć

konsekwencji zapomnianej złej decyzji.

Odezwał się ponownie, już łagodniejszym tonem.

- Dobrze znowu być u siebie. Cała ta uwaga, jaką mi poświęcano w domu Adama, była trochę męcząca.

- Oni po prostu się o ciebie troszczą. Czy w podobnej sytuacji nie zrobiłbyś tego samego dla brata?

Zastanowił się przez moment.

- Przypuszczam, że już zrobiłem. Był taki czas, przed kilku laty, kiedy to Adam miał kłopoty. Chyba mówiłem ci, że blizny na ramieniu mam od pożaru, który on spowodował?

Znów się zamyślił, a potem skinął głową, jakby jego słowa stanowiły odpowiedź na niezadane pytanie.

Z pewnością wyjaśnił jej, co spowodowało uszkodzenie skóry, i zrobił to podczas ich pierwszej razem spędzonej nocy. Musiała je zauważyć. Nie można było przeoczyć gładkiego czerwonego śladu, sięgającego od łokcia po bark. Wstydził się go i zawsze od razu wyjaśniał, co się stało, żeby nie wprawiać w zakłopotanie kobiet, które brał do łóżka. Tymczasem żona patrzyła na niego tak, jakby nic jej na ten temat nie wspomniał. Mocno go to zdziwiło.

Cóż, była to zaledwie jedna z wielu dziwnych rzeczy, jakie się zdarzyły w ostatnim tygodniu. Postanowił nie drążyć sprawy, zaczął jeszcze raz, ostrożnie.

- Chciałem wtedy pomóc Adamowi, ale kilka razy usłyszałem, że mam iść do diabła. Kwestionowałem też jego rozsądek, gdy żenił się z Penny.

- Byłeś przeciwny ich małżeństwu? - Oczy Justine stały się okrągłe ze zdziwienia.

- Myliłem się, rzecz jasna, ale nie powstrzymało mnie to przed gadaniem. Tim Colton także miał trudny okres po tym, jak zmarła jego pierwsza żona. Przyjaźni się blisko z Adamem, więc nie ja musiałem znosić skutki jego nastrojów. Trzeba jednak powiedzieć, że zachowywał się okropnie. Odmawiał przyjęcia pomocy od bliskich.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy mężczyźni są trudni? - spytała Justine, unosząc nieznacznie brwi.

- Wszyscy tutejsi mężczyźni, w każdym razie. Może to walijski klimat nastraja nas tak melancholijnie i czyni nas upartymi.

Pokiwała głową.

- Zatem jeśli będziesz burczał i marudził, nie powinnam siebie za to winić.

- Nie powinnaś. To mój problem, nie twój.

William pomyślał o swoich podejrzeniach z poprzedniego dnia. Jeśli to ona utrzymywała przed nim jakieś tajemnice, to miał prawo okazywać nieufność. Jednak

kiedy na nią patrzył w tej chwili, świeżą i śliczną w południowym słońcu, doszukiwanie się w niej jakichkolwiek win wydawało się prostackie i niedorzeczne. Przełknął kęs łososa na zimno i popił go winem. Popatrzył na Justine ponad krawędzią kieliszka.

Skubiąc kawałek bułki, podniosła wzrok i przyłapała jego spojrzenie.

- A teraz, kiedy już jesteś w domu, co planujesz zrobić? - zaczęła, odkładając bułkę na talerz. - Zakładam, że nie męczę cię pytaniami. - Kącik jej ust uniósł się nieznacznie.

William zastanawiał się, czy specjalnie chciała go rozbawić. Wyraźnie starała się nie narzucać. Miła dla oka i cicha jak duch, przemykała ledwie zauważana, z rzadka inicjując rozmowę. Kiedy jej potrzebował, zbliżała się na tyle, by udzielić mu niezbędnej pomocy, po czym znów zniknęła niczym leśny skrzat. Może właśnie dlatego się z nią ożenił. Znalezienie kobiety chętnej bezkolizyjnie wpasować się w życie męża stanowiło prawdziwy uśmiech fortuny. Pytała o jego plany. A jakie one były? Większość zajęć, które by mu odpowiadały, znajdowała się poza jego zasięgiem, dopóki nie odzyska pełni sił.

- Nie mam żadnych planów - przyznał.

- W takim razie mogę cię prosić, żebyś mnie oprowadził po domu? Jeśli nie masz na to ochoty, to zwrócę się do ochmistrzyni. Przypuszczam jednak, że ciekawiej byłoby usłyszeć od ciebie szczegóły dotyczące tego miejsca. Zostało wiele godzin, zanim weźmiesz mnie do łóżka. Musimy jakoś spędzić popołudnie.

Omal nie udławił się następnym łykiem wina. Kiedy ochłonął na tyle, by spojrzeć na Justine, nic nie wskazywało na to, by się śmiała. A był pewien, że wyczuł jej rozbawienie, i uznał je za obiecujący znak.

Z przyjemnością myślał o ponownym obejściu własnych kątów i pokazaniu ich jedynej kobiecie w Anglii, która zdawała się doceniać oryginalność starej posiadłości. Nawet Penny, która rzadko miewała opinie na temat czegokolwiek poza swoimi książkami, uważała budowlę za szkaradną i radziła, by ją wyburzył aż do fundamentów i postawił od nowa.

Może jednak Adam miał rację, że on ożenił się z kobietą, która odpowiadała mu charakterem? Zaciekawilo go, czy będzie podzielała jego zdanie również odnośnie do domowych wnętrz. Styl ich urządzenia odbiegał od współczesnej mody, ale bardzo mu się podobał. Pomyślał, że spacer od pokoju do pokoju może mu nawet przywrócić nieco sił, a w razie potrzeby po drodze zrobią postój i odpoczną pod pretekstem konieczności zapoznania Justine ze starą rodzinną historią.

Dlaczego podejrzewał, że ona to wiedziała, że znalazła doskonały sposób, by

zachęcić go do gimnastykowania zastałych nóg, bez nadwerężania jego godności?

- To dobry pomysł - oznajmił. - Skończymy posiłek i możemy wyruszać. - Przyszło mu na myśl, że jeśli spędzą razem dzień, uda mu się czegoś o niej dowiedzieć.

Jednak po całym popołudniu poświęconym zwiedzaniu domu wiedział o Justine tyle samo co na początku. Okazała się wdzięczną słuchaczką, więc z przyjemnością opowiadał o czasach, gdy dorastał w starej rodowej siedzibie. Nie odwzajemniła mu się jednak podobnymi historiami z własnego dzieciństwa. Kiedy nadszedł czas, by przebrać się do kolacji, uświadomił sobie, że wciąż wie o niej bardzo niewiele. Była piękna, pochodziła z Belgii. Została sierotą. Miała nienaganne maniery i umiała dziergać koronki, choć nigdy nie widział, by je nosiła. Ponadto była wdzięczna, że się z nią ożenił, i gotowa dbać o niego pod każdym względem.

W trakcie przemierzania kolejnych pomieszczeń wyczuwała, kiedy dopadało go zmęczenie, i brała go pod rękę, udając, że boi się iść sama. Gdy doszła do wniosku, że minęło zbyt wiele czasu od ostatniej przerwy, twierdziła, że jest wyczerpana, i prosiła, by na chwilę usiedli w oranżerii albo w pokoju muzycznym, ponieważ domyśliła się, że on lubi je najbardziej. Wspierała go we wszystkim, jednocześnie przekonując, że w istocie to on ją wspiera.

Okazała się żoną idealną. Prawie idealną.

Czy powinien się niepokoić, skoro trafiła mu się tak oddana towarzyszka życia? Nie mógł się doszukać żadnej skazy na jej urodzie. Nie znał drugiej tak pięknej kobiety, a piękniejszej nie mógł sobie wyobrazić. Odniósł przy tym wrażenie, że jest jak obraz lub posąg, który ożył. Nie było w niej namiętności. Złotorude włosy chowała pod czepkiem. Kształtne ciało pod suknią o skromnym kroju. Przy stole zaskoczyła go i zszokowała szczerą uwagą na temat wspólnej nocy, ale czy kiedy znajdą się razem w łóżku, okaże się entuzjastyczną kochanką? Czy pozostanie równie spokojna i wyciszona jak w salonie, gdy z uwagą słuchała opisów kolejnych postaci z rodzinnych portretów i historii każdego bibelotu umieszczonego na półkach? Czyżby nie miała innych cech, poza tymi, które demonstrowała, zakładając, że właśnie takie on chce w niej widzieć?

Bez wątplenia żonaty brat mógłby mu objaśnić zagrożenia wynikające ze związku z kobietą, która lubi się sprzeciwiać. Jednak posiadanie takiej, która niezmiennie prezentuje lustrzane odbicie jego własnych opinii, wcale nie było aż tak przyjemne, jak by mogło się wydawać.

Doszli już prawie do swoich sypialni, znajdowali się przed drzwiami do pokoju dziecinnego. William zatrzymał się, ale jakoś nie miał ochoty zaglądać do środka.

- Tu nie musimy wstępować - rzekł, ruszając dalej. - Nie ma tam nic poza starymi zabawkami. Sama się przekonasz, że te pomieszczenia są bardzo wygodne, kiedy będziemy ich potrzebowali dla naszych dzieci.

- Oczywiście - powiedziała i ruszyła za nim.

- Teraz, kiedy Adam założył rodzinę, sukcesja jest raczej zapewniona - stwierdził.

- Nie ma pośpiechu w staraniu się o syna.

- Nie ma pośpiechu - potwierdziła. - Chyba że ty chciałbyś mieć potomka - dodała szybko.

Znów dostrzegł to nieznaczne, układne pochylenie głowy, jakby chciała mu stworzyć liczną rodzinę natychmiast, jeśli tylko by sobie tego życzył.

Tak jakby zamierzał wychowywać dzieci z obcą kobietą! Mimo że była wyjątkowo piękna, nie był nawet pewien, czy naprawdę chce się z nią kochać. Nie sprawiłoby mu to przyjemności, gdyby jedynie apatycznie mu się oddała. Jaki sens żenić się z piękną kobietą, jeśli trzeba sobie znaleźć piękną kochankę, która przynajmniej udaje radość z intymnych zbliżeń?

Pomyślał o pokoju dzieciennym i przypomniał sobie powód, dla którego mężczyźni się żenili.

- Porozmawiamy o tych sprawach ponownie, kiedy w pełni dojdę do siebie.

- Oczywiście - odparła i wycofała się do swojego pokoju.

W ciągu następnych godzin Justine starała się zachować spokój, ale nowa sytuacja okazała się większym wyzwaniem, niż mogła się spodziewać. Kiedy wprowadzała w życie swój plan, nie sądziła, że czeka ją taki wieczór.

Mimo jej szczerych starań i troskliwej opieki William Felkirk miał umrzeć. Była tego pewna. Czowała dziki strach wymieszany z litością na widok krwawiącej głowy Felkirka i beznamiętnej miny Montague'a, kiedy powtórnie unosił pogrzebacza. Nim padł kolejny cios, zdążyła przekonać napastnika, że lepiej, by ofiara trafiła na łono rodziny, niż martwa zalegała podłogę w ich sklepie. Co by było, gdyby książe Bellston przybył do Bath i zaczął wypytywać o zaginionego brata?

Albo, co gorsza, przysłał stróżów prawa? Bez wątpienia czekałaby ich oboje szubienica za morderstwo. Margot zostałaby sama na świecie, osaczona fałszywymi wyznaniem kochanki Montague'a, zamieszczanymi w brukowcach, pełnymi sprośnych szczegółów opowieściami o kobiecie, którą brak zasad moralnych doprowadził do upadku.

Uparła się, że dalsza przemoc wobec Williama Felkirka jest niepotrzebna. Skoro cios go nie zabił, prawdopodobnie wykończy go podróż na północ. A jeśli ją

przetrwa? Wówczas ona zostanie z nim jakiś czas, dopóki nie znajdzie diamentów i nie będzie mogła zniknąć.

Tymczasem teraz siedział naprzeciw niej przy stole, gotowy odbudować utraconą w niepamięci przeszłość. Ucieczka nie wchodziła w grę, jeśli zamierzał obserwować każdy jej ruch. Zastanawiała się, czego będzie od niej oczekiwał, skoro mieli spędzać razem wiele godzin. Wycieczka po domu bardzo jej pomogła. Zobaczyła kilka pomieszczeń, w których mogła szukać informacji o zaginionych diamentach.

Nie mogli jednak całymi dniami spacerować razem po pokojach. Z pewnością nie tak też Felkirk chciał spędzać wieczory. Wraz z listem do Montague'a napisała krótką wiadomość do Penny, zapraszając ją na obiad z nadzieją, że gość nieco rozładuje napiętą atmosferę wymuszonego odosobnienia.

Księżna równie szybko przysłała odpowiedź: „Potrzebujecie czasu, żeby się nawzajem poznać. Nie powinna was rozpraszać obecność innych osób. Być może za tydzień przyjedziemy zobaczyć, jak wam idzie”.

Tydzień? Penny równie dobrze mogła napisać „za rok”. Justine z westchnieniem powiadomiła ochmistrzynię, że wszystkie posiłki należy podawać dla dwojga. Stanowiły dla niej problem. Nie miała pojęcia, jakie potrawy Felkirk lubi najbardziej, jaki ma rozkład zajęć, kiedy jest w domu, wreszcie, w których pomieszczeniach lubi jadać. Musiała się zdać na służbę. Wydając ochmistrzyni wskazówki, zamrugła niewinnie oczami, przybierając zatroskaną minę. Następnie oznajmiła, że lord Felkirk tak długo leżał złożony niemocą, że już się obawiała, iż nigdy...

Kobieta natychmiast zaoferowała jej pomoc, obiecując dołożyć wszelkich starań, by zapoznać ją z kulinarnymi upodobaniami pana domu oraz tajnikami zarządzania żeńską służbą. Ta gorliwie okazana życzliwość sprawiła, że Justine poczuła się jeszcze większą kłamczuchą.

Zaufała pani Bell, co zaowocowało uroczystym obiadem w głównej jadalni, przygotowanym najwyraźniej dla uczczenia ich powrotu. Zasiedli przy stole nakrytym srebrem i kryształami, a człowiek, który zaledwie dwa dni wcześniej z trudem podnosił widelec do ust, raczył się dziewięcioma daniami i trzema gatunkami wina.

Chociaż jadł z widocznym apetytem, niemal cały czas czuła na sobie jego wzrok. Tak samo zachowywał się Montague, kiedy byli tylko we dwoje. W oczach Felkirka dostrzegła dumę posiadacza, jakby podziwiał piękny bibelot na półce i nie mógł się nadziwić, że niespodziewanie stał się jego własnością. Wkrótce miał go zdjąć z półki

i obracać w dłoniach, zapoznając się z każdym konturem i detalem. Justine bezwiednie zadrżała.

Felkirk spojrział w kąt jadalni, na wygaszony kominek.

- Przekonasz się, że w starych domach, takich jak ten, grasują przeciągi. Nawet latem kamień gromadzi w sobie chłód. Wezwać służącego, żeby rozpałił ogień?

- Nie ma potrzeby - zapewniła. - Nie zostaniemy tu długo. Jeśli znów mnie owieje, będę pamiętać, żeby podczas kolacji okryć się szalem.

- Aha - rzucił takim tonem, jakby pomysł zakrycia ramion przed jego spojrzeniem wzbudził w nim rozczarowanie.

Dlaczego nie wyraził wprost swoich obiekcji? Dawno nauczyła się nie stawiać takich wymagań Montague'owi, z obawy że każe jej odsłonić jeszcze więcej, by pokazać, że jest mu winna posłuszeństwo. Kiedy się dostaje wybór: założyć suknię czy szal, przestaje się zwracać uwagę na zimno.

Lord Felkirk odsunął od siebie deser.

- Nie ma potrzeby używać lodu o tej porze roku, niezależnie od tego, jak ładnie wygląda - powiedział.

Patrzył na chińską wazę, której pokrywę dla schłodzenia zawartości obłożono lodem. Masło również spoczywało w wypełnionej okruchami lodu miseczce, żeby wytłoczony na nim herb Felkirków się nie zatarł.

- Wszystko takie zimne. Zimne jak grób - dodał, kręcąc wolno głową.

Justine widziała, że przestał zwracać na nią uwagę. Nagle popadł w zadumę, twarz mu spochmurniała, jakby błędził myślą po mrocznych obszarach, coraz dalej i dalej od dziennego światła. Ta zmiana wydała jej się równie niepokojąca jak wcześniejsze uwagi.

- Przenieśmy się do salonu - zaproponowała. - Rozpalono w kominku, więc jestem pewna, że zrobiło się tam całkiem przytulnie.

Obawiała się, że prawda nie wygląda aż tak optymistycznie. Wprawdzie stary dom był mniejszy od książęcego, ale i tak stanowczo za duży dla bezdzietnej pary. Poza tym powinno w nim mieszkać przynajmniej dwóch żywiołowych chłopców, jak za czasów dzieciństwa Williama.

Tymczasem siedzący przed nią mężczyzna w niczym nie przypominał energicznego dziecka. Podniósłszy się z krzesła, wysunął ku niej ramię; oboje wiedzieli, że za tym pozornie kurtuazyjnym gestem kryje się niewypowiedziana prośba o wsparcie, by mógł nie brać kul i poprzestać na lasce. Tak samo jak po południu zajęła miejsce u jego boku i razem przeszli do holu.

W salonie podprowadziła go do sofy i naleła mu kieliszek porto. Następnie zajęła

miejsce w fotelu naprzeciwko, gdzie przygotowano dla niej zestaw do wyrobu koronek. Wieczór zapowiadał się milczący, podobny do posiłku, wypełniony raczej pełnymi zadumy spojrzeniami i myślami niż wymianą zdań. Ostatecznie byli sobie obcy i nie bardzo mieli o czym rozmawiać.

Mimo pilnej potrzeby nie potrafiła zmusić się do wymyślania fałszywych wspomnień z czasu rzekomych zalotów i narzeczeństwa. Miała ochotę rozmawiać tylko na jeden temat, ale akurat ten nie wchodził w grę. Jaką tajemnicę krył ten dom? Co kazało lordowi Felkirkowi szukać sakiewki z diamentami, zaginionej i zapomnianej od końca ubiegłego wieku?

Rozejrzała się ukradkiem po pokoju: kominek z solidnym gzymsem, pejzaże na ścianach, gruby dywan, tkany na płasko, niestrzyżony. Żadnych widocznych kryjówek. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że stąpa uważnie po podłodze i sprawdza, czy któraś z klepek nie jest obłuzowana albo nie kryje pustki pod spodem. Jednak kiedy William wstał i podszedł do niej, odruchowo nasłuchiwała, czy któryś z jego kroków nie zabrzmiał inaczej, zdradzając miejsce schowka. Wszystkie brzmiały tak samo. Stał tuż przy niej i z góry przyglądał się jej pracy.

Przerwała i uniosła wzrok, spodziewając się, że będzie niezadowolony tak jak Montague, kiedy zajmowała się czymś innym, a nie zaspokajaniem jego potrzeb.

- Jeśli sobie życzysz, wystarczy, że powiesz słowo, a odłożę robótkę.

- Oczywiście, że nie. - Cofnął się, jakby zdziwiony jej zachowaniem. - Jeśli sprawia ci przyjemność, to nie przerywaj.

Podziękowała mu skinieniem głowy. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale rzeczywiście lubiła dzierganie koronek. Zajmowało ręce, ale wolny jak ptak umysł oddawał się nieskrępowanym rozmyśleniom.

Usłyszała, jak Felkirk szurając, przestępuje z nogi na nogę; przyszło jej do głowy, że może przydałaby mu się podobna rozrywka. Może był tak samo niepewny swego miejsca w nowej rzeczywistości jak ona. Odezwała się, nie zatrzymując mechanicznego ruchu dłoni przekładających szpulki.

- Jak zwykle spędzasz wieczory?

- Nie wiesz? - spytał niemal podejrzliwie.

Trochę spłoszona, szybko wymyśliła odpowiedź.

- Byliśmy razem dość krótko. Miałeś mało czasu i zainteresowania dla domowych przyjemności. Prawdę mówiąc, wróciłam do koronek dopiero wtedy, gdy przyjechaliśmy do Walii i zyskałam pewność, że znajdujesz się pod dobrą opieką. Po prostu nie było czasu na takie zajęcia. - Czekala, żeby się domyślił, o co jej chodzi.

- Spędzaliśmy więcej czasu w sypialni niż w salonie? - Wyciągnął jedyny możliwy

wniosek, po czym zaśmiał się z jej rumieńca. – Nie ma się czego wstydić. Jesteśmy małżeństwem i nasze zachowanie było całkiem naturalne.

– Oczywiście.

Miała świadomość, że skierowała jego myśli na szczególny tor. Prawdopodobnie mogła się spodziewać, że zażąda, by natychmiast powrócili do starych zwyczajów. Pomyślała, że przynajmniej ustanie napięcie i nie będzie się tak denerwować. Leżenie na plecach i milczenie było znacznie łatwiejsze niż siedzenie jak na szpilkach i zastanawianie się, co należy powiedzieć.

Felkirk przyglądał jej się przez chwilę z zadumą, po czym rzekł:

– Jestem pewien, że z czasem nauczymy się siedzieć razem w salonie. Pytałaś mnie, jak zwykle spędzam wieczory w domu. Otóż lubię czytać. Nie brzmi to zbyt ekscytująco. Jak pewnie zauważyłaś, mój brat woli chodzić w kółko i rozprawiać o polityce. Penny jest zapaloną czytelniczką, często tłumaczy z greki lub łaciny. – Zrobił pauzę, jakby wyznawał wstydlivy sekret, po czym dodał: – Ja wolę powieści.

– Czytasz na głos? – spytała z nadzieją. Takie rozwiązanie wydało jej się wręcz doskonałe; on byłby zajęty i rozmowa stałaby się niepotrzebna.

Zastanowił się przez chwilę.

– Do tej pory tego nie robiłem, bo nie miałem słuchaczy.

– Bardzo chętnie bym posłuchała, gdybyś zechciał mi poczytać.

– Nie będzie ci to przeszkadzało w pracy?

– Przeciwnie, tylko umili wspólny wieczór – zapewniła. – Mógłbyś wybrać którąś ze swoich ulubionych książek.

Odpowiedział uśmiechem ulgi, który dał jej do myślenia. Czyżby i jemu ciążyły te wieczorne godziny? Kiedy sięgnął po laskę, żeby przejść do biblioteki, zaoferowała pomoc, ale zbył ją machnięciem ręki. Zarówno jego krok, jak i nastrój wydały jej się lżejsze niż dotychczas.

Zdumiała ją fala ciepła, jaka ją ogarnęła na widok tej zmiany. Może tak przyzwyczała się do myślenia o nim jako o swoim pacjencie, że przypisywała sobie zasługę za poprawę jego stanu? A może, pomyślała nieoczekiwanie, nie lubi patrzeć na jego smutek. Zanim pojawił się w sklepie w Bath, na myśl o nim i jego rodzinie odczuwała jedynie gorycz. Tymczasem obecnie miała przed sobą człowieka, którego jej ojciec nazwałby tabula rasa: czystą tablicą, na której można napisać wszystko. Nagle obwinianie Williama o przeszłość uznała za niesprawiedliwe.

Wyprawa korytarzem do biblioteki prawie wcale go nie zmęczyła, wrócił ze zniszczonym egzemplarzem *Podróży Guliwera*. Była pewna, że czytała tę powieść w dzieciństwie, ale prawie nie pamiętała treści. Szybko stało się jasne, że wówczas

nie rozumiała co bardziej finezyjnych szczegółów narracji. Tekst, choć bardzo zabawny, zawierał śmiałe opisy, nie bardzo nadające się do głośnego czytania w salonie. Justine nie wiedziała, czy ma się rumienić, czy śmiać, ale to się czerwieniła, to uśmiechała. Co też Felkirk musiał o niej pomyśleć?

Szybko uprzytomniła sobie, że jako żona nie powinna być speszona dokonaniem przez niego wyborem. Może chciał, by się odprężyła i wprowadziła w nastrój odpowiedni do tego, co miało nastąpić później, kiedy znajdą się w jego sypialni? Takie zachowanie wydawało się jej niezrozumiałe. Wcale nie musiał się wysilać, wystarczyło wydać polecenie, a zrobiłaby wszystko, czego on sobie zażyczy.

Natomiast mógł ją znowu pocałować. Wspomnienie pocałunku, wymienionego w holu domu księcia, znacznie bardziej ekscytujące niż to, co czytał, tak ją oszołomiło, że pomyliła ruchy i wykonała niepoprawnie cały rząd splotów, aż musiała rozpleść nici i zacząć od nowa.

Co właściwie miała sądzić o lordzie Felkirku? Skłamałaby, twierdząc, że nie lubi jego towarzystwa. Nie spodziewała się, że będzie tak miło ani że tak ją rozbawi lektura, również jemu najwyraźniej sprawiająca radość. Z nostalgią pomyślała o bibliotece. Znajdowało się w niej dość książek na całe życie takich wieczorów jak ten.

Rano też słuchała go z przyjemnością. Opowieści o domu i rodzinie tak ją zainteresowały, że prawie zapomniała, dlaczego chciała je poznać. Los ojca i ukryte diamenty straciły na znaczeniu w porównaniu z historią miejsca, które nigdy nie miało się stać jej domem.

Podejrzewała, że tak naprawdę fascynuje ją nie tyle budynek co jego właściciel. Lubiała patrzeć na jego czarne włosy, jasną skórę i wyraziste szlachetne rysy. Nawet kiedy leżał chory, nagie ciało zakryte prześcieradłem interesowało ją nie tylko jako pielęgniarkę. Mimo wymizerowania długotrwałą niemocą miało w sobie siłę, łatwo mogła sobie je wyobrazić pełne życia i energii. Tego wieczoru, kiedy jej czytał, dostrzegła wigor, który wcześniej w nim wyczuwała. Głos miał ożywiony, ciało napięte. Pełen entuzjazmu, niemal odgrywał przed nią sceny opisywane w powieści. Patrząc na niego, nie miała wątpliwości, że dobrze zrobiła, przywożąc go do domu. Cóż by to była za szkoda, gdyby ktoś taki zginął gwałtowną śmiercią, samotny i niekochany.

Wysłuchana w jego głos, pozwoliła sobie na odprężenie; osłonięta świeca z boku leciutko migotała, zręczne palce nie ustawały w przekładaniu szpulek. Kiedy w końcu William energicznie zamknął książkę, ze zdumieniem odkryła, że zegar właśnie wybił jedenastą. Popatrzyła na niego, a on odwzajemnił spojrzenie

z uśmiechem zaskoczenia.

- Nie sądziłam, że jest aż tak późno - przyznała.

- Ja też nie. - Stłumił ziewnięcie, wstał i odłożył książkę. - Chyba czas się udać na spoczynek. Pozwól, że cię odprowadzę do twojego pokoju. Kiedy będziesz gotowa...

- Urwał, jakby podzielał jej zdenerwowanie, a po chwili dodał: - Wejdź do mojej sypialni wewnętrznymi drzwiami. Nie musisz pukać. Będę na ciebie czekał.

- Oczywiście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Justine udała się do swojego pokoju, gdzie pokojówka przywieziona z domu Penny pomogła jej się przebrać w nocną koszulę, a potem wyszczotkowała i splotła jej włosy. Z każdym ruchem szczotki Justine powtarzała sobie, że przecież nie ma powodu tak się denerwować. Ostatecznie nie jest dziewczicą nieświadomą tego, co nastąpi. Związek z Montagiem przygotował ją na wszelkie życzenia, jakie mógł wyrazić lord Felkirk.

William, poprawiła się w duchu. Rodzina nazywała go Willem. Jako rzekoma żona musiała tak o nim myśleć. Naopowiadała mu, że jakiś czas ze sobą współżyli. I teraz znowu będą. Taka była naturalna kolej rzeczy.

Starła się stłumić w sobie przygnębienie. Nie dość, że była zabawką w rękach Montague'a, to jeszcze miała się otworzyć przed obcym mężczyzną w nadziei, że coś przez to zyska. Nagle grę, którą wymyśliła, uznała za niebezpieczną.

Żywiła nadzieję, że Felkirk będzie ostatnim mężczyzną, który ją w ten sposób wykorzysta. Z drugiej strony, szkoda, że to musi być akurat on. Był miły, zabawny i bez wątplenia przystojny. Kiedyś marzyła o znalezieniu takiego mężczyzny, a ściślej rzecz biorąc, o tym, by to on ją odszukał. Gdyby tak pojawił się w jej życiu pięć lat wcześniej...

Odprawiła pokojówkę i jeszcze raz spojrzała w lustro. Zakazała sobie w duchu takich niemądrych rozmyślań i w tym samym momencie odniosła wrażenie, że widzi w swoich oczach pustkę. Odwróciła się od lustra, przeszła do drzwi łączących pokoje i przekręciła gałkę.

William leżał w łóżku. Uśmiechnął się do niej, kiedy zamykała za sobą drzwi. Oparty wysoko na poduszkach, splótł nagie ramiona pod głową. Kołdra zakrywała go od pasa w dół, naga pierś była widoczna. Mogła się spodziewać, że niżej także nie ma na sobie ubrania. Przez moment zapragnęła odwrócić się i uciec.

Natychmiast skarciła się w duchu za głupotę. Przecież wcześniej widziała tego mężczyznę nagiego. Myła go przez wiele tygodni. Nic nie mogło jej zaskoczyć.

Rozplótł ramiona i jedną rękę wyciągnął do niej w powitalnym geście, a drugą poklepał materac obok siebie.

- Chodź.

Wyłączając myślenie, podeszła do niego posłusznie niczym dobrze wyszkolony pies. Własna niechęć do stawiania jakiegokolwiek oporu wydawała się odrażająca. Czyżby Montague całkowicie zabił w niej poczucie godności? Zepchnęła tę

wątpliwość głęboko, żeby przypadkiem nie uwidoczniła się na jej twarzy. Uznała, że do łóżka męża należy zmierzać z pogodną miną.

Kiedy się zbliżyła, odgarnął kołdrę, robiąc jej miejsce obok siebie. Popatrzyła na pustą połowę łóżka, potem na niego, wreszcie usiadła na pościeli, a potem ułożyła się na poduszce.

William otoczył ją ramieniem i swobodnym ruchem przyciągnął do siebie.

- Czy dla ciebie też to jest takie dziwne jak dla mnie?

Dziwniejsze, niż mógł sobie wyobrazić. Próbowwała znaleźć wygodne miejsce dla rąk, w końcu oparła je delikatnie o jego pierś.

- Minęło trochę czasu - zauważyła, starając się przybrać współczujący ton.

- Ty przynajmniej pamiętasz, kim jestem - przypomniał jej.

- Czy to naprawdę będzie miało aż takie znaczenie, kiedy zgaśnie światło? - spytała i od razu pojęła, że powiedziała coś niewłaściwego.

William odsunął się od niej, wyraźnie zszokowany.

Oczywiście, że powinno mieć znaczenie. Powinno boleć, że mężczyzna, którego się kocha, niczego nie pamięta. Skoro zależało mu na niej na tyle, by się ożenić, powinna przynajmniej udawać, że nie jest jedynie kolejnym ciepłym ciałem w jego łóżku.

Odchrząknął niepewnie.

- Gdyby chodziło jedynie o pożądanie, pewnie nie byłoby aż tak ważne. Chyba łączyło nas coś więcej?

Usłyszała w jego głosie ni to tęsknotę, ni nadzieję, jakby bardzo chciał sobie przypomnieć, co ich skłoniło do zawarcia ślubu.

Nie miała innej odpowiedzi poza krótkim „tak”. Przytuliła się do niego i przełożyła nogę przez jego nogi. Miała nadzieję, że tej nocy obejdzie się bez dalszych rozmów.

Nie odsunął się, ale też nie przewrócił jej na plecy, żeby mogli zacząć. Wyciągnął ku niej drugą rękę i przez chwilę muskał jej piersi przez cienką tkaninę koszuli. Następnie przejechał palcem wzdłuż skromnie wyciętego dekoltu.

- Sama to zrobiłaś?

- Oczywiście.

- Jak nazywa się ta koronka?

Wzruszyła ramionami; ozdoba przy koszuli była bardzo prosta.

- Zwykła frywolitka.

- Zrobiłaś ją przy użyciu tych szpilek i poduszki?

Pokręciła głową, zdumiona, że w takim momencie pyta o dzierganie koronek.

- Użyłam czótenka. To bardzo łatwa technika. Potrafię ozdobić całą koszulę

w jeden wieczór.

Przyjrzał się jej koszuli, jakby interesowała go bardziej niż ciało, które kryła.

- Ozdobiłaś tak inne swoje koszule?

- Mam kilka identycznych jak ta.

- Bardzo praktyczne - rzekł, starając się, by zabrzmiało to uprzejmie.

Nagle przypomniało jej się, jak leżała z Montagiem w prostej płóciennej koszuli, jednej z takich, jakie lubił najbardziej. Zdarzały się też noce, kiedy przychodziła do niego zupełnie naga. Na myśl o nim wstrząsnął ją dreszcz.

William okrył jej ramiona.

- Jak już mówiłem, stare domy bywają zimne, ale możesz mi wierzyć, że ze mną w łóżku nie zmarzniesz.

Dwoma palcami ściągnął jej z głowy czepek i upuścił na podłogę koło łóżka, po czym gorącym oddechem owiał jej ucho.

Od tego również zadrzała, ale też wydała z siebie westchnienie zachwytu, które ją zaskoczyło, a u niego wzbudziło widoczne zadowolenie.

- Jestem ciekawy - odezwał się znowu. - Poświęcasz czas na wykonywanie pięknych rzeczy dla innych. Ciągłe słyszę o twoich mistrzowskich umiejętnościach i talencie. Natomiast nie spostrzegłem koronek przy twoich sukniach noszonych w ciągu dnia ani tych przy kolacji, więc zakładałem, że zobaczę je chociaż przy nocnym stroju. - Zerknął na porzucony czepek i pokręcił głową, rozczarowany. - Dlaczego sama nie nosisz ładniejszych rzeczy?

Przypomniała sobie kufer trzymany przez matkę. Miał wielkość szafy, od zewnątrz zdobiły go misterne intarsjowane ornamenty, wewnątrz pachniał pszczelim woskiem i goździkami. „Pewnego dnia będzie twój” - zapowiedziała matka. „To twój posag”.

Od jak dawna nie pomyślała o kufrze? Po tym, jak Montague do niej przyszedł, uświadomiła sobie, że małżeństwo stało się utraconym marzeniem. Tamtego dnia odłożyła wszystkie zrobione dla siebie koronki, żeby kiedyś mogła je ofiarować Margot.

Rzekomy mąż czekał na odpowiedź.

- Miło widzieć, jak inni są szczęśliwi - odparła wymijająco.

- Chciałbym cię ujrzeć szczęśliwą. Wyglądałabyś pięknie w koszuli ozdobionej koronką, którą robiłaś dziś wieczorem. - Znow przesunął palcem wzdłuż wycięcia w dekolcie, jakby wskazywał, gdzie powinna się znaleźć koronkowa ozdoba.

Zadrzała.

- To byłoby niezbyt skromne. Widziałabyś... - Urwała. Wyobraziła sobie brodawki

piersi prześwitujące przez koronkę.

- Wiem. - Uśmiechnął się i przesunął dłoń niżej, w kierunku sutka.

- Jeśli sobie życzysz, to zdejmę koszulę. - Sięgnęła pod kołdrę.

Przytrzymał jej rękę.

- Źle mnie zrozumiałaś.

- Nie chcesz oglądać mojego ciała?

Zaśmiał się nerwowo.

- Chcę, i to bardzo. Z pewnością wcześniej bardzo mi się podobało i nie mogę się doczekać, żeby znów je zobaczyć. Jednak nie ma powodu, żeby się śpieszyć.

- Oczywiście. - Ponownie wyciągnęła się przy nim i położyła mu dłoń pośrodku klatki piersiowej.

W odpowiedzi pogładził ją po włosach.

- Niezręcznie mi się przyznać, ale nie wiem, czy będę miał siłę do działania. Dzień był męczący, a ja wciąż jestem słaby jak kociak. Chyba bym się skompromitował, gdybym próbował cię posiąść.

Odruchowo opuściła wzrok i to, co zobaczyła, przeczyło jego słowom. Pod kołdrą zaczynała się rysować wiele mówiąca wypukłość.

- Będziemy robić to, co sobie zażyczysz - powiedziała, nie wiedząc czemu rozczarowana.

Przymknął oczy i westchnął, jakby doznał ulgi.

- W takim razie poddamy się nastrojowi i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Cieszę się, że tu ze mną jesteś. Masz kojący głos. Dowiedziałem się, że mi czytałaś, kiedy leżałem nieprzytomny.

- Owszem - potwierdziła. - Tylko powieści. Nic poważnego. - Uśmiechnęła się. - Wygląda na to, że w tym względzie mamy jednakowe upodobania.

Czytanie choremu dawało jej okazję do zaznania odrobiny przyjemności pod pretekstem świadczenia pomocy.

- Nie pamiętam słów, ale chyba zapamiętałem dźwięk twojego głosu. Musisz się częściej odzywać, bo uwielbiam jego brzmienie. Jest jak muzyka.

- Dziękuję.

Zamknął oczy i odchylił się na poduszki.

- Słuchałaś mnie przez cały wieczór. Teraz twoja kolej. Opowiedz mi o sobie.

Zesztywniała ze strachu. Żywiła nadzieję, że tego nie wyczuł. Co powiedzieć bez przywoływania wspomnień, których nie chciała budzić?

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Skąd nabrałaś takiej biegłości w rękach? Matka cię nauczyła?

Odpnęła się nieco, bo ten temat był bezpieczny.

- Mama mi pokazała, jak dzierga się koronki, ale większości wzorów nauczyłam się sama. Była brzemienna z moją siostrą, kiedy zmarł ojciec. - Te słowa omal nie uwięzły jej w gardle. Szybko zaczęła mówić dalej: - Po porodzie była bardzo słaba. - Wspomnienia dotyczące matki niosły ból. - Wcześniej, przy ojcu, była młoda i szczęśliwa. Gdy go zabrakło, całymi dniami się nie odzywała, wyglądała przez okno naszego małego mieszkanca, z każdym rokiem jej uroda blakła, aż w końcu całkiem uszło z niej życie.

Will musiał ją rozumieć, bo mocniej ścisnął jej ramię w geście otuchy.

- Pozostała ci siostra.

- Ma na imię Margot. Jest w szkole.

Otworzył jedno oko i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- O tej porze roku?

- Lato i wolne dni też tam spędza - wyjaśniła Justine. - Nie mam pieniędzy, żeby jej pomóc, poza tym muszę pilnować swojej pracy. Lepiej, że zostaje w szkole.

Spojrzał na nią obojętnie.

- Obecnie masz gdzie ją zaprosić - przypomniał jej głosem, w którym pobrzmiwało rozczarowanie. - Jesteś panią wielkiego domu, w którym z pewnością starczy miejsca dla młodej kobiety, niezależnie od tego, jak ekstrawaganckie ma wymagania. Powiedz mi, w jakim wieku jest Margot.

- Ma dziewiętnaście lat.

- I nadal uczęszcza do szkoły? - zdziwił się. - Nie powinna już skończyć?

- Nie było pieniędzy, by zadebiutowała w tym sezonie.

- Teraz już są. - William opadł plecami na poduszki, jakby chciał podkreślić, że uważa sprawę za przesadzoną. - Będzie mieszkać z nami, dopóki nie zorganizujemy jej debiutu. Pozwólmy Penny się tym zająć. Czasami sprawia wrażenie nieporadnej, ale całkiem dobra z niej organizatorka. No i ostatecznie jest księżną.

- No cóż... - Justine przebiegła w myślach listę powodów, dla których takie rozwiązanie nie było możliwe, szukając choć jednego, który zabrzmiał sensownie.

Will nie spuszczał z niej wzroku.

- Chyba chcesz się z nią zobaczyć? Nie stałyście się sobie obce?

- Chcę ją zobaczyć bardziej niż cokolwiek innego. - Ból serca, z jakim zawsze myślała o siostrze, odrobinę zelżał.

- Zatem powinnaś do niej napisać jutro zaraz z rana, żeby przyjechała, póki jest jeszcze dobra pogoda.

- Dziękuję. - Wiedziała, że rano musi go odwieść od tego pomysłu.

Nagle uzmysłowiła sobie, że to wcale nie będzie konieczne. Mogła wezwać Margot i przyjąć ją w Walii, zanim Montague się o tym dowie. A kiedy siostra stanie się częścią rodziny księcia, nie będzie mógł jej grozić ani usiłować jej zabrać, nie ujawniając przy tym, kim sam jest. Gdyby jednak podjął taką próbę, usłyszy od niej, że jest gotowa się poświęcić i wyjawic, co uczynił. Niewiele wiedziała o szachach, ale przypuszczała, że właśnie taką sytuację gracze nazywają patową.

Patrzyła na Williama Felkirka i powoli uśmiech rozjaśniał jej twarz. Przybrał trochę zaskoczona, jakby pytającą minę, jaką widywała u mężczyzn w swoim sklepie jubilerskim, kiedy się okazywało, że słowo lub gest miewają większe znaczenie niż klejnot, którym obdarowują kobietę. Jedną propozycją, która wydawała mu się całkowicie naturalna, mężczyzna leżący obok niej mógł zmienić porządek jej świata.

- Dziękuję ci. - W te słowa włożyła więcej uczucia, by wiedział, że jest mu szczerze wdzięczna. Następnie, chcąc uciąć dalszą rozmowę, pochyliła się i pocałowała go w usta.

Sama często bywała całowana. Nie dało się tego uniknąć. Ale czy wcześniej całowała mężczyznę? Z całą pewnością nie w taki sposób: otwartymi ustami, jakby nie mogła utrzymać swego szczęścia zamkniętego w środku. Wargi miał zaskakująco słodkie, mimo że odmówił jedzenia lodów przy kolacji. Podobał jej się ten smak, więc napawała się nim koniuszkiem języka.

Wyczuła, że jej nagła śmiałość zaskoczyła Williama. Najpierw znieruchomiał, a potem położył rękę na jej plecach, tuż nad talią, i przyciągnął ją bliżej do siebie. Kiedy już leżała na jego piersi, wyraźnie się rozluźnił, rozchylił usta i językiem odpowiedział na jej zachętę.

Takie pocałunki zawsze wydawały jej się zaprawione agresją, ale ten był inny. Dotyk Williama Felkirka był delikatny, jakby poznawał ją od środka, jakby się jej uczył. Skwapliwie odpowiedziała na pieśczętę, naśladując jego zachowanie. Kierowało nią nie tyle pożądanie, co ciekawość. Poza tym dzięki temu nie mógł zadawać dalszych pytań...

Czuła wypukłość warg, miękkich, skorych do uśmiechu, gładkość skóry na policzku, który gładziła. Przeniosła dłonie niżej, na jego pierś, już nie tak zapadłą i bladą jak wówczas, gdy leżał bez przytomności. Trochę słońca i pożywna dieta wystarczyły, by zaczął odzyskiwać dobrą kondycję. Serce biło mu szybko i mocno, miała wrażenie, że jeszcze przyśpieszyło pod jej dotykiem. Wzdłuż jego ramienia biegł nienaturalnie gładki pasek blizny po oparzeniu.

W istocie księcia można było uznać za przystojniejszego z braci, lecz Justine

uwagała jego wygląd za zbyt nieskazitelny. Ten mężczyzna, ze śladem po urazie na czaszce i bliznami w innych miejscach, wydawał jej się o wiele prawdziwszy, a poza tym znała jego ciało tak dobrze...

Westchnął i zaczął poruszać ustami w taki sposób, jakby jadł po kawałku jakiś miękki owoc. Czując jej gorliwy odzew, westchnął ponownie, z satysfakcją, jakby jej zadowolenie było mu potrzebne do szczęścia, tak jak niezbędne jest powietrze czy jedzenie.

Na moment zastygła w bezruchu. Nie miała pojęcia, czy jej się to podoba. Rozumiała, czym jest pożądanie. Wiedziała, jak to jest być wykorzystywaną. Pojmowała, że zależało mu na jej przychylności, kiedy był zbyt bezradny, żeby samemu zadbać o siebie. Obecne uczucie było inne. Chciała, by jej pomoc uczyniła go silniejszym, nie bardziej zależnym.

Zakładając, że w końcu zdołałaby uciec z tego miejsca, zostawiłaby go na pastwę tęsknoty i niespełnienia. Spodziewała się, że przez ten związek może także utracić część siebie. A gdyby z czasem zaczęło jej na nim zależeć? Nie mogła sobie pozwolić na tego rodzaju emocje, jeśli miała kiedykolwiek w życiu stać się wolna.

A może minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatni raz leżała w łóżku z mężczyzną, i dlatego zapomniała, jak powinna się zachowywać? Sztuka polegała na tym, żeby wyłączyć umysł, oddzielić go od ciała, które odgrywało w tym czasie swoją rolę. Spróbowała zastosować ten wybieg, lecz tym razem okazał się nieskuteczny. Ciepło skóry Willa było zbyt namacalne i nieoczekiwanie przyjemne, żeby go nie zauważać. Zamiast uciec myślami, zamiast się od niego mentalnie oddzielić, nagle zapragnęła mocniej się z nim połączyć. W przypiływie odwagi zsunęła dłoń niżej, po miękkich kędziarach na brzuchu, i pod kołdrą objęła jego męskość.

Will głośno wciągnął powietrze i głębiej wsunął język w jej usta.

Doznanie ją zaciekało na tyle, że pozwoliła sobie na dodatkową pieśczętę koniuszkiem palca.

- Nie sądzę... - wydyszał, odsuwając się gwałtownie.

Choć pieśczęta wywołała spodziewany efekt, pewna wciąż wyczuwalna wiotkość ciała przypomniła Justine, że William jeszcze nie doszedł w pełni do sił.

Uznała, że musi go puścić, a także przeprosić za zuchwałość. Byłaby zwolniona od zbliżeń na następną noc albo i więcej. Może nawet by się zgodził, żeby wróciła do swojego pokoju. Zamiast tego jeszcze raz pocałowała go w usta.

- Pozwól mi - wymruczała i zaczęła poruszać ręką obejmującą jego męskość.

Odchylił się na poduszki, zamknął oczy, a usta zacisnął tak mocno, że aż zbiełały mu wargi. Czyżby jej dotyk sprawiał mu ból? Doszła do wniosku, że jednak nie, bo

nie próbował jej powstrzymać. Oddychał głęboko, jakby za wszelką cenę chciał panować nad własnym ciałem, nozdrza mu falowały. Naprawdę tak na niego działała? Myśl, że może mu dać lub odebrać rozkosz własnym dotykiem, przyjemnie ją oszołomiła. Ścisnęła mocniej jego męskość, przesuwając dłoń jednostajnym ruchem. Poczwała, jak rośnie pod jej palcami.

Był dłuższy i grubszy, niż się spodziewała. Jedwabista skóra zrobiła się śliska od wilgoci. Justine zastanawiała się, jak by to było, gdyby w nią wszedł. Prawdopodobnie nie aż tak przyjemnie, jak sobie imaginowała. Wiedziała z doświadczenia, że prawdziwe życie rzadko dorównuje wyobraźni.

Jednak ta chwila sprawiała jej satysfakcję. W miarę jak poruszała ręką coraz szybciej, ciało Willa tężało, napinało się jak ściśnięta sprężyna. Wygiął głowę do tyłu, otworzył oczy i wpatrzony w sufit poruszał ustami, jakby się modlił. W tym momencie należał do niej tak jak jeszcze nigdy żaden mężczyzna. Zrobiło jej się żal, że nie może go przy sobie zatrzymać albo przynajmniej przez resztę życia udawać jego żonę.

Wykorzystała jego bezbronność, żeby go pocałować w odsłoniętą szyję; przesuwała zębami i językiem wzdłuż ścięgien, aż usłyszała, że wstrzymał oddech. Wtedy puściła go, zaledwie na sekundę, nieznacznie uniosła swoją koszulę i otarła go frywolitkową koronką, która tak mu się podobała.

Zadrżał od nowego doznania. Justine owinęła mu członek miękkim płótnem i ścisnęła mocniej. Całym ciałem Willa wstrząsnął dreszcz, z jego gardła wydarł się przeciągły jęk. A potem, tak jak się spodziewała, wyczerpany opadł na posłanie.

Leżała przy nim, z dłonią na jego piersi, i czekała, aż serce znów zacznie mu bić normalnie. Kiedy to nastąpiło, wytarła go delikatnie, po czym wstała, żeby ściągnąć przez głowę poplamioną koszulę i rzucić ją na podłogę obok czepka. Zastanawiała się, czy powinna wezwać pokojówkę, czy sama poszukać świeżej koszuli w komodzie. Zwykle nie lubiła spać nago. Świadomość, że jest obnażona, a przez to dodatkowo bezbronna, przeszkadzała jej w wypoczynku. Jednak tej nocy było inaczej. Wyciągając ramiona nad głowę, poczuła sprężystość własnych mięśni i skóry, wydawała się sobie silniejsza i bardziej pewna siebie. Przesunęła dłonią po swoich piersiach i brzuchu i zaskoczyło ją, że są takie ciepłe. Następnie zrobiła krok w stronę drzwi łączących pokoje.

- Zostań.

Zdziwiona, obejrzała się przez ramię. Jak mogła zapomnieć, że Will tam był, tuż za nią, obserwował jej bezwstydną zachowanie?

Nie musiała się niczego obawiać. Nie dostrzegła w jego oczach żadnego

zagrożenia. Wyrażały bardziej zdumienie i zachwyt niż żądę. Wyciągnął do niej ramię, jakby chciał ją powstrzymać przed odejściem.

- Wracaj do łóżka. Nie musimy nic więcej robić, ale śpij tu dzisiaj, u mego boku.

- Oczywiście. - Wśliznęła się pod kołdrę i pozwoliła, by ją przytulił. Niemal w tym samym momencie zasnęła.

Leżała obok niego z otwartymi oczami, zaskoczona tym, jak dobrze i spokojnie czuje się w łóżku Williama Felkirka. Bała się nocy, kiedy musiała sypiać z Montagem, bo wiedziała, że będzie ją budził i wymagał, by spełniała jego żądania.

Sądząc po cichym chrapaniu, leżący przy niej mężczyzna był pogrążony w głębokim śnie. Obejmował ją, udem dotykał jej nogi, ale ciało miał rozluźnione i ciężkie jak wówczas, gdy był w śpiączce.

Taki dotyk również stanowił dla niej nowość. Powinna się bać, leżąc biodro w biodro z w gruncie rzeczy obcym człowiekiem, a jednak to było raczej przyjemne niż niepokojące. Ziewnęła. Może tak by się czuła jako kurtyzana zmieniająca kochanków jak rękawiczki?

Albo jako żona, gdyby naprawdę nią była?

Ostatnia myśl znikła tak samo szybko, jak się pojawiła, ponieważ Justine odpłynęła w ciepły, spokojny sen.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Will obudził się następnego ranka, Justine nie było w łóżku. Może rozładowanie napięcia, do którego doprowadziła poprzedniego wieczoru, było właśnie tym, czego potrzebował, pomyślał. Po raz pierwszy od przebudzenia się ze śpiączki naprawdę się odprężył. Zasnął potem tak szybko i tak głęboko, że nawet nie wiedział, czy została z nim, o co ją poprosił.

Żywił nadzieję, że została. Tej nocy nawiedzały go gorące sny, fantazje o jakimś tureckim raj, gdzie leniwie spoczywał na poduszce, a ponętna kobieta spełniała wszystkie jego życzenia.

Uśmiechnął się szeroko. Sceny, które uznawał za senne marzenia, przypominały to, co zdarzyło się naprawdę. Wydawała się taka skromna, kiedy do niego przyszła w prostej nocnej koszuli i czepku, a potem niespodziewanie pocałowała go namiętnie i zaprowadziła na szczyt rozkoszy. Po wszystkim rozebrała się do naga przy jego łóżku i przeciągnęła jak zadowolona kotka.

Czy w tej sytuacji można się było dziwić, że śnił o raj,? Kiedy zamykał oczy, wciąż widział jej pełne piersi wysoko nad smukłą talią i krągłe biodra. Co on sobie wyobrażał, zapraszając ją do łóżka tylko po to, żeby porozmawiać? Zaspokoila go tak, że przestał się zastanawiać nad tym, kim ona jest i skąd się wzięła. Myślał tylko o tym, żeby nie przestawała, dopóki nie skończy.

Kiedy zszedł na śniadanie, zastał Justine przy stole. Nie powinien być zaskoczony. Uważał się za rannego ptaszka, ale ona najwidoczniej wstawiała jeszcze wcześniej. Tymczasem nadeszła poczta; Justine trzymała w ręku pojedynczy list, a resztę ułożyła obok jego nakrycia. Upewniła się przy tym, czy przygotowano mu talerz i filiżankę, tak jak lubił.

Tego dnia, zamiast przywitać ją jak zwykle uprzejmym skinieniem, podszedł do niej z boku i pocałował ją lekko w policzek. Odruchowo spojrział na papier, który trzymała przed sobą.

Zmarszczył czoło. Pomimo tego, co między nimi zaszło ostatniej nocy, Justine nadal sztywniała pod jego dotykiem i wzdrygała się nerwowo, jakby w obawie przed uderzeniem. Zmieniając pozycję ciała, zasłoniła treść listu, który zaraz potem schowała pod swoim talerzem. Dopiero wtedy odprężyła się, przybierając maniery biernej lalki, do której zdążył się wcześniej przyzwyczaić.

- Dzień dobry, Williamie - odezwała się układnym tonem.

- Dzień dobry, moja droga - odparł i zadał sobie w duchu pytanie, gdzie się podziela wczorajsza Justine.

Nie oczekiwał, że pojawi się przy stole odziana jedynie w zwiewny szal, niczym niewolnica z haremu. Spodziewał się jednak, że patrząc na nią, dostrzeże ślad zmiany, jaka nastąpiła między nimi.

Opuściła wzrok na zapisany arkusz, wystający spod talerza.

- Jeśli chcesz wiedzieć, co to za list, to otrzymałam wiadomość od przyjaciela rodziców z gratulacjami z powodu zawarcia związku małżeńskiego. Odpiszę po śniadaniu.

- Oczywiście.

Nie dostrzegał niczego niezwykłego w tym, że miała przyjaciół i z nimi korespondowała. Jednak nie wspominała o nich wcześniej, więc pochlebiał sobie, że jest całym jej światem. Nie wypadało okazywać zazdrości o osoby, które do niej pisały, i o czas, jaki im poświęcała.

- Napiszesz też do swojej siostry, tak jak ustaliliśmy?

Twarz, dotąd zadumana, natychmiast się rozpromieniła. Jednak szeroki uśmiech szybko zbladł, pozostał na jej ustach jedynie w postaci lekko uniesionych kącików warg, jak zwykle.

- Jeśli nadal sobie tego życzysz, to chętnie napiszę.

Wyglądało to, jakby słońce na moment wyszło zza chmur tylko po to, by znów się za nimi schować. Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo w nadziei, że przypomni jej o przeżyciach wspólnej nocy.

- Oczywiście, że sobie życzę. Jeśli jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić, byś uśmiechnęła się tak jak przed chwilą, to powiedz mi o tym natychmiast. W taki piękny ranek nie mógłbym ci niczego odmówić.

Spojrzała w okno, jakby się spodziewała ujrzeć zmianę w pogodzie.

- Wydawał mi się raczej chłodny, kiedy spacerowałam.

Nic nie wskazywało, by rozumiała, że powodem jego radosnego nastroju są wydarzenia ostatniej nocy. Podsunęła mu napełnioną filiżankę.

- Kawy?

Zajął to samo miejsce przy stole co zwykle i przyjął od niej filiżankę.

- Dziękuję.

Może dla niej nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, może po prostu zwykle tak było przed wypadkiem. Jeśli zachodziła ta druga ewentualność, to niech go licha, że tyle zapomniał. Nachylił się ku Justine i przyłapawszy jej spojrzenie, dodał z uśmiechem:

- Za ostatnią noc też ci dziękuję.

Zarumieniła się mocno, choć uroczo.

- Bardzo proszę. - Spuściła wzrok na stół. - Tosta?

Podsunęła mu tacę bliżej talerza, jakby zaspokojenie jednego apetytu mogło go skłonić do zapomnienia o drugim. Nie przyjął poczęstunku, nastawiony na kontynuowanie poprzedniego tematu.

- Podobało mi się to, co zrobiłaś. Bardzo. - Czuł, że jego słowa brzmią nienaturalnie uprzejmie, ale pasowały do jej powściągliwego tonu.

- Cieszę się. - Przesunęła miseczkę z marmoladą w ślad za tacą z grzankami.

Nawet nie spojrział na żaden z oferowanych produktów.

- Tobie też się podobało? - nie ustępował.

W odpowiedzi popatrzyła na niego z dziwną miną, jakby nie przyszło jej do głowy, że ona może mieć na ten temat jakąś opinię.

- Cieszę się, kiedy jesteś zadowolony. - Powrócił grzeczny uśmiech.

- Nie o to pytałem. Chcę wiedzieć, czy dotykanie mnie sprawiło ci przyjemność.

Justine rozejrzała się wkoło, jakby chciała mu przypomnieć, że są w pokoju jadalnym przy śniadaniu, nie w sypialni. Następnie wbiła wzrok w talerz, jakby próbowała zdecydować, czy może udać, że nie usłyszała. Podniosła z obrusa nóż i widelec i zaczęła kroić kielbaskę na jeszcze mniejsze kawałeczki. Widząc, co robiła z sugestywnie ukształtowanym kawałkiem mięsa, z powrotem odłożyła sztućce.

- Czy mi się podobało? Oczywiście. Dlaczego miałyby się nie podobać? W końcu jesteś moim mężem i moim celem jest...

- ...mnie uszczęśliwiać - dokończył za nią Will. - To nas prowadzi z powrotem do początku rozmowy. - Odsunął na bok tacę i delikatnie ujął rękę Justine. Ze zdziwieniem zauważył, że ma zimne palce. - Nie mam nic przeciwko byciu uszczęśliwianym. Jednak zakładam, że żeniąc się, chciałem, abyś ty także była szczęśliwa. Z pewnością coś takiego ci powiedziałem. - Miał nadzieję, że rzeczywiście tak było. Tego ranka Justine zachowywała się tak, jakby budził w niej lęk.

Zamrugnęła powiekami, jak gdyby szczegóły wydarzeń z przeszłości były dla niej tak samo niewiadome jak dla niego. Następnie spojrzęła na ich złączone dłonie z wyrazem twarzy tak niewinnym i pięknym, że miał ochotę uwiecznić go na płótnie.

- Oczywiście, drogi mężu. Po prostu chcę w pełni okazać moją wdzięczność za to wszystko, co ty i twoja rodzina dla mnie zrobiliście. Twoja wczorajsza propozycja... To, że pozwoliłeś mi posłać po Margot... - Popatrzyła mu w oczy błagalnie, jakby się

bała, że w zimnym świetle dnia jego wielkoduszność zniknie.

- Jesteś mi wdzięczna? - To dlatego była taka namiętna? Zirytowała go myśl, że jej zachowanie stanowiło rodzaj rewanżu za najzwyczajszą gościnność. - Nie masz potrzeby być wdzięczną za taką drobnostkę. Gdzie miałyby mieszkać twoja siostra, jeśli nie u nas? Jeśli tęsknisz za jej obecnością, to wkrótce będziesz ją miała przy sobie.

- Tęsknię. Bardzo.

Przez moment bał się, że Justine wybuchnie płaczem. Albo, co gorsza, zachowa się tak jak wczoraj. Wprawdzie sam pomysł mógł się wydawać podniecający, jednak myśl, że będzie mu sięgać do spodni za każdym razem, gdy zechce jej wyświadczyć przysługę, trochę go zaniepokoiła.

- W takim razie ja też pragnę jej przyjazdu - rzekł ostrożnie. - Ponieważ chcę cię widzieć szczęśliwą, tak samo jak ty chcesz mnie uszczęśliwić.

Pokiwała głową, jakby wszystko stało się jasne.

- Pragnę jednak, żeby poczucie szczęścia z ostatniej nocy i wszystkich przyszłych nie wiązało się z przyjazdem twojej siostry. Rozumiesz, to są zupełnie różne rzeczy.

- Oczywiście. - Znów pokiwała głową.

Coś w jej głosie podpowiadało Willowi, że żona nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Czyż mógł być do tej pory aż tak samolubną bestią, by nie nauczyć jej, że sypialnia jest miejscem wzajemnego dawania i doznawania rozkoszy przez oboje małżonków? To było do niego zupełnie niepodobne, niemniej dziwne zachowanie Justine dawało do myślenia...

W każdym razie nie takim chciał być mężem i kochankiem. Z drugiej strony, jak miał osiąść wiedzę na temat stosunków małżeńskich? Do tej pory miewał do czynienia wyłącznie z kobietami, które dobrze wiedziały, czego oczekują w łóżku, nawet jeśli tylko udawały rozkosz w zamian za biżuterię i opłacony czynsz.

Czyżby dobrze wychowane dziewczęce postępowały w ten sam sposób? Uczono je, by ulegały mężom i wymieniały przysługę za przysługę niczym kurtyzany? Nikt im nie mówił o przyjemności, jaką można czerpać z miłosnego aktu? Może do niego należało udzielenie Justine tej szczególnej lekcji. Nabrał chęci roześmiać się w głos z radości. Nie zrobił tego jednak, tylko uśmiechnął się najczulej, jak potrafił, i jeszcze raz cmoknął żonę w policzek.

- Dzisiejszej nocy pokażę ci, co miałem na myśli.

- Aha.

Tylko jedno słowo, ale wypowiedziała je takim tonem, jakby chciała go zapewnić, że wcale nie jest jej to potrzebne. Gdyby nie widział jej poprzedniej nocy, kiedy

całkowicie nad nim panowała, pomyślałaby, że się przestraszyła.

- Na razie dokończmy śniadanie - zaproponował. - Potem zostawię cię, żebyś mogła pójść do gabinetu i napisać listy do przyjaciela i do siostry.

Spokojny uśmiech ulgi z powrotem zagościł na twarzy Justine, jakby jej nigdy nie opuszczał.

Lord Felkirk czegoś od niej oczekiwał.

Justine nie była pewna, o co mu chodzi. Wyczuła, że miał na myśli sposób okazywania zadowolenia. Nie rozumiał, jak trudno stwarzać pozory dobrego humoru i swobody, kiedy dostało się list pełen napomnień i wskazówek, co powinna zrobić, żeby wydobyć z Felkirka rodzinne sekrety. Poza tym Montague pochwalał przenosiny do osobistej posiadłości Williama, ponieważ najprawdopodobniej właśnie tam znajdowało się to, czego szukali.

Nadmienił, że będzie oczekiwał szczegółowego sprawozdania ze wszystkich jej poczynań, kiedy następny raz spotkają się w lesie. Obawiała się, że chodzi mu nie tylko o opis pomieszczeń, które przeszukała, i tego, co w nich znalazła. Zakładała, że będzie wypytywał również o to, co działo się w małżeńskiej sypialni.

Will także chciał o tym rozmawiać. Dziwiło ją, dlaczego mężczyźni nie potrafią przestać rozpamiętywać tego, co przeżyli w łóżku, uprawiając miłość. Ona zamierzała tak postąpić. Owszem, jego pocałunki sprawiały jej przyjemność. Szczególnie jej się podobały cmoknięcia w jadalni, jakby w ciągu dnia w naturalny sposób chciał jej przypomnieć o swych uczuciach.

Wolałaby jednak, żeby porzucił ten zwyczaj. Drobne pocałunki kazały jej myśleć o tych innych, bardziej namiętnych, i o dotyku jego skóry, równie przyjemnym jak pocałunki. Mogła się spodziewać, że w końcu i tak on będzie decydował o wszystkim według własnego uznania. Doprawdy zbędne było męczenie opowiadaniem o jej własnym zadowoleniu. Nawet te trudniejsze momenty w życiu mijały łatwiej, kiedy przechodziło się nad nimi do porządku zamiast tracić czas na rozmyślanie o swoich odczuciach.

Tego ranka William zostawił ją samą, tak jak obiecywał, żeby mogła napisać listy. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, zaczęła od dokładnych oględzin gabinetu. Tak jak się spodziewała, nie znalazła kamieni w szufladzie biurka ani mapy skarbu, zrolowanej na półce. Wczorajsza wycieczka po domu upewniła ją, że biblioteka jest jedynym pomieszczeniem wartym gruntownego przeszukania. Mieściła książki i rozmaite papiery pozostawione tam, gdy poprzedni książę przeprowadzał się do nowej siedziby.

Jeśli miała niczego nie znaleźć, to trudno. Zapewniła Montague'a w liście, że zastosuje się do jego poleceń, ale nie zamierzała wyciągać prawdy od lorda Felkirka. Po co ruszać jego szczęśliwie zapomnianą przeszłość, skoro istniała słaba nadzieja, że coś by na tym zyskała?

Zdaniem Justine, znacznie korzystniejsze było zapewnienie Margot bezpieczeństwa dzięki propozycji Willa. Nie potrzebowała skradzionych diamentów dla trwałego zabezpieczenia losu. Lord Felkirk był bardzo wielkodusznym człowiekiem. Jeśli przy śniadaniu mówił poważnie, to musiała się jedynie uśmiechnąć i poprosić, aby rozwiązał sakiewkę i dał jej wszystko, czego potrzebowała. Przynajmniej przez jakiś czas, ma się rozumieć. Musiałaby stawić czoło konsekwencjom, gdyby sobie przypomniał, co wydarzyło się w Bath. Przy odrobinie szczęścia prawda, jeśli w ogóle, mogłaby wyjść na jaw, gdy Margot zostanie mężatką.

Pierwszym krokiem do osiągnięcia tego pożądanego stanu rzeczy było zaproszenie siostry do domu Williama Felkirka. Justine gryzła koniec pióra, zastanawiając się nad tym, co napisać. Zdarzyło się tak wiele, a tak mało mogła wyjaśnić. A gdyby ktoś w szkole zobaczył list albo zaczął wypytywać o powody nagłego wyjazdu siostry? Gdyby Montague wykorzystał szpiegów, żeby zapobiec ucieczce Margot spod jego władzy? Nie powinna się zadreć tego rodzaju wątpliwościami, uznała w duchu. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Montague o niczym się nie dowie, dopóki Margot nie znajdzie się w drodze do siedziby Felkirka.

Ostatecznie poprzestała na krótkiej wiadomości, że wyszła za mąż i pragnie towarzystwa siostry. Margot została ostrzeżona, że ma nikomu nie wspominać o ślubie, ponieważ nie wszyscy w rodzinie Williama zostali o nim powiadomieni. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było komunikować się z Montagiem, jako że małżeństwo zostało zawarte pośpiesznym trybem po ucieczce narzeczonych i Justine dopiero planuje mu o nim powiedzieć. Gdyby ktoś pytał, należało mówić, że po prostu została wezwana do domu. Potem miała wsiąść w pierwszy dyliżans jadący na północ. Wszelkie wyjaśnienia mogły nastąpić dopiero po dotarciu Margot na miejsce.

Justine zawinęła w list odpowiednią ilość banknotów dla zapewnienia siostrze wygodnej podróży, zapieczętowała kopertę i wezwała lokaja, żeby dołączył do wychodzącej poczty list wraz z wiadomością dla Montague'a. Pozostało jej modlić się, by Margot przybyła na miejsce przed następnym spotkaniem z Montagiem.

Will cieszył się w duchu, że Justine ma własne plany na spędzenie ranka. Okazywała tyle troski o jego powrót do zdrowia, że bez wątpienia nie pochwaliby tego, co planował zrobić. Jeśli chciał odzyskać dawne życie, nie miał wyboru, musiał podjąć pewne ryzyko. Nie pozwoli się trzymać pod kloszem tylko po to, aby żonie sprawić przyjemność.

Żonie... Fakt, że jest żonaty, podobał mu się znacznie bardziej niż poprzedniego dnia. Oczywiście, nadal istniały problemy. Większość z nich dałaby się rozwiązać, gdyby zdołał wywabić Justine ze skorupy, którą się otoczyła.

Własnym problemom zamierzał stawiać czoło na bieżąco. Tego dnia planował się uporać z pierwszym. Wszedł z domu, wybierając grubszą laskę, niż zwykle używał, na wypadek gdyby poczuł się niepewnie. Chociaż nadal szybko ulegał zmęczeniu i po drodze musiał przystanąć dla odpoczynku, nie zdarzyło mu się potknąć ani stracić równowagi. Nie czuł się jeszcze silny jak byk, ale prawie mógł zapomnieć, że całkiem niedawno był inwalidą.

Z każdym krokiem zapach siana i koni stawał się coraz wyraźniejszy. Justine by się z niego śmiała, gdyby jej powiedział, że odór końskiego nawozu stanowi dla niego coś w rodzaju lekarstwa. Przypominał mu szczęśliwe godziny spędzane w siodle, na grzbiecie zwierzęcia stanowiącego symbol siły i swobody. Zatrzymał się przy drzwiach stajni i odmówił w duchu krótką modlitwę, na wypadek gdyby gdzieś w powietrzu miał się unosić duch wiernego Jupitera. Jeśli istniało niebo i Will miał kiedyś do niego trafić, to musiał się tam znaleźć boks dla ukochanego wierzchowca.

Przystanął jeszcze raz i zajrzał w głąb stajni, próbując przyzwyczać wzrok do słabego światła. Otrząsnął się ze smutku i zapytał sam siebie, czy czuje lęk. Od początku powtarzał sobie, że bezsensowna brawura omal go nie zabiła. Ktoś głupszy mógłby obwiniać konia, że go zawiódł. Mądrzejszemu starczyłoby rozsądku, żeby nie wykonywać ryzykownego skoku. Czy w ogóle mógł polegać na własnym osądzie?

- Dzień dobry, milordzie - powitał go masztalerz.

- Dzień dobry, Jenks.

Masztalerz należał do książęcej służby, ale pracował dla rodziny od czasu, gdy Will i Adam byli mali. To on nauczył Willa jazdy konnej. Któż mógłby lepiej pojąć kłopoty, jakie mogły wyniknąć tego dnia?

- Pewnie słyszałeś o moim wypadku?

- Owszem, milordzie. Wszyscy bardzo się o pana martwiliśmy.

- Niewiele pamiętam z tego, co się stało - skłamał Will. Przyznanie się, że nie

pamięta zupełnie nic, byłoby zbyt bolesne. – Wygląda na to, że straciłem swojego wiernego druha.

– Szkoda, milordzie. – W głosie Jenksa nie było przygany, choć przecież się Willowi należała. – Planuje pan wyprawę na aukcję Tattersalla?

Will westchnął.

– Nie wiem, czy jestem gotowy na następnego, ale muszę kupić konia pod wierzch, raczej wcześniej niż później. Gdybym miał jakiś problem z oceną... – Urwał.

Na przykład gdyby stchórzył przed zajęciem miejsca w siodle. Słyszał o pewnym człowieku, którym tak wstrząsnął całkiem niegroźny upadek, że sprzedał wierzchowca i obecnie starczało mu odwagi jedynie na jazdę bryczką ze stangretem w pełnej liberii.

Jenks znów pokiwał głową.

– Wszyscy to mówią, milordzie, że kiedy się spadnie, należy od razu ponownie dosiąść konia.

– Tak, to prawie banał – odparł Will – ale prawdziwy. Które zwierzę byś mi dał? Chodzi mi o spokojną przejażdżkę w granicach posiadłości. – Specjalnie zaakcentował określenie „spokojną”, choć trochę go przygnębiło.

– Skoro chce pan spokojnej przejażdżki, mam tu klacz gotową do osiodłania.

Jenks poklepał po szyi stojące obok siwo umaszczone zwierzę, które w odpowiedzi na jego gest powoli odwróciło głowę i na nich popatrzyło.

Will spodziewał się określonych wrażeń, gdy nadejdzie moment, by znów zasiąść w siodle. Miał nadzieję, że nie ogarnie go przerażenie, ale zakładał, że serce może mu zadrzeć ze strachu. Jednak widok wierzchowca zaproponowanego przez Jenksa wzbudził jedynie lekceważenie.

– Równie dobrze mógłbyś mi osiodłać teriera Penny. Miałby więcej energii niż to zwierzę.

W oczach Jenksa rozbłysły iskierki wesołości, jakby propozycja była po prostu żartem. Przeszedł wzdłuż rzędu boksów i zatrzymał się przed kasztanowym wałachem.

– Może Aries lepiej się nada. Mocne nogi, dobrze rozwinięty kłęb. Nie jest narowisty ani płochliwy. To świetny koń, milordzie.

– W istocie – potwierdził Will. Mógł sobie z nim poradzić bez trudu. Jednak myśl o jeździe nie podniecała go tak jak kiedyś. Spojrzał w stronę rzędu największych boksów, na honorowe miejsce pośrodku stajni. – Sądzisz, że mój brat miałby coś przeciwko temu, żebym pożyczył Zeusa?

Jenks nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Nie miałby, bo zwierzę potrzebuje ruchu. Uważa pan, milordzie, że to rozsądne?

Zeus był czarny jak szatan i słynął z paskudnego charakteru, ale pochodził od tego samego ojca co Jupiter i w pewien sposób stanowił dla Willa namiastkę starego przyjaciela.

- Prawdopodobnie nie jest to najlepsza decyzja - odparł Will - ale chciałbym spróbować. Konieczność panowania nad nim każe mi zachować czujność.

- Oczywiście, milordzie. - Jenks spojrział na niego z powątpiewaniem, ale wziął się za siodłanie.

Zeus, jak było do przewidzenia, wypluwał wędzidło, nadymał brzuch, utrudniając założenie siodła, i ogólnie miotał się po boksie, niwecząc wysiłki masztalerza.

Ten widok powinien wzbudzić niepokój Willa. Skoro omal nie rozbił sobie głowy na skutek upadku, to czy zwierzę z takim temperamentem nie powinno go przestraszyć? Tymczasem patrząc na Zeusa, nabierał coraz większej ochoty na przejażdżkę. Od tak dawna nie siedział w siodle... Kiedy Jenks wreszcie okiełznał ogiera i wyprowadził go ze stajni, Will zapragnął jak najszybciej znaleźć się na końskim grzbiecie.

Okazało się to nie aż tak łatwe, jak mu się wydawało. Nogi miał wciąż słabe i musiał skorzystać ze specjalnego podestu, żeby móc włożyć stopę w strzemię. Jednak kiedy już zajął pozycję jeździecką, odzyskał pewność siebie i stępa oddalił się od stajni.

Dobrze było znów poczuć wiatr na twarzy i zobaczyć rodzinne tereny z wysokości siodła. Obejrzał się na dom. Miał nadzieję, że Justine nie wygląda przez okno, ponieważ nie chciał jej straszyć. Zmusił konia do klusa... i nadal nie czuł lęku, którego się spodziewał. Poza tym, że siedział na nowym dla siebie koniu, przejażdżka niczym nie odbiegała od tych dawnych, sprzed wypadku.

Spróbował szybszego tempa, przez krótki czas nawet galopował, z podobnym rezultatem. Odniósł wrażenie, że Zeus bardziej niż on przeżywa tę wyprawę - rozpoznał, że nie jest prowadzony przez swojego pana, i nie mógł się zdecydować, czy powinien w tej sytuacji się podporządkować komendom. Will mocno trzymał wodze, ścisnął też końskie boki silniej łydkami, choć prawdę mówiąc, przy jego kondycji niewiele to zmieniło.

Postanowił przeprowadzić jeszcze jeden sprawdzian, a potem wrócić do stajni. Skierował konia w stronę niskiego płotu na końcu pastwiska. Nie wydało mu się to ani trochę ryzykowne. Skakał przez tę przeszkodę jeszcze jako chłopiec, a i jego

wierzchowcowi była dobrze znana. Kiedy się zbliżali, czuł jedynie przyjemne oczekiwanie na moment przelotu nad płotem, które udzielało się także zwierzęciu. I rzeczywiście lot przebiegł swobodnie i zgodnie z oczekiwaniami.

Zeus zbuntował się dopiero w momencie lądowania: twardo zarył kopytami w ziemię i opuścił łeb, zrzucając Willa przed siebie. Po krótkim momencie triumfu Will miał wrażenie, że całe powietrze uszło mu z płuc, a zaraz potem usłyszał groźne kłapanięcie końskich zębów tuż przy uchu.

- Ty cholerny draniu - wysyczał, przetaczając się na bok.

- Milordzie! - Jenks pędził ku niemu, żeby chwycić wodze i pomóc chlebodawcy pozbierać się na nogi.

Will uspokoił go, gestem uniesionej ręki dając znać, że wszystko jest w porządku. Zdobył się nawet na parsknięcie śmiechem.

- Nie ma się czym przejmować, Jenks. Nie rozbiłem sobie głowy, nie ucierpiało nic poza moją godnością.

W istocie nawet ona miała się całkiem nieźle. Upadek dobrze mu zrobił, podobnie jak sama przejażdżka. Nie bał się ani skoku, ani tego, że spadnie. Ubranie miał poplamione błotem, pachniał trawą i suchymi liśćmi. Nie nabrał lęku przed dosiadaniami konia, czego się tak obawiał. Owszem, popełnił błąd, wybierając narowistego ogiera Adama. Okazało się jednak, że nie ma w sobie nic na tyle kruchego, co by mogło mu uniemożliwić takie przejażdżki w przyszłości.

Podziękował Jenksowi za pomoc i obiecał, że podczas następnej, rychłej wizyty w stajni wybierze wierzchowca, nad którym łatwiej mu będzie panować. Poza tym dzień okazał się całkiem udany, a mimo to nie zadowolili go w pełni. Czy nigdy nie odzyska wspomnień z czasów przed wypadkiem?

Smuciło go, że nie pamięta swojej żony. Jak blisko śmierci musiał się znaleźć, żeby wymazać z myśli nawet strach? W głębi duszy liczył na to, że ten niewinny upadek pomoże mu się przebić do utraconej przeszłości. Że dozna przebłysku, w którym ujrzy siebie w podobnej sytuacji, na innym koniu. Może Jupiter wystraszył się zająca albo zawadził kopytem o jakieś wgłębienie w ziemi? Wyrzucił jeźdźca z siodła, wiedząc, że lądowanie będzie fatalne, zakończy się bólem i ciemnością.

Żaden przebłysk pamięci nie nastąpił. Umysł Willa pozostał gładki i biały niczym kawał lodu, z całą jego przeszłością zamarznąłą w środku. Postanowił znaleźć Justine i prosić ją o więcej informacji na temat dnia wypadku. Może widziała coś, co by tłumaczyło przyczynę tego, co się stało, coś innego niż jego własna nieostrożność? Może był pijany albo z innego powodu zupełnie nieświadomy tego, co się może zdarzyć?

Po powrocie do domu nie mógł jej nigdzie znaleźć. W gabinecie panował idealny porządek, jakby w ogóle tam nie wchodziła. Jej sypialnia także była pusta. Tylko w bibliotece dostrzegł ślady jej obecności. W najciemniejszym kącie stał stolik z oprawionymi w skórę zurnalami, które jego matka gromadziła, kiedy jeszcze mieszkała w tym domu. Obok nich leżała rodzinna Biblia, otwarta na stronie, gdzie zapisano datę jego narodzin oraz ważne wydarzenia z jego dzieciństwa. Czyżby aż tak bardzo chciała go zadowolić, że postanowiła zbadać jego przeszłość? Co jeszcze mogła znaleźć poza wrywkowymi zapiskami matki na jego temat i może kilkoma przepisami na jego ulubione dania?

Uśmiechnął się pod nosem. Gdyby mu powiedziano o takim zachowaniu, uznałby je za dziwne. Jednak u jego żony tak wiele rzeczy go dziwiło, że wcale nie był zaskoczony. Jeśli już posiadała jakąś wadę, to było nią obsesyjne pragnienie, żeby go uszczęśliwić. Najbliższej nocy miała się przekonać, że aby osiągnąć swój cel, musi zaznać tyle samo przyjemności, ile mu daje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Justine wyciągnęła rząd szpilek i rozplotła kilka ostatnich nitek, żeby naprawić błędy, które popełniła na skutek rozkojarzenia. Przyszło jej do głowy, że może powinna poprosić Willa, by przeczytał jej tego wieczoru Waltera Scotta, zwłaszcza fragment o splątanej pajęczynie oszustw. Nieuczciwa kobieta z tego poematu skończyła zamurowana żywcem w pewnym opactwie.

– Jesteś pewna, że nie możesz sobie przypomnieć nic więcej, co mogłoby rozjaśnić okoliczności wypadku?

Ponieważ zmyślała wyjaśnienia na bieżąco, wątpiła, by mogła mu przedstawić szczegóły, które miał nadzieję usłyszeć.

– Znajdowałam się nie dość blisko, żeby widzieć. Poza tym wszystko wydarzyło się tak szybko...

W trakcie kolacji wypytywał ją o przeszłość. Po prawie dwóch godzinach wiedział niewiele więcej niż na początku, za to ona znajdowała się na granicy wyczerpania nerwowego.

Will zamilkł na dłuższą chwilę, więc skorzystała z okazji, by odwrócić rolę.

– Moim zdaniem, to dobrze, że nie pamiętasz wypadku. Przypuśćmy, że nagle by ci się przypomniał i przyprawił o lęk. Ponowne dosiadanie konia było bardzo niebezpieczne. A gdyby tak coś się stało i znowu byś spadł?

Teraz to on wiercił się niespokojnie jak mały chłopiec przyłapany na zakazanym uczynku.

Podniosła wzrok znad robótki, zbyt zaskoczona, by pamiętać o roli, jaką odgrywała.

– Spadłeś znowu, tak?

– To nie było nic poważnego – zapewnił pośpiesznie. – Od razu się pozbierałem na nogi. Tym bardziej nie rozumiem, jak mogło dojść do tak poważnego wypadku.

– Nie wiem, po co zadawałam sobie trud, by cię pielęgnować, skoro postępujesz tak nierozsądnie, choć jeszcze nawet w pełni nie wyzdrowiałeś.

Czyżby naprawdę przeraziła mnie myśl o Willu ponownie złożonym niemocą? Tragiczny wypadek zawsze smucił, zwłaszcza gdy ulegał mu człowiek młody i pełen życia. Od kiedy to aż tak mocno zaczęła się tym przejmować?

Skruszony Will przypadł do jej boku.

– Jeśli to cię niepokoi, to więcej nie będę ryzykował – obiecał tonem przeprosin. – Koń Adama to dzika bestia. Więcej go nie dosiądę. – Uklęknął przed Justine i czekał,

żeby na niego spojrziała. – Wybaczyłaś mi?

– Oczywiście. – Próbowała przywołać na twarz swój zwykły spokojny uśmiech, ale tym razem jej się nie udało.

– To bardzo dobrze.

Przyjrzał się poduszce z rozpiętą na wierzchu koronką. Zdążyła naprawić pomyłkę i dziergała dalej; Will patrzył zafascynowany, jak przekłada kościane szpulki. Na poduszce wolno, lecz systematycznie przybywało gotowej koronki.

– Co robisz? – spytał, nie mogąc powściągnąć ciekawości.

– Jeszcze nie wiem, do czego wykorzystam tę koronkę. Posłuży do obrębienia czegoś. To stary wzór i znam go tak dobrze, że nie muszę się zastanawiać podczas pracy. Mimo to wychodzi bardzo ładnie.

– Skoro nie wiesz, do czego ta koronka zostanie użyta, to po co ją przygotowujesz?

– Aby zająć czymś ręce. Jak mówi przysłowie, kto lenistwem grzeszy, ten szatana cieszy.

– Zastanawiałaś się nad tym, co ci powiedziałem ostatniej nocy?

Zmarszczyła czoło, niepewna, o co mu chodzi.

– Chciałbym, żebyś zrobiła coś dla siebie, na przykład lamówkę do dekoltu tej sukni – przypomniał, wpatrując się w piersi Justine.

Odruchowo zakryła je rozpostartą dłonią.

– Jeśli suknia jest wycięta zbyt głęboko, przebiorę się, o ile tego sobie życzysz.

Chwyił jej rękę i odciągnął od dekoltu.

– Suknia jest w porządku, tylko zbyt skromna. Co nie znaczy, że musisz się ozdabiać, by pięknie wyglądać – dodał szybko. – Zdumiewa mnie, że nie traktujesz siebie tak samo dobrze jak innych.

Pokiwała głową, zadowolona, że niczym go nie uraziła.

– Jeśli koronka miałaby mnie posłużyć, to nie włożyłabym w nią tyle pracy.

Will zamyślił się na chwilę, po czym powiedział:

– W takim razie zrób coś dla mnie.

Zaczęła chichotać, lecz zaraz przyszło opamiętanie i umilkła, żeby nie wydać mu się niemiłą.

– Teraz sobie ze mnie żartujesz. Mężczyźni nie noszą takich koronek.

Sięgnął do koszyka na robótki, wyjął pasek gotowej koronki o szczególnie kobiecym wzorze i owinął nią sobie nadgarstek.

– Może powinienem zapoczątkować taką modę. Nie możesz sobie mnie wyobrazić w żabocie obszytym koronką w ptaszki i motylki?

- Nie - odparła, nie podnosząc wzroku.

- Zatem wydziergaj coś dla siebie jako prezent dla mnie. Chcę cię widzieć w koronkach, tak jak powiedziałem ostatniej nocy. - Zarzucił Justine na odsłonięte ramiona zdjęty z przegubu pasek, podziwiając ciało prześwitujące przez dziurki w splocie.

Nie wiedzieć czemu delikatne muśnięcie ażurowej tkaniny zaparło jej dech w piersi. Nagle odniosła wrażenie, że w pokoju jest za ciepło. Poruszyła ramionami, żeby strząsnąć z siebie koronkę.

- Nie sądzę, żeby była dla mnie odpowiednia.

- Nie jest aż tak piękna jak ty, to fakt, ale mimo to śliczna.

Tym razem to od jego słów zabrakło jej tchu. Prawił jej komplementy już wcześniej, więc dlaczego teraz zaczęły mieć znaczenie?

Przesunął koronkowym paskiem po całej długości jej ręki.

- Kiedy braliśmy ślub, nie przyrzekałaś mi posłuszeństwa?

- Owszem. - Nawet gdyby chodziło o niego, to czy miałyby odwagę złożyć tego rodzaju obietnicę, wiedząc, czego może wymagać?

Uśmiechnął się triumfalnie.

- W takim razie chciałbym widzieć, jak nosisz koronki. Naturalnie nie cały czas, ale na tyle często, by dowieść, że wiesz, ile jesteś warta. Jeśli nie chcesz sama jej dla siebie wydziergać, to ci ją kupię. Całe mnóstwo metrów.

- To dopiero byłoby marnotrawstwo. - Wyobrazila sobie koszt takiego niemądrego zbytku w porównaniu do tego, co mogła zrobić, płacąc jedynie za nici, gdyby zechciała poświęcić na to czas.

- Nie dla mnie, gdyby miało oznaczać, że będę mógł cię ujrzeć odzianą od stóp do głów wyłącznie w koronkę.

Ten pomysł uznała za grzesznie wyuzdany, godny kurtyzany. Paradowanie po sklepie w biżuterii, niczym żywy manekin, było mniej przyjemne, niż ktoś mógłby sądzić. Jeszcze gorzej czuła się wieczorami, ubrana tak, by budzić pożądanie. Tyle że te odczucia odnosiły się do okresu spędzonego z Montagiem. Dlaczego prośba jej się spodobała, kiedy wyraził ją William Felkirk?

- Taki strój byłby raczej niepraktyczny - odezwała się w końcu. - Zbyt łatwo mógłby się podrzeć.

- Zdejmowałbym go z ciebie bardzo ostrożnie - zapewnił Will.

Serce zabiło jej szybciej, policzki się zarumieniły, jakby już stała przed nim w przezroczyściej szacie.

- Utkanie całej koszuli zajęłoby parę miesięcy - powiedziała z nadzieją, że to go

ostatecznie zniechęci.

Udał zmartwionego. Dostrzegła jednak uśmiech igrający w kąciku jego ust, jakby jej całkiem rozsądna odpowiedź go rozbawiła. Rozpostarł jej koronkę przed twarzą.

- Może mogłabyś zrobić welon. - Popatrzył na nią przez siatkę nicianego wzoru. - Miałaś welon podczas naszego ślubu?

- Nie - szepnęła.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Dlatego, że nie musiałaś niczego ukrywać. Ale mogę wyobrazić sobie, że byłaś panną młodą w welonie. - Uniósł koronkę wyżej, tak że zakrywała oczy Justine, a potem opuścił, żeby zasłoniła usta. - Wiesz, że na Wschodzie w pewnych społecznościach kobiety ukrywają twarze pod welonem przed wszystkimi poza swoimi mężami? - Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

- Chyba tego ode mnie nie oczekujesz?

- Okazałbym się egoistą, ukrywając przed światem tak piękną twarz. Zresztą jesteś za skromna. Nie masz pojęcia, jakie to podniecające widzieć cię powściągliwą, wiedząc, co chowasz pod ubraniem. - Westchnął, a potem pocałował ją przez koronkę. Pocałunek był całkiem niewinny, ot, zetknięcie warg.

Tym większym zaskoczeniem była reakcja Justine. Naparła ustami na materiał i lizała go wysuniętym językiem, jakby oczekiwała, że się rozpuści niczym wata cukrowa. Tego właśnie pragnęła: odrobiny słodczy, a potem długiego gorącego spotkania warg i języków.

Czy Will podzielał jej odczucia? Prawdopodobnie nie. Na moment znieruchomiał, potem ucałował jej zamknięte oczy i wrzucił koronkę z powrotem do koszyka.

Uśmiechnął się, jakby odkrył tajemnicę.

- Jest tak, jak myślałem - powiedział. - Twoja uroda nie potrzebuje pozłoty, ale dodatek w postaci własnego wyrobu czyni cię jeszcze bardziej ponętną. Obiecuj mi, że następnym razem zrobisz prezent dla siebie.

- Tak - odpowiedziała szeptem na pytanie, którego nie zadał.

- Doskonale. - Wstał i ziewnął. - Jeśli pozwolisz, udam się już do swojego pokoju. Ta rozmowa nastroiła mnie do wczesnego pójścia do łóżka. - Uśmiechnął się w taki sposób, że Justine splonęła rumieńcem. - Możesz do mnie dołączyć, jak skończysz. - Ruszył do wyjścia, prawie nie opierając się na lasce.

Odczekała, dopóki nie była pewna, że dotarł do schodów, i dopiero wtedy spakowała robótkę. Będzie spała w jego łóżku, skoro tego sobie życzył. Nie mogła przecież odgrywać roli żony bez ulegania jego pragnieniom. Oczekiwał tego od niej. Montague także tego od niej wymagał. A czego ona pragnęła na początku, kiedy

zawitała do tego domu?

Tylko tego, żeby zostawiono ją w spokoju. Chciała móc decydować samodzielnie o swojej przyszłości, a stała się posłuszną sługą kolejnego mężczyzny. Był miłszy od poprzedniego i przystojniejszy. Mieli wspólne zainteresowania i rozumieli się... W każdym razie rozumiałby ją, gdyby pozwoliła mu bliżej się poznać.

A gdyby wyjawiała mu wszystko, wyznała prawdę? Wówczas to, co ich łączyło, bezpowrotnie by przepadło. Skończyłoby się tak samo szybko, jak się zaczęło. Delikatne uwodzenie ustałoby natychmiast, gdyby się zorientował, że należała do innego mężczyzny. Co gorsza, nadal stanowiła jego własność i została przez niego wysłana do domu Willa w charakterze szpiega.

Wsunęła koszyk z robótką pod fotel, gdzie miał na nią czekać do następnego wieczoru. Nim opuściła wieczko, jeszcze raz spojrzała na pasek koronki, trzymany wcześniej przez Willa. Wiedziała, że najrozsądniej byłoby zapomnieć o marzeniach, bo mogły zaowocować co najwyżej złamanym sercem. Zamierzała przyjść do jego łóżka tej nocy, bo zasłużył na jej posłuszeństwo za to, co robił dla Margot, nawet jeśli nie rozumiał, jakie to ważne. Nie było jednak sensu łączyć cielesnego aktu z nadziejami i planami, które nie mogły się spełnić.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Justine poszła do swojego pokoju, gdzie wezwała pokojówkę, żeby ją przygotowała do spotkania z Willem w jego sypialni. Patrząc na wyłożoną na łóżku prostą koszulę nocną, pomyślała z niesmakiem o bardziej wyzywających strojach, które zostawiła w Bath. Właśnie takie rzeczy Will chciał na niej widzieć. Postanowiła, że jeśli cała ta maskarada się przeciągnie, kupi nowe stroje, wolne od wspomnień z dawnego życia.

Włożyła na siebie koszulę, ale zrezygnowała z czepka, jako że poprzedniej nocy Will nie taił, że to nakrycie głowy mu się nie podoba, i poprosił ją, by tylko luźno splotła włosy. Wszystko miało wyglądać tak, jak on sobie życzył. Odprawivszy pokojówkę, przeszła przez drzwi łączące ich pokoje, zamykając je cicho za sobą.

Zastała go w takiej samej pozie jak poprzedniego wieczoru: leżał wsparty o wezglowie łóżka i czekał na nią. Przywitał ją uśmiechem, po czym przesunął się, robiąc jej miejsce koło siebie. Gdy się zbliżyła, dostrzegła w jego oczach błysk rozczarowania na widok koszuli, którą miała na sobie. Bez namysłu ściągnęła ją, zawiesiła na ramie w nogach łóżka i naga zajęła miejsce na pościeli, po czym specjalnie potarła nogą o jego nogę, co miało niezawodnie go podniecić.

Poczuła, jak odsuwa się od niej, zaskoczony. Przez moment wydawało się jej, że zsunie się po przeciwnej stronie łóżka i ją opuści.

Ona także się wycofała.

- Jeśli nie chcesz... - odezwała się spłoszona.

- Nie, to znaczy tak. Zostań. Tak po prostu. - Znów odprężony, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, tak że jej piersi napierały na jego bok. - Chodzi o to, jak już ci wcześniej mówiłem, że nie ma potrzeby się śpieszyć.

- Aha.

Starła się nie okazać irytacji, choć była przeciwnego zdania. Zakładała, że im szybciej będzie po wszystkim, tym prędzej będzie mogła wyprzeć niepokojące uczucia, jakie Felkirk zaczynał w niej budzić, i odzyska wewnętrzny spokój.

Will odetchnął głośno.

- Muszę też przyznać, że po wczorajszym trochę się niepokoję, jak sprawy przebiegną dzisiaj.

- Czyżbym zrobiła coś, co ci się nie podobało? - Próbowała sama sobie w duchu odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie - zapewnił pośpiesznie, delikatnie zmusił ją do uniesienia głowy i złożył na

jej ustach przeciągły pocałunek. Kiedy się w końcu rozłączyli, wyjaśnił: – Może dziś rano nie całkiem jasno się wyraziłem. Wczoraj wieczorem byłaś taka, o jakiej mógłbym tylko zamarzyć. Nie ulega wątpliwości, że wiesz, jak sprawić mi przyjemność.

Przytaknęła ruchem głowy. Część dnia spędziła na przeszukiwaniu domu i choć nie znalazła żadnych ważnych wskazówek dotyczących diamentów, w nocnej szafce przy łóżku Willa natrafiła na kolekcję dość śmiałych szkiców, z których mogłaby czerpać podpowiedzi, gdyby jej przyszło podtrzymywać jego fizyczne zainteresowanie.

– Wstyd mi, że kiedykolwiek w ciebie wątpiłem. Twoja uroda nie ma sobie równych. Jesteś mi bezgranicznie oddana. A ostatnia noc? Twój dotyk był doprawdy niebiański. Wprawdzie nadal nie pamiętam naszej wspólnej przeszłości, ale bez trudu wyobrażam sobie przyszłość.

– W takim razie nie masz czym się martwić.

Starła się nie wybiegać myślami poza ten moment. Kusiło ją, ale nie pozwalała sobie na fantazje. Gdyby z nim została, niechybnie doszłoby do katastrofy. Jednak jego słowa trafiały jej prosto w serce i to budziło w niej poważny niepokój.

– Właśnie, że się martwię. Ty wiesz, co mi sprawia przyjemność, a ja wciąż nie mogę sobie przypomnieć żadnych szczegółów wspólnego życia.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– Na przykład nie wiem, czy wolisz lewą stronę łóżka, czy prawą.

– Lewą – odpowiedziała bez namysłu, po czym uświadomiła sobie, że byłoby lepiej pozwolić mu wybrać.

– Czyli tę, po której teraz jesteś – stwierdził z zadowoleniem. – Może akurat to pamiętam, bo wydaje mi się bardzo naturalne.

Prawdopodobnie mylił ją z kim innym, z kim wcześniej sypiał, co nie wiedzieć czemu ją rozzłościło. Skoro był szczęśliwy, jakie to mogło mieć znaczenie?

– A co do wczorajszego wieczoru... – zaczął ostrożnie – przypuszczam, że już to robiliśmy.

– Coś w tym rodzaju – próbowała go zbyć. Nie chciała myśleć o tym, jak zdobyła wiedzę na temat męskiej anatomii.

– Minęło sporo czasu, odkąd tak naprawdę czułem się sobą. Musisz mi wybaczyć, jeśli z jakiegoś powodu nie jestem taki jak dawniej.

– To nieważne – oznajmiła z przekonaniem, po czym śmiało dorzuciła kłamstwo: – Nadal jesteś moim mężem.

– A jako twój mąż jestem ci winien to samo, co ty mi dałaś – rzekł stanowczo. –

Przykro mi, że tak niewiele pamiętam. – Uśmiechnął się ze smutkiem.

Rozmowa zaniepokoiła Justine. Jeśli łóżko miało się dla nich stać miejscem pogawędek i wyjawiania sekretów, to istniała groźba, że szybko wymknie jej się coś, z czego nie będzie umiała wytłumaczyć się wiarygodnie. Uznała, że lepiej tak jak poprzedniego wieczoru zająć Willa swoim ciałem, a rozmowy odbywać rano przy śniadaniu, kiedy łatwiej jest zachować należyłą czujność.

– Przeszłość się nie liczy – oświadczyła z naciskiem. – Tylko teraźniejszość i twoje szczęście.

Przywarła do ust Willa pocałunkiem, który miał go zachęcić do działania, i przesunęła dłoń w dół po jego ciele, żeby sprawdzić, czy jest gotowy. Następnie wyciągnęła się na plecach, rozłożyła nogi i czekała.

Will leżał na boku, podparty łokciem i na nią patrzył. W końcu odchrząknął i rzekł:

– Głupio mi się do tego przyznać, ale wkrótce i tak sama byś odkryła, więc lepiej od razu powiem. Nie pamiętam, jak się z tobą kochać – oznajmił takim tonem, jakby jego obawy w tej kwestii były głębokie i szczere.

Justine przekręciła się na bok i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Zapomniałeś jak... – Urwała.

Czy coś takiego w ogóle dało się zapomnieć? Jak miałaby mu podpowiedzieć bez uciekania się do gestów i słów, jakich nie powinna znać dama?

Will zaśmiał się, opadł na pośladki i pociągnął ją na siebie tak, że leżała na nim całą długością ciała. Ta nagła zmiana pozycji przyprawiła ją o brak tchu.

– Najwyraźniej ożeniłem się z tobą nie z powodu twojej wyjątkowej urody, tylko dla poczucia humoru. Nie ucierpiałem aż tak bardzo, żeby tego nie pamiętać, Justine. Poza tym powinnaś już wiedzieć, że niektóre części tego aktu dzieją się... samoistnie.

Bez wątplenia miał na myśli swoją erekcję, którą czuła na brzuchu. Kiedy się poruszyła, stał się jeszcze twardszy.

– Wiem.

– Nie chodzi o to, jak na mnie działasz. Jesteś piękną kobietą. Jeśli pozostanie mi choć trochę siły, będę wiedział, jak czerpać przyjemność z obcowania z tobą.

Pokiwała głową. Któryż mężczyzna tego nie wiedział?

Uśmiechnął się i znów ją pocałował, a właściwie przelotnie musnął ustami jej wargi.

– Nie pamiętam, co robić, żeby tobie sprawić rozkosz. Tobie jako jedynej i wyjątkowej spośród innych kobiet. Nie wiem, co jest najważniejsze, co cię pod tym

względem wyróżnia. Zapomniałem, jak cię zadowolić.

Pomóż mojej siostrze. Daj mi diamenty. Pozwól mi odejść – spełnienie tych trzech życzeń uszczęśliwiłoby ją najbardziej, ale nie o to mu chodziło.

– Jeśli ty jesteś zadowolony, to ja również – powiedziała i usiadła na nim okrakiem.

Miała nadzieję, że to wystarczy, by zakończyli pogaduszki, przeszli do czynu... i mieli to za sobą, zanim ona całkiem straci cierpliwość. Naparła na niego biodrami i próbowała się rozluźnić, żeby łatwo mógł w nią wejść. Podczas zbliżenia wolała mieć w głowie pustkę, zamiast niepokojących myśli, które uparcie w niej wzbudzał. Chciała się przenieść wyobraźnią do zupełnie innego świata, do jakiegoś ogrodu albo nad morze. Być gdziekolwiek indziej, byle nie w łóżku z Felkirkiem, gdzie czując dotyk jego ust i skóry, stawała się niebezpiecznie bezwolna.

Will przybrał bardziej wygodną pozycję, ale poza tym nie przejawiał żadnej inicjatywy.

– Moje zadowolenie – odparł i westchnął. – Ciągłe o nim mówisz. Minionego wieczoru i dziś rano też. To, co się wydarzyło wczoraj, było bardzo miłe, ale...

Zmarszczyła czoło; mogłaby przysiąc, że musiało być więcej niż miło.

– ...dziś pragnę obopólnej przyjemności. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Jak to się mówi, panie mają pierwszeństwo. Zatem od czego powinienem zacząć?

Zacisnęła powieki, nie chciała widzieć wyrazu pełnego nadziei wyczekiwania, obecnego na jego twarzy. Nie mógł rozumieć, o co ją prosi. Tak wiele kosztowało ją zachowanie spokoju podczas wspólnych chwil intymności, a on to utrudniał. Naprawdę musiała mu tłumaczyć, że można się obejść bez pocałunków i pieszczot, skoro już osiągnęli ten etap? Chciał się bawić jej piersiami, podniecić ją, zanim w nią wejdzie i osiągnie to, do czego dąży? Doznawanie przyjemności w sytuacji, kiedy nie miało się wpływu na wybór partnera, stanowiło całkowitą kapitulację.

– Od łokcia – rzuciła, oczekując, że ironia zniechęci go do dalszych pytań.

– Od łokcia – powtórzył i bez wahania sięgnął po jej rękę.

Szarpnęła się gwałtownie.

– Od lewego, nie prawego.

– Nie pojmuję, jak mogłem zapomnieć – rzekł ze śmiechem. Przyciągnął ją do siebie, a następnie uniósł jej zgięte ramię do ust.

– Co robisz?

Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy protestować. Było oczywiste, co Will robi. Rysował językiem kręgi wokół wystającej kostki, a potem obejmował ją wargami i ssał, jakby była brodawką piersi.

– Dokładnie to, o co prosiłaś – odparł, chuchając na jej wilgotną skórę. – Choć

doprawdy nie wypada zaniedbywać drugiej ręki. – Przejechał lekko paznokciem po jej prawym przedramieniu.

To było zbyt śmieszne, żeby się na niego złościć, i ku zaskoczeniu Justine, również przyjemne. Kiedy naciskał skórę w pewien szczególny sposób, pobudzone nerwy przewodziły napięcie do sutków, wciśniętych w sprężysty zarost na jego piersi.

Nagle znieruchomiał.

– O to ci chodziło? Czy może o wewnętrzną stronę?

Nowa pieśczoła wydała jej się zupełnie inna. Przeciągłe pocałunki otwartymi ustami w zagłębienie łokcia coś jej przypominały. Jeden ze znalezionych szkiców przykuł jej uwagę na dłużej: przedstawiał mężczyznę trzymającego głowę między nogami kobiety. Chyba Will nie będzie próbował go naśladować? Jednak do niego należały szkice i to on leciutko skubał wrażliwą skórę, by zaraz mocno naprzeć na nią językiem...

– O Boże.

Czy naprawdę to powiedziała, w dodatku zduszonym głosem? Na myśl o jego języku i o tym, co mógłby nim zrobić, zrobiła się wilgotna. Cały czas czuła ucisk nabrzmiałego penisa na złączonych udach; poruszyła się, nie do końca pewna, czy to miało oznaczać opór, czy zachętę.

– Nie mówiłam poważnie – wyszeptała.

Chciała, żeby przestał, i jednocześnie tego się obawiała.

Przerwał tylko na moment, żeby na nią popatrzeć i stwierdzić z uśmiechem:

– Wiem, ale kobieta, która się droczy, musi być przygotowana na to samo ze strony mężczyzny. To chyba uczciwe, prawda? – Po tych słowach przeniósł uwagę na jej prawą rękę.

Z mimowolnym jękiem wykonała kolisty ruch biodrami, ocierając się o niego i zwilżając go swoimi sokami. Nie tak miało być. Poczucie oddzielenia, niezbędne, by zachować panowanie nad zmysłami, topiło się jak wiosenny śnieg.

Traciła głowę zupełnie bez powodu. Intymne części ich ciał stykały się ze sobą wyłącznie na skutek jej zabiegów ponagających. A ponagłała go, ponieważ rozpaczliwie pragnęła, tak jak poprzedniej nocy, przełamać czar, który Will zaczął nad nią roztaczać.

Znów przerwał, cmoknął ją w nadgarstek.

– Chyba wraca mi pamięć. To też lubisz, prawda? – Znienacka chwycił ją za łydki i podciągnął je ku sobie, a następnie wolno pogładził delikatną skórę pod kolanami.

Zacisnęła dłonie na poduszce po obu stronach jego głowy. Pozornie niewinna pieśczoła jeszcze mocniej rozpałała żar w jej ciele. Bezwiednie naparła na niego

biodrami, trawiona palącą potrzebą, by ją sobą wypełnił, lecz Will bynajmniej nie podzielał jej pośpiechu.

Zapomniała, że miała być bierna, pilnować się, nie narażać na zatracenie. Puściła poduszkę, wsunęła mu palce we włosy i przyciągnęła do siebie jego głowę. Przywarła wargami do jego ust, ale on nadal się z nią droczył, przesuwając językiem po krawędzi jej zębów... i nie podążał dalej. Dłońmi gładził ją pod kolanami, dotykiem tak zmysłowym, że w końcu zapragnęła poczuć go w tym najbardziej czułym miejscu.

Ocierając się o Willa, nagle poczuła, że jej lęki gdzieś się rozwiały. Nie było już mowy o zachowaniu spokoju umysłu, poprzez oddzielenie go od tego, w czym uczestniczyło ciało. Zawładnął ją bez reszty ten najgłębszy rodzaj przyjemności. Szum rwącej krwi, łomot serca zagłuszały wszelkie myśli. Każdy jej zmysł z osobna domagał się więcej, a w duszy rodziły się niewypowiedziane słowa czułości. Will, William, ukochany...

Nadal nie odpowiadał na jej ponagląjące sygnały, więc uniosła biodra, chwyciła jego męskość i nadziała się na nią, wchłaniając go w siebie najgłębiej, jak to było możliwe.

Czy kiedykolwiek wcześniej tak się czuła? Jakby jej ciało stanowiło jedność z jego ciałem? Równocześnie dotarli do tego najwyższego pułapu rozkoszy, po czym wyczerpani opadli na posłanie, zbyt słabi, by się poruszyć.

Dopiero po chwili Will przekręcił ją na lewą stronę łóżka, tę, którą wolała. Nachylił się nad nią, ukrył twarz na jej piersi i zaczął ustami pieścić najpierw jedną, potem drugą brodawkę. Lizał, ssał i leciutko skubał zębami, jednocześnie delikatnie gładząc Justine po ramionach i nogach. W końcu jego dłoń wśliznęła się między uda i odnalazła tę najwrażliwszą, wciąż jeszcze nabrzmiałą wypukłość. Nim Justine zdążyła w pełni rozpoznać, co się dzieje, i zaprotestować, znów poczuła, że unosi się nad ziemią, jakby fruwała, już nie tak wysoko jak przed chwilą, ale równie przyjemnie. Tym razem powoli wracała do rzeczywistości, a po ostatecznym wylądowaniu ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz Willa.

- Justine... - szepnął - gdybyś już nie była moja, po tej nocy musiałabyś nią zostać. Jak ja żyłem, zanim cię poznałem? I jak mógłbym żyć dalej bez ciebie?

- Nie będziesz musiał - odparła również szeptem. - Jestem twoja teraz i na zawsze. - Po raz pierwszy powiedziała mu prawdę... i czuła się z tym wspaniale. Jeszcze nie miała pojęcia, jak to zrobi, ale wiedziała, że musi być żoną Williama Felkirka. Pał sześć diamenty.

Will patrzył w sufit spod półprzymkniętych powiek. Cudownie było znów się tak poczuć, wyczerpanym od fizycznego spełnienia, zawieszonym pomiędzy sennością a jawą, z piękną kobietą u boku. Justine leżała przy nim zwinięta w kłębek, słodka i miękka jak kociak, z twarzą przyciśniętą do jego ramienia, jakby zasnęła w trakcie pocałunku.

Po raz kolejny uderzyło go, jak nieoczekiwanie pojawiła się w jego życiu. Gdyby miał sobie wyobrazić kobietę, którą by wybrał na żonę, to nie byłaby ona. Prawdopodobnie w końcu by się ożenił z jedną z tych rozchichotanych dzierlatek bywających w Almacku. Wprawdzie miały niewiele w głowie, ale wzięłyby za żonę tę spośród nich, która by go najmniej irytowała. Pokazywałyby się razem w Londynie, podróżowali eleganckim powozem, bywali na przyjęciach, proszonych obiadach, koncertach i balach. W końcu pojawiłyby się dzieci.

Ale ta dziewczyna? Nigdy w życiu nie powiedziała o niej, że ma pusto w głowie. Prędzej pasowało do niej określenie „cicha woda”. Pod spokojną niczym tafelą stawu powierzchownością krył się burzliwy temperament. Lubiła przyjęcia, zabawy i tańce? Jeśli tak, nic o tym nie wspomniała.

Na pewno lubiła marmoladę i powieści oraz jego, Willa. Uśmiechnął się pod nosem. Dzięki jej towarzystwu nauczył się znajdować radość w spokojnym byciu razem. Lubił na nią patrzeć, jak siedziała w salonie pochylona nad koronkami. Marzył wówczas o chwili, gdy ściągnie płócienny czepek z jej lśniących włosów, odkryje piękno ukryte pod skromną prostą suknią i będzie się nim napawał.

W łóżku okazała się chętna i śmiała... Pożądanie. Zaborczość. Czy było za wcześnie, by mówić o miłości? Znał ją od miesięcy czy niespełna tydzień?

A może znał ją od zawsze i przez całe życie czekał na moment, gdy będą razem? Rozsądek podpowiadał mu, że nie może jej kochać po tak krótkim czasie, jaki z nią spędził. Jednak serce wołało, że w tym wypadku rozsądek nie ma racji. Tego, co do niej czuł, nie dało się z niczym porównać. A po ostatnim zbliżeniu wiedział, że ona czuje do niego to samo.

Położył dłoń na jej biodrze i pogładził miękką krągłość. Poruszyła się, zeszywniała, a potem zadrżała, jakby zdjęta nieprzyjemnym dreszczem. Czyżby śniła coś niemilego? Najwidoczniej tak, bo nie otwierając oczu, zaczęła rzucać głową na boki, jakby się czemuś lub komuś sprzeciwiała. Chcąc ją uspokoić, objął ją i przytulił, ale zachnęła się i powiedziała na głos:

- Nie dotykaj mnie. Nigdy więcej.

Nagle obudzona, usiadła. Przez chwilę głośno chwyciła powietrze, jak po długim biegu.

Puścił ją i powoli cofnął ręce. Czyżby jego dotyk ją przestraszył? Załedwie parę godzin wcześniej działał na nią zgoła inaczej.

- Jesteś bezpieczna, Justine. To był tylko sen.

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby go nie rozpoznawała. Odsunęła się gwałtownie i skrzyżowała ramiona, próbując zakryć nagość. Wydała mu się krucha i bezbronna.

- To był sen - powtórzył.

- Tylko sen - wydukała.

W końcu spojrzała przytomniej i uśmiechnęła się z ulgą.

- Chcesz mi o nim opowiedzieć? Czasami to pomaga, żeby wyzbyć się strachu.

- Nie!

Zadrżała ponownie, po czym szybko się opanowała i zaprezentowała dobrze mu znany pogodny uśmiech. Jednak spokój był tylko pozorny, rozpoznawał to po kropelkach potu roszących jej czoło i wyczuwalnym napięciu w całym ciele.

- Dobrze, jak chcesz, ale wiedz, że nie musisz się niczego bać, dopóki ja tu jestem.

- Oczywiście - odparła bez przekonania.

Czy naprawdę chodziło tylko o senne majaki? A może w jej przeszłości czał się jakiś powód do lęku? Życie nie zawsze dobrze obchodziło się z ubogimi samotnymi kobietami. Mężczyźni bywali drapieżnikami, a słaba dziewczyna nie zawsze potrafiła się bronić. Cokolwiek to było, nie mogło wynikać z jej winy, bo przecież kiedy patrzył na nią w świetle świecy, nie umiał sobie wyobrazić bardziej niewinnej istoty. Poklepał materac.

- Połóż się przy mnie i pozwól mi się objąć. Od razu będzie lepiej.

Uśluhała prośby, wtuliła się w jego ramiona i po chwili poczuł, jak zaczyna się odprężyć. Odgarnął jej z czoła wilgotne włosy i ucałował w skroń.

- Widzisz? Nie ma się czego bać.

W odpowiedzi przywarła do niego z westchnieniem i ponownie wtuliła twarz w jego ramię.

- Cudownie. Mogłabym tu zasnąć i nigdy się nie obudzić.

- Nie mów tak - poprosił. Ujął ją za podbródek, żeby móc spojrzeć jej w oczy. - Nawet tak nie myśl. Teraz, kiedy cię znalazłem, nie chcę cię stracić.

Zamrugała powiekami, przez moment bał się, że wybuchnie płaczem. Jednak kiedy się odezwała, w jej głosie nie słyhać było przełykanych łez.

- Wybacz, jeśli cię przestraszyłam. W moim życiu, aż do teraz, nie było takiego szczęścia. Niektóre rzeczy, zanim cię poznałam... były bardzo trudne.

Trudne. Wymówiła to słowo beznamiętnie, jakby nie do końca rozumiała jego znaczenie. Może ktoś inny nazwałby takie doświadczenia zgrozą i nosił po nich blizny większe niż ta na jego ramieniu. „Nie dotykaj mnie”? Tak mogła mówić osoba, którą bito albo stosowano wobec niej przemoc. Tym bardziej więc powinien być delikatny i traktować ją jak skarb, którym była dla niego w istocie.

- Czy nie ty uczyłaś mnie, że liczy się tylko przyszłość? Zrobię wszystko, żeby przyszłość była dla ciebie jak najśłodsza.

- Dla nas obojga. - Poglądziła go po ramieniu, dotykając ostrożnie gładkiej czerwonej plamy w miejscu, gdzie ogień uszkodził skórę. - Boli?

Wzruszył ramionami, trochę zakłopotany, że nie czuje jej dotyku z powodu blizny.

- Kiedyś bolało, ale teraz nie.

- Ja mam tak samo. Czasami lepiej w ogóle nic nie czuć.

- Ale mam nadzieję, że czujesz mój dotyk - wymruczał sennie.

- Tak.

- A moja blizna cię nie przeraża? - Kiedyś wyglądała znacznie gorzej, sam się wzdygał, kiedy na nią patrzył.

- Podoba mi się - szepnęła. - Jesteś jak twój dom. Nie całkiem doskonały. Po prostu taki jak trzeba.

Ścisnęło go w gardle, bo przypomniał sobie, jak widząc jego dom po raz pierwszy, nazwała go zamkiem, podczas gdy inni widzieliby raczej ruinę. Kiedy tak czule muskała ślad po walce z pożarem, poczuł się jak władca twierdzy, który zdobył i poślubił księżniczkę.

- W ciemności, kiedy leżę obok, wystarczy, że dotknę twojej blizny i będę wiedziała, kim jesteś. Nie muszę nawet otwierać oczu.

To stwierdzenie wydawało mu się trochę dziwne.

- Szczęściarz ze mnie, mam kobietę, która mnie pokochała za niedoskonałości, a nie pomimo nich.

- Ciekawe, czy w drugą stronę byłoby tak samo?

- Nigdy się tego nie dowiemy, skarbie. - Pocałował ją we włosy. - Ty jesteś doskonała. Nie uwierzę, że jest inaczej, choćbyś nie wiem co mówiła.

Ściągnęła brwi, jakby zamierzała skorygować jego opinię o sobie. Na wszelki wypadek zamknął jej usta pocałunkiem, a potem zarządził:

- A teraz śpij. Nie będzie więcej koszmarów. - Dotknął palcem czubka jej nosa.

- Tak, Williamie. - Westchnęła z rozmarzeniem, znów zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rankiem Will, wciąż pod wrażeniem niesłychanej zmiany, jaka zaszła w jego życiu, pojechał konno na spotkanie z bratem. Po niefortunnie zakończonej przejażdżce na Zeusie rozsądnie wybrał kasztanowego wałacha. Jednak choć wierzchowcowi nie brakowało ducha i dobrze szedł pod siodłem, nie mógł się równać z Jupiterem.

Willa nadal bolała świadomość, że sam spowodował śmierć oddanego i wiernego druha. Niemal od kołyski ojciec ostrzegał go, że Bellstonowie są znani z gorącej krwi i porywczych działań. Wziął sobie ojcowską radę do serca i starał się zachowywać roztropność we wszelkich poczynaniach. Dzięki temu prowadził uporządkowane życie i nie był zamieszany w żaden skandal.

W którymś momencie poprzedniego roku ta zdawałoby się dobrze przyswojona nauka go zawiodła. Stracił nie tylko oddanego czworonożnego przyjaciela, ale i pamięć. Zyskał natomiast najcenniejszy dar, jaki może się trafić mężczyźnie: miłość kobiety, którą i on pokochał. Prawdopodobnie miał jeszcze do przerobienia lekcję na temat potrzeby zachowania życiowej równowagi oraz zagrożeń wynikających z nadmiernej skrupulatności.

Przypomniał sobie niepokój, jaki go ogarnął przed chrzcinami bratanka. Miał wówczas poczucie, że uchodzący za nieodpowiedzialnego szalawinę brat w pewien sposób zostawia go w tyle, a jego własna młodość wycieka mu przez palce. Od tamtego momentu pozwalał, by kierował nim nie tylko rozsądek, ale i pasja. W efekcie głupota omal nie doprowadziła do nieszczęścia.

Wcale nie uważał, że pasja jest zła, tyle że powinna odgrywać właściwą rolę w życiu. Przez większość czasu Justine okazywała spokój i powściągliwość, jakiej mógłby sobie życzyć dawny William. Jednak ostatniej nocy temperamentem i odwagą mogła zadziwić mężczyznę, który niejedno przeżył.

Obudzili się o świcie i znów się kochali. Zły sen Justine odszedł w zapomnienie. Za każdym razem, gdy Will jej dotykał, śmiała się, głośno i swobodnie, jakby w dotychczasowym życiu nigdy tak otwarcie nie wyrażała radości. Jej gorliwość w obdarzaniu go przyjemnościami nie sprawiała już wrażenia wmuszonej i przestała go niepokoić. Nadal wykazywała inicjatywę, ale zachowywała się przy tym naturalnie.

Kiedy już osiągnęli spełnienie, opadła na posłanie i pociągnęła go na siebie, by pocałunkami i pieszczotami wypełnić czas do chwili, gdy trzeba będzie wstać. Kiedy wychodził na śniadanie, nadal leżała w łóżku, z kołdrą podciągniętą tak wysoko, że

wystawała spod niej jedynie burza złotorudych włosów. Uśmiechnął się z zadowoleniem na wspomnienie tego widoku.

Adam dogonił go na ścieżce odchodzącej od domu w stronę pól. Niemal od razu zauważył zmianę w usposobieniu brata.

- Cieszy cię letnia pogoda, Will? A może radujesz się z innego powodu?

- Jak to?

- Dopiero co śmiałeś się sam do siebie.

W odpowiedzi Will uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jako dżentelmenowi, nie wypada mi powiedzieć więcej ponad to, że jestem szczęśliwie żonatym człowiekiem.

Adam uniósł brwi.

- Odkryłeś na nowo, dlaczego pośpiesznie się ożeniłeś?

- Przynajmniej po części. - Jeśli przed ślubem dostałem choćby małą namiastkę tego, czym rozkoszowałem się obecnie, to konieczność natychmiastowego zawarcia małżeństwa wydawała się oczywista, pomyślał i dodał: - Z radością odkrywam, że jesteśmy sobie jednakowo mocno oddani i jednakowo nam zależy na wzajemnym szczęściu.

Adam parsknął śmiechem.

- Mogłem powiedzieć coś równie oględnego już po krótkiej znajomości z Penny. Jak pamiętam, wątpieś w nasze dopasowanie.

- Nie mogłem się bardziej mylić - odparł Will. - Przyznaję też z radością, że myliłem się co do Justine. Nie pamiętam, co mnie do niej przyciągnęło, i może nigdy sobie tego nie przypomnę, ale wyzbyłem się wcześniejszych wątpliwości. - Skoro to była prawda, czyż potrzebował czegoś więcej? - Chyba dłużej nie będę przejmował się utratą pamięci. Teraźniejszość całkowicie wystarcza mi do szczęścia.

- Rozumiem, że żona mości się w twoim domu?

- Całkiem dobrze sobie radzi - zapewnił Will, po czym dodał: - Trudno to stwierdzić na pewno. Jest naprawdę nieśmiała. Wątpię, żeby narzekała, gdyby coś jej sprawiało kłopot.

Pomyślał o jej złym śnie. Zastanawiał się, czy powinien nalegać, by wyjawiała mu więcej. Z drugiej strony, był pewien, że nie chciałyby z nim o tym rozmawiać. Poparzył na brata z poważną miną.

- Ona nie poprosi o pomoc, nawet gdyby jej potrzebowała. Jakby uważała, że na nią nie zasługuje.

Adam wyraźnie się stropił.

- Zauważyliśmy podobne zachowanie, kiedy do nas przyjechała. Sądzę, że nie

nawykła do polegania na rodzinie. Może miała trudniejsze życie, niż się do tego przyznaje. Jestem przekonany, że z czasem poczuje się pewniej.

- Mam taką nadzieję. Nie mogę jednak znieść myśli, że przyczyniłem się do jej poczucia osamotnienia. Siostra Justine mieszka dość daleko na południu, w szkole z internatem.

- Rozumiem, że sprowadzisz ją do waszego domu?

- Oczywiście. Pozostaje pytanie, dlaczego je rozdzieliłem. To było bardzo małoduszne z mojej strony. Justine nie nosi obrączki. O to też nie zadbałem? - Nie napisałem też do swoich krewnych, by ich powiadomić o ożenku, pomyślał. - A gdybym umarł, nie zdążywszy odpowiednio zabezpieczyć żony?

- Przyjechała tu z twoim sygnetem zawieszonym na łańcuszku na szyi. Powiedziała, że pobraliście się w pośpiechu, więc obiecałeś, że zadbasz o obrączkę po powrocie do domu. Póki co obywatła się bez niej i się nie skarżyła. Nie bądź dla siebie taki surowy - zakończył książkę, kręcąc głową. - Młodemu żonkosowi może się zdarzyć moment samolubnej przyjemności.

Zatem był samolubny, a w jego przypadku trudno było mówić o momencie. Jeśli dobrze rozumiał sytuację, uwiódł Justine, nie obiecując małżeństwa, a potem trzymał ich związek w tajemnicy przez kilka tygodni. Doprawdy miał powód do wstydu. Od tej pory wszystko miało się zmienić.

- Justine jest gotowa obejść się bez czegoś, nawet jak nie ma takiej potrzeby. Nie pozwolę na to w przyszłości. Znajdę sposób, żeby wydobyć ją ze skorupy. Gdy tylko udaje mi się ją wciągnąć do rozmowy, stanowi cudowne towarzystwo.

- A nie mówiłem... - przypomniał mu z uśmiechem Adam. - Naprawdę uwielbia poranne spacerować - dodał, wskazując przed siebie.

Kobieta, o której rozmawiali, szła właśnie przez las, blada i cicha jak duch. Przystanęła w najgłębszym cieniu kępy drzew, bladziółta suknia i żakiet wtapiały się w tło żółknących liści. Od początku Will miał poczucie, że Justine otacza aura tajemnicy. W tym momencie odniósł wrażenie, że przeszkodzili leśnej wróżce w jakimś rytuale.

- Justine! - zawołał. - Co tu robisz, moja droga?

Usłyszawszy jego głos, zamiast odpowiedzi radosnym powitaniem, zaczęła się rozglądać na boki niczym przestraszony zając, jakby rozpaczliwie szukała kryjówki. Dopiero gdy sobie uświadomiła bezcelowość ucieczki, wyprostowała ramiona i odwróciła się w ich stronę. Dygnęła z nieśmiałym uśmiechem.

- Wasza Książęca Mość. Milor... Will - poprawiła się, jakby właśnie sobie przypomniała, co ich łączy.

Jeśli nawet Adam uznał jej zachowanie za dziwne, to nie dał niczego po sobie poznać. Obaj zsiadli z koni i do niej podeszli.

- Powinnaś była mi powiedzieć, że chcesz obejrzeć nasze ziemie - odezwał się Will, starannie unikając tonu pretensji. - Mogliśmy razem pojechać konno.

- Nie przyszło mi to do głowy, zanim wyszedłeś. - Opuściła wzrok. - Poza tym wolę spacerować.

- Musisz znaleźć dla niej konia - stwierdził Adam. - Nawet osobie, która nie przepada za jazdą, przyda się na tak rozległych terenach jak nasze.

- Masz rację, oczywiście - przyznał Will, myśląc o spokojnej siwej klaczy. Nie chciał, żeby siedząc w domu, Justine obawiała się prosić służbę o przygotowanie zaprzęgu. - Jeśli nie chcesz jeździć wierzchem, nauczę cię powozić bryczką ciągniętą przez kucyka. - Popatrzyła na niego z lękiem, więc szybko dodał: - Będiesz mogła zabierać swoją siostrę na przejażdżki do wsi, kiedy tylko zechcesz.

Wiedział, że ten argument poskutkuje. Na wzmiankę o siostrze natychmiast poprawił jej się nastrój.

- Kiedy tylko zechcę - powtórzyła z rozkwitającym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że przyjemnie spędzasz dzisiejszy poranek. - Nachylił się, żeby ją cmoknąć w policzek rozgrzany od rumieńca. - O tej porze roku drzewa wyglądają ślicznie, nie sądzisz?

- Tak, są przepiękne - potwierdziła.

- Domowy ogród też ładnie się prezentuje. Dziwi mnie, że wolisz tu przychodzić zamiast po nim spacerować. - Mimo rzeczywiście ładnych kolorów na drzewach ta część posiadłości nie należała do najciekawszych.

- Czytałam coś i nabrałam ochoty na taką wyprawę - oznajmiła po chwili wahania.

- Doprawdy? - Przypomniał sobie stos książek wyłożonych z półek w bibliotece i przypuszczalną zawartość pamiętników matki.

- Czyżbyś czytała historie o duchach, moja droga? Jeśli w posiadłości jest jakieś nawiedzone miejsce, to musi być właśnie w tej okolicy, gdzie popełniono morderstwo.

Na wzmiankę o śmierci zrobiła się kredowobiała.

- Tutaj? - spytała zduszonym głosem.

- Morderstwo tutaj? - zawtórował jej nie mniej zdziwiony Adam. - Niczego takiego sobie nie przypominam.

- Byłeś wtedy w szkole - wyjaśnił Will. - Ja zostałem w domu, ponieważ cały rok chorowałem. Matka mówiła mi później, że nie pisała do ciebie kilka miesięcy.

Rodzice się bali, że kiedy się domyślisz, jak bardzo jestem chory, przyjedziesz do domu i się zarazisz, a oni stracą wszystkie dzieci.

- Ach, tak - przypomniał sobie Adam. - Nie mogłeś mieć wtedy więcej niż osiem lat. - Spojrzał na Justine i wtajemniczył ją w szczegóły rodzinnej historii. - Masz szczęście, że twój mąż żyje. Dowiedziałem się po czasie, że tamtego roku kilka razy otarł się o śmierć. Umarła wtedy nasza mała siostrzyczka. Gdybyś była ciekawa, wszystko to jest opisane w rodzinnej Biblii.

- Zaglądałam do niej - powiedziała Justine z taką miną, jakby popełniła wykroczenie - ale nie było wzmianki o zamordowanym człowieku. Sądziłabym, że takie wydarzenie zasługuje na więcej uwagi - dodała chłodnym tonem.

- Wszyscy w domu byli zbyt zaabsorbowani chorobą, żeby się należycie zająć tą sprawą - wyjaśnił ze skruchą Will. - Nasza matka, choć uważam ją za wspaniałą kobietę, była dość roztargniona, jeśli chodzi o prowadzenie zapisków i wszelką korespondencję. Nie dziwi mnie wcale, że nie powiadomiła Adama.

- Ale ty wiedziałeś - przypomniała mu. - Mimo że byłeś chory. - Patrzyła to na jednego, to na drugiego z braci. - Rozumiem, że rabuś nie został schwytany.

- Rabuś? - powtórzył Will. Nie przypominał sobie, by mówił cokolwiek o okolicznościach zbrodni.

Rozejrzała się wokół.

- W takim miejscu motywem musiał być rabunek.

- No tak, oczywiście.

Zastanowiło go, że ta ponura historia wzbudziła zainteresowanie żony. Choć może nie powinien się dziwić? Jego także w pewien sposób fascynowała przez swą tajemniczość. Nagle rozboleła go głowa. Może dlatego, że wytężał umysł, próbując sięgnąć pamięcią w odległą przeszłość?

- Niewiele zapamiętałem. Słyszałem to i owo, ale byłem zbyt chory, żeby mnie cokolwiek obchodziło. Powiem ci jedną rzecz, której rodzina na pewno nie zapisała. To ja znalazłem ciało, ale słabo to pamiętam. Ostatnio często stosuję tę wymówkę, ale rzeczywiście tamtej nocy, kiedy popełniono zbrodnię, omal nie umarłem z gorączki. Niania zasnęła i wyszedłem z łóżka, szukając chłodniejszego miejsca. Lekarz nie pozwolił mi dodawać lodu do wody. - William pokręcił głową, jeszcze mocniej wysilając pamięć. - Przeszedłem przez kuchnię, a potem w dół po zboczu wzgórza w stronę lodowni. Na szczęście nie wpadłem do rzeki i nie utonąłem, bo płynie tu bardzo blisko.

- I natknąłeś się na martwego człowieka? - Justine wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Prawie martwego. Chyba się do mnie odezwał. - Zmarszczył czoło. - Choć nie przypominam sobie, co powiedział. Prawdopodobnie majaczył. Był już całkiem zimny. Upłynęło trochę czasu, zanim wróciłem do domu i zdołałam przekonać rodzinę, że naprawdę trzeba pójść do tego człowieka. - Will rozejrzał się wokół. - Pamiętam, że stałem pod tym drzewem i widziałem kruka siedzącego na gałęzi.

- Kruka - powtórzył z niedowierzaniem Adam.

Will wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie kolejny objaw gorączki. Kruk zaskrzeczał i upuścił koronę pod moje stopy, a potem odleciał. - William czuł, że było jeszcze coś ważnego, co powinien wyłuskać z pamięci, ale nie potrafił.

- Widziałeś króla Artura? - spytał ze śmiechem Adam. - W naszym lesie?

Will spojrzał na żonę, która wpatrywała się w niego zupełnie zdezorientowana.

- Walia to kraj Artura, kochanie. Jeśli lubisz takie historie, to kiedyś ci o nim poczytam. Legenda głosi, że po śmierci został zamieniony w kruka.

- Albo pochowany w jaskini lub zabrany do Avalonu - podsunął Adam. - Istnieje wiele wersji na temat tego, co się z nim stało. Chyba możemy się domyślić, co mój młodszy braciszek czytał tamtego wieczoru, kiedy w nocy wyszedł do lasu.

Will zawtórował bratu śmiechem, a potem zaproponował, by chwilą ciszy uczcić nieszczęsną ofiarę.

- I oto jestem tu, po dwudziestu latach, a w głowie pozostały mi okruchy wspomnień. Tylko tyle wiem o tej sprawie. Jeśli się boisz, to niepotrzebnie - zwrócił się do Justine. - Ziemia Adama są całkowicie bezpieczne. Nawet w czasach naszego ojca takie zbrodnie były rzadkością. To jedyny przypadek, jaki mogę sobie przypomnieć, kiedy sprawca nie został schwytany i ukarany.

- Możesz sobie przypomnieć? - powtórzyła. Przez moment w jej oczach malowało się niedowierzanie.

- Oboje dobrze wiemy, na ile można zaufać mojej pamięci. Ale wierz mi, możesz bezpiecznie spacerować po tych ścieżkach zarówno w dzień, jak i nocą. Nie ma się czego obawiać. Teraz jednak pozwól, że wezmę cię na konia i zawiozę do domu, żebyś nie zniszczyła pantofelków w błocie albo nie ześliznęła się po brzegu do stawu. Woda po tej stronie jest czysta jak szkło i bardzo głęboka. Przeciwny brzeg, od strony domu Adama, świetnie się nadaje do pływania latem, ale tu przyjdziemy z łyżwami dopiero w grudniu, około świąt Bożego Narodzenia.

Wspiął się na konia, po czym wciągnął żonę i usadził przed sobą na siodle, żeby pokazać jej inne, mniej ponure miejsca.

W jej nowym domu.

Powróciwszy do swojego pokoju, Justine obejrzała zniszczenia, jakim uległa dzienna suknia i pantofle podczas brodzenia wśród liści. Zachowała się głupio, wychodząc do lasu, nie upewniwszy się, dokąd zmierzają Will i księżę. Montague napisał, że gdyby miała dla niego nowe wieści, spotka się z nią obok dębu na początku ścieżki prowadzącej do wsi. Dopóki nie miała pewności, że Margot nic nie grozi, musiała przynajmniej udawać posłuszeństwo i codziennie bywać w wyznaczonym miejscu.

Czy wiedział, że kieruje ją dokładnie tam, gdzie wydarzyło się morderstwo? Tego ranka, po raz pierwszy od lat, nie obudziła jej myśl o zmarłym ojcu. Leżenie w łóżku Willa, choćby przez kilka minut, i myślenie jedynie o minionej nocy miały smak niewyobrażalnej wolności. Rzecz jasna, to nie mogło potrwać długo. Zaraz po śniadaniu musiała podjąć szpiegowanie dla Montague'a.

Udała się na wyznaczone miejsce spotkania, żywiąc nadzieję, że szybko pozbędzie się swego prześladowcy. Zupełnie niespodziewanie przeszłość znów się o nią upomniała. Wiedziała, że musi tam wrócić i dokładniej poszukać.

Oczywiście, minęły lata. Nie mogła liczyć na to, że pozostały jakieś ślady czy dowody. Jeśli naprawdę istniały zaginione diamenty, to wykluczyła, że zostały wciśnięte w jakąś dziuplę, gdzie każdy mógłby je odkryć. Mimo to wiedziała, że tam wróci. Nie potrafi się przed tym powstrzymać.

Jeszcze trudniejsze było zachęcenie Willa do wyteżania pamięci. Przecież równie dobrze mógł powiedzieć: „Oczywiście, to był Hans de Bryun, handlarz diamentów. A ty jesteś jego córką, kobietą, która stała i patrzyła, jak omal mnie nie zamordowano w Bath”. Mimo tego wszystkiego, co między nimi wydarzyło się poprzedniej nocy, zostałyby aresztowana, zanim zdołałaby się wytłumaczyć.

Jednak nie mogła się powstrzymać przed zadaniem pytania. Na szczęście amnezja Williama Felkirka nie ustąpiła. Mimo iż przyznał, że był tam w noc, kiedy popełniono zbrodnię, nie potrafił przypomnieć sobie niczego ważnego, poza zupełnie nieistotnymi szczegółami o ptakach i koronach. A jej ojciec leżał wówczas, krwawiąc, na dębowych liściach u jego stóp.

Nie wolno jej było zapominać, że Will był wtedy dzieckiem, i do tego poważnie chorym. Skoro zdarzyła się śmierć w rodzinie i choroba, wydawało się zrozumiałe, że księżę, zajęty bliskimi nie poświęcił należytej uwagi jej ojcu.

Poznanie ostatnich słów ojca po tych wszystkich latach byłoby dla niej równie cenne jak diamenty. Westchnęła głęboko. Wraz z wydychanym powietrzem wyzbyła się resztek goryczy i złości wobec rodu Felkirków. Życie obeszło się z nią okrutnie, ale musiała przyznać, że oni nie ponosili za to winy. Spacerując po ścieżce, na której

doszło do morderstwa, nie miała powodów sądzić, że nie jest tak bezpieczna, jak twierdził William. Wcześniej wyobrażała sobie dzikie odludzie, gdzie ojciec bałby się chodzić po zmroku. Była jednak pewna, że sprawcą nie był rabuś czy zbójca. Nikt nie mógł przewidzieć, że krzyk ofiary o pomoc nie zostanie wysłuchany z powodu zaabsorbowania chorym dzieckiem. Hans de Bryun nie zginął przez przypadek. Tyle że okoliczności jego śmierci obecnie łatwiej mogła pojąć.

Nie zmniejszało to w niczym jej bólu z powodu straty. Kiedyś pragnęła zemsty, podobnie jak Montague, ale teraz nie znajdowała dla niej logicznego usprawiedliwienia. Księżę, jego żona i William nie ponosili żadnej winy za to, co spotkało jej ojca, a przez to wpłynęło na życie jej i Margot.

Skoro nie oni byli winni, to kto miał na sumieniu śmierć jej ojca? Jeśli ścieżka nie była niebezpieczna, to dlaczego ktoś dopadł na niej ojca? Nocując w miejscowej gospodzie, z pewnością nie rozgłaszałby, że ma przy sobie sakiewkę z cennymi kamieniami. Tymczasem ktoś znał jego plany i czekał na niego na tej ścieżce.

- Mam coś dla ciebie.

William stanął w drzwiach łączących ich pokoje. Wciąż niemal podskakiwała, gdy zniemacka usłyszała jego głos, musiała się tego koniecznie oduczyć. Po ostatniej nocy, po tym, jak spała w jego ramionach, lubiła go słuchać.

- Prezent? Cokolwiek to jest, z pewnością...

- Nie jest konieczne? Przeciwnie, to, co przyniosłem, już do ciebie należy. Powinnaś ją nosić od jakiegoś czasu. - Wyciągnął ku niej zaciśniętą pięść. - Zamknij oczy i wystaw rękę.

Zrobiła, o co prosił, starając się nie okazywać ciekawości. Może chciał odwdzińczyć się za jej zachowanie w łóżku? Dostawała już wcześniej tego rodzaju prezenty, pamiętała rozczarowanie i wstyd, jakie ze sobą niosły. Czyż sama rozkosz nie mogła im obojgu wystarczyć?

Nagle poczuła na otwartej dłoni dotyk chłodnego paseczka metalu. Ogarnęła ją nielogiczna chęć cofnięcia ręki, zanim otworzy oczy i zobaczy to, co tam leży.

- Musiałem ci to obiecać, jestem pewien - rzekł Will. - Należała do mojej matki i schowana czekała na mój ożenek. - Przesząpił z nogi na nogę, jakby się poczuł zakłopotany, że nie może jej dać czegoś lepszego. - Nie jest tak okazała jak obrączka księżnej, oczywiście... choć wątpię, by Penny miała coś przeciwko temu, żeby ci ją oddać, gdybyś chciała. Twierdzi, że jest za duża i przez to niepraktyczna. Wszystkie najcenniejsze klejnoty znalazły się w jej szkatułce, ale odziedziczyli je wraz z tytułem. Ta obrączka należy do mnie, a teraz jest twoja.

Cofnął rękę, odsłaniając delikatną złotą oprawę z pojedynczym brylantem

o rozetowym szlifie. Justine nie zdołała opanować odruchu – czego nie zdążył wpoić jej ojciec, nauczył ją Montague, żeby mogła pracować z nim w sklepie – podniosła kamień ku światłu, wypatrując skaz.

Błękitnawy kamień nie błyszczał pełnym blaskiem jak niektóre diamenty, ale był nieskazitelny, a oprawa niezwykle elegancka. Grawerunek w kształcie łądzyk dopełniał kwiatowego motywu obrączki. Wagę klejnotu, po odjęciu złota, oceniła na nieco ponad jeden karat.

Nie był wart tyle, ile diamenty utracone przez ojca, ale sprzedając go, dostałaby kilka tysięcy funtów. Więcej niż dość, by rozpocząć wraz z siostrą nowe życie, z dala od Montague'a.

- Nie podoba ci się?

Will stał przed nią, gotowy włożyć jej obrączkę na jej palec, tymczasem zamiast wyrazić wdzięczność, obliczała wartość daru od kochanka. Zawstydzona swoim zachowaniem, na moment zamknęła oczy.

- Nieważne, co posiada Penny. To najpiękniejsza obrączka, jaką w życiu widziałam. Nie zamieniłabym jej na inną za nic na świecie.

- Właśnie to miałem nadzieję usłyszeć – odparł Will z uśmiechem satysfakcji.

Justine powiedziała prawdę. Pragnęła tego klejnotu jak żadnego innego. Nie miała własnej biżuterii poza sznurem pereł, które dostała na szesnaste urodziny. Należały kiedyś do jej matki i stanowiły nie tyle prezent, co spadek. Wszystkie inne klejnoty, które przechodziły przez jej ręce, jedynie demonstrowała jako modelka. Była piękną szyją, na której można wieszać biżuterię, żeby Montague mógł ją sprzedać. Dawno przestała ich chcieć dla siebie.

Im dłużej patrzyła na obrączkę od Willa, tym bardziej pragnęła tego wszystkiego, co symbolizowała: bezpieczeństwa, spokoju i przede wszystkim nierozrwalnego związku.

- Pozwól, że ci pomogę. – Chodziło mu, rzecz jasna, o założenie obrączki, ale ton jego głosu kusił ją, żeby mu wyznać, jak wielkiej pomocy potrzebuje. Will mówił dalej szeptem: – Przyjmij tę obrączkę jako znak mojej miłości i wierności. – Rozgrzał złoty krążek na palcu pocałunkiem. – Zgadza się, prawda? Powiedziałem te same słowa, kiedy braliśmy ślub?

Najważniejsze, że wypowiedział je w tym momencie. Czują, że mówił je z głębi serca.

- Są idealne – szepnęła.

Miała na myśli zarówno słowa, jak i obrączkę. Pasowała rozmiarem i ważyła akurat tyle, ile trzeba. Upiększała dłoń. Justine miała ochotę gestykulować, ot tak,

jakby od niechcienia, żeby wszyscy widzieli i zazdrościli jej tego, co dostała od męża. Nie mogła przestać na nią patrzeć i przestać się uśmiechać.

Will odetchnął z ulgą.

- Widzę, że ci się podoba. Czasami się zastanawiam... Jesteś tak cicha i zbyt łatwo cię zadowolić. Nie zawsze potrafię rozpoznać twój nastrój. Nie możesz się skupiać tylko na tym, żebym to ja był usatysfakcjonowany.

- Oczywiście, że mi się podoba - zapewniła. - I... - Urwała, a potem wyrzuciła z siebie: - I kocham mężczyznę, który mi ją dał.

W przeciwieństwie do większej części tego, co mu mówiła, to była prawda. Być może niewygodna. Nadal nie wiedziała, jak się uwolnić od Montague'a albo co będzie, jeśli Will przypomni sobie wydarzenia w Bath. Nawet jeśli nie mieli przed sobą wspólnej przyszłości, musiała mu wyjawiać, co czuje.

Nie było aż tak źle, jak się obawiała. Will zadeklarował daleko idące wsparcie. Wkrótce miała go poprosić o konkretną pomoc i się przekonać, czy dotrzymuje słowa. Jeśli naprawdę go kocha, to powinna wyznać mu prawdę. Jednak nie tego dnia. Chwila była zbyt piękna, by ją zepsuć.

Zarzuciła Willowi ręce na szyję i go pocałowała.

- Kochasz mnie - powiedział, kiedy wreszcie oderwali się od siebie.

Byłoby lepiej, gdyby to on wyznał jej miłość. Nie powinna jednak tego od niego oczekiwać. Niezależnie od tego, że wyjawiała mu uczucie, znał ją dopiero od kilku dni.

Tymczasem ona opiekowała się nim przez wiele tygodni i w tym czasie nie znalazła w nim niczego, co nie byłoby godne podziwu. Znała go lepiej niż siebie samą. Choć ich małżeństwo nie było prawdziwe, to właśnie o takim mogłaby marzyć.

- Kocham cię - powtórzyła - i jeśli nie jesteś zbyt zajęty albo za bardzo zmęczony, chciałabym pójść do twojego pokoju... teraz. - Uśmiechnęła się, tuląc głowę do jego piersi. Palcem ozdobionym obrączką rozpięła guzik jego kamizelki.

- Nie mogę sobie wyobrazić lepszej odpowiedzi na taki prezent ani lepszego sposobu na uczczenie tej okazji - odparł ze śmiechem Will. Pocałował ją w czubek głowy. - Czy przed wypadkiem mówiłem ci, jaka jesteś cudowna, moja piękna Justine?

- Nie przypominam sobie, ale możesz powiedzieć to teraz, jeśli tak uważasz.

- Później. W tym momencie chcę ci bardziej namacalnie zademonstrować moje uczucia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Minął zaledwie niecały tydzień, odkąd przenieśli się do starej siedziby rodu, a ich życie małżeńskie układało się doskonale. Justine tak się przyzwyczaiła do bycia żoną Williama, że prawie zapomniała o tym, iż jedynie odgrywa tę rolę. Uwielbiała ich wspólne posiłki i spokojne wieczory z robótką i powieściami. Najbardziej lubiła to, co się działo później, w sypialni Williama. Nawet jeśli tylko spali wtuleni w siebie, czuła ciepło miłsze od bijącego od kominka w salonie i spokój, jakiego wcześniej nigdy nie zaznała.

Radość z przyjazdu siostry mącił strach, że Montague przejrzy jej plan i nie pozwoli go zrealizować. Do tego momentu udawało jej się unikać tego człowieka. Trzydniowe ciągłe opady uniemożliwiały wędrówkę po lesie. Namówiła Willa na wysłanie powozu naprzeciw dyliżansu i odebranie Margot z Cardiff, żeby siostra nie spotkała się z ich opiekunem w miejscowej gospodzie. Mimo to pozostało jeszcze wiele spraw, które mogły pójść źle.

Na przykład po przybyciu do ich domu Margot mogła wypaplać prawdę albo zadawać kłopotliwe pytania, na które nie dało się odpowiedzieć. Justine chcąc oszczędzić młodszą siostrę, zataiła przed nią charakter swoich stosunków z Montagiem. Margot uważała go za podstarzałego poczciwca i nie miała pojęcia, dlaczego siostra chce ją przed nim chronić. Najbardziej niebezpieczny był brak świadomości zagrożenia.

Gdy wreszcie nadszedł dzień przybycia Margot, Justine nerwowo krążyła po domu, co rusz wypatrując przez okno nadjeżdżającego powozu.

- Nie musisz się martwić - próbował ją uspokajać William. - Przekonałem Adama, żeby wysłał mocny zaprzęg. Podróż będzie wygodna, stangret zachowa najwyższą ostrożność.

Justine uśmiechnęła się na myśl o minie Margot, kiedy zobaczy na drzwiach herb Bellstonów, a potem lokaj w liberii zgłosi się do panny de Bryun, żeby zaoferować jej swoje usługi. Nawet jeśli to wszystko stwarzało jedynie iluzję, Margot zapamięta ją i będzie opowiadać dzieciom... o ile będzie je miała. Szansa na to, że jednak założy rodzinę, powinna znacząco wzrosnąć od chwili, kiedy znajdzie się poza zasięgiem Montague'a.

W końcu usłyszała dobiegający z oddali brzęk uprzęży i zaraz przy wejściu rozległy się nawoływania ochmistrza i lokaja, gotowych witać nowych gości. Szybko

wyszła do holu i wyminęła służbę, żeby jako pierwsza stanąć przy schodkach powozu.

Margot zastygła na moment bez ruchu w otwartych drzwiach, a potem wyraźnie oszołomiona zeszła po stopniach, cały czas wpatrzona w potężną budowlę, przed którą ją dowieziono. Nim zdążyła się odezwać, Justine porwała ją w ramiona.

Tak się cieszyła, że znów widzi siostrę, że na chwilę zapomniała o wszystkim innym. Od okresu, gdy były razem, minęło wiele miesięcy, a jeszcze więcej od czasu, kiedy mogły ze sobą swobodnie rozmawiać. Na to musiały jeszcze trochę poczekać, ale na razie można było odnieść wrażenie, że ich kłopoty dobiegły końca.

- Uważaj na to, co mówisz, Margot - po francusku szepnęła wprost do ucha siostry. - Sytuacja jest skomplikowana. Wkrótce ci wszystko wyjaśnię. Na razie musisz wiedzieć tylko tyle, że jestem żoną lorda Felkirka i to jest mój dom.

- Na razie? - wydukała zaskoczona Margot. Dała się wprowadzić do holu, gdzie szeroko otworzyła oczy na widok imponujących schodów, pozostałych z zamku, który był pierwotnie siedzibą rodu. - Twój dom? *C'est magnifique*.

- Owszem - przyznała szeptem Justine.

- Jest także twoim domem, moja droga. - William pojawił się w holu we właściwym momencie, by usłyszeć komplement pod adresem miejsca, które było mu tak drogie. Wyciągnął rękę do powitania. - Czas na wzajemną prezentację, jak sądzę. - Spojrzał na Justine wyczekująco, z szerokim uśmiechem, dowodzącym, że oficjalne zachowanie stanowi jedynie formę żartu.

Justine poczuła dumę, widząc podziw w oczach Margot, kiedy patrzyła ona na Williama. Nawet w najgorszym okresie, gdy leżał nieprzytomny, Justine uważała, że jest przystojnym mężczyzną. Tego dnia jednak najwidoczniej poprosił Stewarta o wyjątkowo staranny dobór ubioru, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie na gościu. Miał na sobie ciemnogrnatowy surdut z najprzedniejszej wełny, śnieżnobiały fular podkreślał wyrazistość rysów i pogłębiał błyszczącą czerń włosów. Zamiast drewnianej laski, której zwykle używał w domu, wybrał na tę okazję hebanową laskę ze srebrnymi wykończeniami i główką z kości słoniowej. Tak eleganckim jeszcze go nie widziała; przypuszczała, że przystojniejszy od niego mężczyzna nie znalazłby się nawet w Londynie. Sądząc po minie, Margot uważała tak samo.

- Lordzie Williamie Felkirk, pozwalam sobie przestawić moją siostrę, pannę Margot de Bryun.

Will skłonił się uprzejmie w odpowiedzi na spłoszone dygnięcie dziewczyny, po czym szerokim gestem wskazał na wnętrze domu.

- Nie będziemy tutaj stać. Proszę, moja droga, wejdź i się rozgość. Może masz

ochotę na coś do jedzenia? Albo potrzebujesz odpoczynku po podróży? Pokój dla ciebie jest już gotowy. W naszym londyńskim domu także będziesz miała pokój do swojej dyspozycji. Kiedy się zadomowisz, pošlę po resztę twoich rzeczy.

- Moich rzeczy? - Najwyraźniej Margot nie przyszło do głowy, że przyjechała do domu siostry i szwagra na stałe. - Muszę wracać do szkoły - rzuciła półszepem do siostry. - Pan...

Justine nie chciała, by padło nazwisko ich opiekuna czy choćby słowo o jego życzeniach wobec Margot.

- Teraz, kiedy jestem mężatką, wolę, żebyś mieszkała z nami - oznajmiła.

- W każdym razie powinnaś rozważyć przenosiny do bliżej położonej szkoły - dodał Will. - Siostra bardzo za tobą tęskniła, a ja nie chcę, żeby się czuła nieszczęśliwa choćby przez chwilę. - Uśmiechnął się tak czarująco, że Margot nie była w stanie odmówić.

Lekko skołowana, pokiwała głową, zapominając o opiekunie.

- Jest pan bardzo wielkoduszny, milordzie.

- Nazywaj mnie Williamem, proszę, albo Willem. Należysz do mojej rodziny, tak jak Justine. Twoja siostra pokaże ci pokój i oprowadzi cię po domu. A potem może napijemy się razem herbaty w ogrodzie. Wieczorem zjemy kolację z księciem i księżną, którzy bardzo chcą cię poznać.

Justine niepotrzebnie się martwiła, że siostra może nieopatrznie coś wypaplać, bowiem Margot, już wcześniej onieśmielona, dosłownie oniemiała z wrażenia na wiadomość, że będzie zasiadać przy jednym stole z tak znakomitymi osobami.

- Chodź - ponagliła ją Justine, pociągając za rękę w stronę schodów. - Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Mamy mnóstwo do omówienia, bo przecież nie widziałyśmy się od bardzo dawna.

- Racja - potwierdziła Margot.

Kiedy wchodziły po schodach, obejrzała się przez ramię na nowo poznanego szwagra. W pokoju usiadła na brzegu łóżka i nacisnęła materac, z zadowoleniem oceniając jego miękkość. Dopiero potem spojrzała z zaciekawieniem na starszą siostrę. Justine usiadła obok niej, niepewna, od czego powinna zacząć, a tymczasem Margot wyciągnęła przed siebie ręce, jakby się spodziewała wprost do nich otrzymać wyjaśnienie.

- Powiesz mi, co to wszystko znaczy, czy mam się sama domyślić? I niech ci się nie wydaje, że możesz mnie okłamywać, Justine. Przynajmniej nie bardziej niż do tej pory.

Justine zachnęła się, ugodzona oskarżeniem.

- Kiedy cię okłamałam?

- A kiedy powiedziałaś mi prawdę? Prawie wcale się do mnie nie odzywasz, jeśli odzywaniem się można nazwać rzadkie listy, które przysyłasz mi do Canterbury.

- W sklepie było dużo pracy - próbowała się tłumaczyć Justine. - Nie miałam czasu na pisanie.

- Skoro jest tyle pracy, to powinnam być z tobą i ci pomagać - odparła Margot. - Wtedy mogłybyśmy rozmawiać do woli.

- Sklep nie jest odpowiednim miejscem dla wrażliwej dziewczyny - stwierdziła z mocą Justine.

- To sklep jubilerski, nie szynk z piwem - rzuciła zaczepnie Margot. - A ty pracujesz w nim od czasu, gdy byłaś o dwa lata młodsza niż ja teraz.

Justine omal nie otrząsnęła się z odrazą na wspomnienie prawdziwej natury ówczesnych obowiązków. W wieku siedemnastu lat była bardziej naiwna niż Margot i łatwo wpadła w pułapkę zastawioną przez Montague'a. Powtórzyła to, co mówiła za każdym razem, kiedy siostra domagała się jej zgody na powrót do Bath.

- Może kiedy zakończysz edukację...

- Mam jej aż za dużo, żeby zająć swoje miejsce w rodzinnej firmie - upierała się Margot. - Jestem starsza od większości dziewcząt w szkole i przyswoiłam już sobie wszystko, czego mogłam się nauczyć. Wszyscy zwracają uwagę na to, że przebywam tam również w wakacje, jakbym w ogóle nie miała rodziny. - Zrobiła minę, jakby zaraz miała się rozplakać. - Czymkolwiek sobie zasłużyłam na twoje odrzucenie, przepraszam. Dowiodę, że się poprawiłam, jeśli tylko pozwolisz mi wrócić do domu.

- Nie myśl tak - poprosiła Justine, obejmując siostrę serdecznie. - Nie zrobiłaś nic złego. Postępowałam tak, żeby cię chronić.

- Dlaczego miałabym potrzebować ochrony? Czemu muszę pozostawać w szkole, tak daleko od ciebie? Nie możesz mi przynajmniej tego wyjaśnić?

Justine przytuliła Margot mocniej i poczuła, jak łyzy siostry moczą suknię na ramieniu. Tak wiele przed nią ukrywała jedynie dla jej dobra. Co mogłaby teraz powiedzieć, żeby usmierzyć jej lęki?

- Nie płacz, siostrzyczko. Nasza rozłąka dobiegła końca. Będiesz mieszkać tutaj z lordem Felkirkiem i ze mną. Nigdy nie chciałam naszej rozłąki. Sytuacja w Bath była... skomplikowana.

Margot uniosła głowę i wywróciła oczami.

- Jeśli chodzi o ciebie i pana Montague'a, to już wiem.

Justine zeszywniała, zdjęta grozą.

- Widziałam, jak on na ciebie patrzy - powiedziała z uśmiechem Margot. - Podpatrzyłam też, jak cię całował, kiedy oboje nie zdawaliście sobie sprawy, że jestem w pobliżu.

- Wiesz? - Margot nie mogła znać całej prawdy, uznała Justine, bo nie mówiłaby lekkim tonem o upadku własnej siostry.

- Oczywiście, to jasne, że mu się podobasz. Pewnie chce się z tobą ożenić, chociaż opiekunowi chyba coś takiego nie przystoi. - Ściągnęła brwi. - Od dawna jesteś pełnoletnia, a nie słyszałam o zaręczynach, więc zakładam, że ty nie byłaś zainteresowana. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego tak szybko wyszłaś za innego i czemu od razu mnie o tym nie powiadomiłaś. - Najwyraźniej Margot czuła się urażona.

Justine pogłaskała ją po włosach i cmoknęła w policzek.

- Przepraszam, ale sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż mogłabyś sobie wyobrazić.

Zawsze praktycznie myśląca Margot odsunęła się od siostry i przechyliła głowę na bok.

- Nie rozumiem dlaczego. Zakładam, że trzymałaś mnie w niewiedzy, bo nie powiedziałaś panu Montague'owi o swoim ślubie. Jako osoba pełnoletnia, możesz postępować, jak chcesz, bez jego pozwolenia. Nieważne jego zranione serce, jeśli jesteś szczęśliwa z innym. Po prostu upomnij się o swoją część majątku i już. Jak chcesz, to sama wrócę do Bath i cię wytłumaczę.

- Nie możesz tego zrobić. Nie poinformowałam cię wcześniej, bo tak naprawdę nie jestem żoną Willa.

Margot otworzyła usta ze zdziwienia.

- Jesteś jego kochanką?

- Nie, to też nie tak. - Jak się wytłumaczyć? - Zdarzył się wypadek - zaczęła. - Lord Felkirk odniósł ranę, a ja byłam za to odpowiedzialna. On nie pamięta nic z naszego spotkania ani z tego, co działo się później. Przywiozłam go tutaj i wyjaśniłam jego krewnym, że jesteśmy małżeństwem.

Margot parsknęła śmiechem.

- Jak w ogóle poznałaś tego człowieka, nie mówiąc już o spowodowaniu wypadku?

- To też będzie trudne do wytłumaczenia. - Justine wzięła siostrę za rękę. - W chwili śmierci nasz ojciec był tutaj, Margot. Na drodze, która biegnie niedaleko tego domu. To lord Felkirk go znalazł. Odszukał mnie w Bath, twierdząc, że znalazł diamenty, ale wtedy... zdarzył się wypadek.

Margot wyszarpnęła dłoń z uścisku siostry.

- Udajesz mężatkę, żeby odszukać kamienie.

- Należą do nas. Musimy je znaleźć. Jeśli je sprzedamy, to będziemy mieć pieniądze na resztę życia, a nawet więcej. Nie będziemy musiały w ogóle wracać do Bath.

Ta wiadomość rozczarowała Margot bardziej niż wszystkie poprzednie.

- Już teraz nie jesteśmy biedne. Czy połowa sklepu nie należy do nas?

- Owszem - przyznała Justine - ale to nie to samo co gotówka w sakiewce. Pan Montague...

- ...prowadził obie połowy przez lata - wpadła jej w słowo Margot. - Dopóki to przynosi zysk, nie widzę powodu, żeby nadal nie miał tego robić. Może ci się to nie podobać, droga siostrzo, ale kiedy osiągnę odpowiedni wiek, zamierzam mu w tym pomagać. Możesz mi wmawiać, że to niestosowne, ale wiem o kamieniach tyle co ty i jestem zdecydowanie lepsza w rachunkach niż w dzierganiu koronek.

O takiej przyszłości Justine nie pomyślała. Kiedy Margot osiągnie pełnoletność, Montague może przestać zagrażać jej czci i pozwoli jej wyjść za mąż. Jednak jeśli siostra uprze się na powrót do starego domu, wpadnie w pułapkę. Jedynym wyjściem było sprzedanie firmy i zaczęcie od nowa.

- Ojciec nie życzyłby sobie, byśmy pozostały wspólniczkami pana Montague'a - zaczęła tak delikatnie, jak tylko się dało. - Chciałby, żebyśmy znalazły diamenty i zabrały je jako nasz prawdziwy spadek albo może zwróciły się o pomoc do księcia Bellston. Gdyby chciał, żebyś prowadziła firmę, widziałby cię raczej w twoim własnym sklepie niż związaną z panem Montagiem.

Siostra z westchnieniem wzięła ją za rękę.

- Justine, minęło dwadzieścia lat, a ty nadal mówisz o szukaniu sprawiedliwości dla ojca i odzyskiwaniu tego, co kiedyś należało do nas. Miałaś przez to tylko same kłopoty. Dowodem ta cała maskarada z udawaniem żony lorda Felkirka.

- Mam swoje powody - powiedziała Justine, starając się nie okazać rozczarowania.

Margot pokręciła głową.

- Nie rozumiem, jakie one mogą być. Wiem tylko, że musisz dać spokój tej pogoni za utraconym rodzinnym skarbem. Może zachowujesz się tak, bo pamiętasz ojca i nasze dawne życie w Belgii. Natomiast on zmarł, zanim się urodziłam. Matka umarła, kiedy byłam mała. Nie poznałam niczego poza Anglią, szkołą i panem Montagiem. Może jest trudny, ale nie taki znów zły.

- On jest zły, Margot - podkreśliła Justine, gotowa wyjawić prawdę. - Nie mogę do niego wrócić i tobie też na to nie pozwolę.

- W jaki sposób byś mnie powstrzymała? - spytała rzeczowym tonem Margot. - Niebawem będę mogła sama zdecydować i popełniać własne błędy. - Uniosła brwi. - Nie sądzę jednak, żebym skończyła w udawanym małżeństwie z obcym człowiekiem. Nie pojmuję, jak ci się udaje z nim nie sypiać. - Po krótkiej pauzie podjęła zatroskanym głosem. - Lord Felkirk jest bardzo przystojnym mężczyzną i do tego miłym. Wierzę, że nie upadłaś na tyle nisko, by zapomnieć o godności i przekonać go, że naprawdę jesteś jego żoną. Gdyby matka żyła, powiedziałyby ci, że cnota jest cenniejsza od diamentów, za którymi się uganiasz.

- Lord Felkirk był ciężko chory. Wciąż jest bardzo słaby. - Justine miała nadzieję, że to wystarczy, by uspić podejrzenia siostry.

- To dobrze. - Margot westchnęła z ulgą. - Wolałabym nie wiedzieć, że cenisz się tak nisko, by wykorzystywać okazję do zapewnienia sobie męskiej opieki. Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że temu człowiekowi bardzo na tobie zależy. Powiedz mu prawdę najszybciej, jak to możliwe. Prawdopodobnie ci wybaczy i ożeni się z tobą, a wtedy nie będziesz musiała się o nic martwić. Tylko pod tym warunkiem u was zamieszkać, przynajmniej do czasu uzyskania pełnoletności. Tu jest znacznie milej niż w szkole. - Podskoczyła na materacu i z uznaniem pogładziła jedwabną narzutę.

- Zrobię tak, jak sobie życzysz, kiedy będę mogła - obiecała z westchnieniem Justine - ale jeszcze nie teraz. Za wcześniej na wyjawienie całej prawdy. Na razie musisz dochować tajemnicy. Możesz mi to przyrzec?

Margot opadła plecami na łóżko i wbiła oczy w sufit, jakby miała dosyć siostry, jej zmartwień i skomplikowanych problemów.

- Oczywiście, że dochowam, jednak nie czekaj zbyt długo. Ze względu na lorda Felkirka musisz być szczerą.

Tego wieczoru w domu księcia wydano kolację na cześć gościa. Margot już wcześniej pod wrażeniem tego, co widziała w domu Williama, wprost oniemiała, słysząc o zaproszeniu ze strony księcia i jego żony. Justine żywiła nadzieję, że przyjmując zaproszenie, nie nadużywają gościnności. Książę Bellston był w raczej milczącym nastroju, ciepło przywitał brata, ale do Margot i Justine odniósł się z pewną rezerwą.

Natomiast Penny, pełna wdzięku i serdeczna jak zwykle, dokładała starań, by panna de Bryun czuła się jak najlepiej. Pochwaliła edukację dziewczyny, gdyż przepytawszy ją z łaciny i greki, uznała, że z obu prezentuje całkiem dobry poziom.

Daphne Colton skomentowała komplement, przybierając powątpiewający wyraz

twarzy:

- Tego rodzaju umiejętności gwarantują staropanieństwo, jeśli je pani zaprezentuje w Londynie, panno de Bryun. Jest pani równie piękna jak siostra, zadbamy więc, żeby do tego nie doszło. - Sięgając ponad stołem, dotknęła policzka Margot i obróciła jej głowę bokiem, żeby obejrzeć profil. - Jeśli się pani modnie ubierze, wszystkie konkurentki będą się mogły schować. Musimy panią zabrać na zakupy.

- Nawet ja wiem, że w okolicy nie ma odpowiednich sklepów - stwierdziła ze śmiechem Penny.

- Są w Londynie - nie dała się zbyć Daphne. - Nic się tam teraz nie dzieje, ale na Bond Street chętnie przyjmą klientki. - Zwróciła się do Justine: - Poczyniono już dla niej plany na sezon? Jest bliska pełnoletności, prawda? Trochę późno na debiut, ale skoro odbędzie się pod patronatem księżnej, nie powinno być problemu. Teraz, kiedy Will ma się już lepiej, moglibyśmy wszyscy wyjechać na tydzień lub dwa na południe.

Speszona Margot zerknęła na siostrę. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć na tak wielkoduszną propozycję.

Londyn był ostatnim miejscem, w którym Justine chciałyby się znaleźć. Zwracanie uwagi na fakt, że Margot nie przebywa w Canterbury, gdzie chciał ją widzieć Montague, niosło ze sobą poważne zagrożenie.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Koszty...

Daphne przerwała jej niedbałym machnięciem dłoni.

- Mają się nijak do tego, co zyska przez dobre zameście. Z pewnością Will znajdzie odpowiednie fundusze. Byłaby wielka szkoda, gdyby taka śliczna dziewczyna została starą panną, nie sądzisz, Penny?

- Nie sądzę, żebyśmy miały prawo wypowiadać się w tej sprawie bez zasięgnięcia opinii panny de Bryun - odparła z uśmiechem księżna, spoglądając na Margot. - Może ma ważniejsze cele w życiu.

Margot zamrugła oczami, nadal zdziwiona, że rozmowa cały czas jej dotyczy.

- Chyba nie mam nic przeciwko małżeństwu - zaczęła ostrożnie - o ile kandydat byłby równie miły jak lord Felkirk. - Obejrzała się szybko na siostrę. Justine miała ochotę kopnąć smarkulę w kostkę, ale siedziała za daleko. - Jednak od jakiegoś czasu planowałam zająć się sklepem jubilerskim.

Justine zastygła z widelcem w połowie drogi do ust. Ostrzegając siostrę, że należy unikać niektórych tematów; czyżby nie pamiętała, że ten był jednym z najważniejszych?

- Czasami mam wrażenie, że mojej żonie też by się to podobało - odezwał się z westchnieniem Tim Colton. - Za każdym razem, jak jadę do miasta, każe mi kupować dla siebie mnóstwo klejnotów. Nie mam pojęcia, po co jej aż tyle. Ostatecznie ma tylko jedną szyję.

Margot już otwierała usta, by sprostować nieporozumienie, lecz nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Daphne wybuchnęła perlistym śmiechem.

- W takim razie musimy dopilnować, żeby twój mąż był tak samo miły i chętny do rozpieszczania żony jak mój.

Justine zdołała pochwycić spojrzenie siostry i przekazać jej niemy sygnał, że powinna zamilknąć. Następnie wdzięcznym gestem uniosła dłoń, by pokazać obrączkę otrzymaną od Willa.

- Mnie całkowicie wystarczy do szczęścia pojedynczy, idealny prezent. - Skinęła głową w stronę uśmiechniętego męża i przyjęła komplementy od pozostałych pań przy stole, które zgodnie przyznały, że obrączka rzeczywiście jest śliczna.

Tylko ksiązę się nie odzywał, siedział zamyślony, z zaciśniętymi ustami.

Dochodziła północ, kiedy Will zdecydował się w końcu wezwać powóz. Chętnie by został w gościnie jeszcze parę godzin, partnerując szwagierce w wista, podczas gdy Justine siedziała nad swoją robótką, ale panna de Bryun niemal zasypiała nad kartami, prawdopodobnie zmęczona długą podróżą do Walii.

Adam wyszedł za bratem do holu. Jego kroki na marmurowej posadzce brzmiały ostro, niemal po wojskowemu, kiedy starał się dogonić Willa.

- Chwileczkę, muszę zamienić z tobą słowo, zanim wyjedziesz.

William odwrócił się i czekał. Już podczas kolacji zauważył dziwne zachowanie brata i spodziewał się, że zaraz się dowie, co było jego powodem.

Ksiązę obejrzał się na otwarte drzwi salonu, gdzie Justine i jej siostra zegnały się z gospodynią.

- Wyszło na jaw coś, co dotyczy okresu, kiedy cię z nami nie było. Jutro przyjadę po ciebie powozem. Powiedz każdemu, kto by pytał... - Zawiesił głos, jakby szukał w głowie odpowiedniego kłamstwa, i po chwili dodał: - Powiedz, że zamierzamy kupić konia. Do jutra zachowaj ostrożność.

- W jakim sensie? - spytał Will. Jakie ryzyko mogła nieść krótka podróż do własnego domu i noc spędzona w łóżku?

Adam nie zdążył odpowiedzieć, bo panie dołączyły do nich w holu, więc tylko ostrzegawczo pokręcił głową, po czym skupił się na wychodzących gościach. Osoba niewtajemniczona nie widziałaaby nic szczególnego w jego zachowaniu. Jego

książęca mość zawsze doskonale wypełniał obowiązki gospodarza.

Jednak Will znał go całe życie i trafnie odczytał zmianę nastroju. Adam odgrywał pewną rolę, tak jak w Londynie, gdy zajmował się polityką. Prawdziwe odczucia, jakiegokolwiek one były, skrywał tak głęboko, że Will mógł je poznać dopiero następnego ranka.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Wyjawisz mi cel tej wyprawy? Czy wolisz, żebym się domyślał?

Pytanie Willa spotkało się z milczeniem ze strony księcia, który siedział naprzeciwko i wpatrywał się w okno powozu, jakby nie usłyszał brata.

Po ostrzeżeniu, jakie padło z ust Adama, Will spodziewał się, że może zostać zaatakowany podczas jazdy powrotnej do domu. Jednak krótka podróż minęła spokojnie. Margot przez całą drogę paplała bez wytchnienia, zauroczona książęcą siedzibą, kolacyjnym menu i gościnnością obojga gospodarzy. Justine uśmiechała się pod nosem i próbowała uciszyć siostrę, zapewniając ją, że zrobiła na książęcej parze doskonałe wrażenie. Wysławszy dziewczynę do jej pokoju, położył się do łóżka wraz z Justine, która po raz kolejny dowiodła, jakim jest szczęściarzem, że tak dobrze się ożenił.

Will uśmiechnął się do brata i pomachał mu przed nosem, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Mówiłeś, że chodzi o mój zanik pamięci. Jeśli właśnie odwozisz mnie do aresztu za jakieś przewinienie, to mogłeś mi przynajmniej pozwolić odpowiednio pożegnać żonę.

Adam pokręcił głową.

- Nie chodzi o żadne twoje wykroczenie. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - Sytuacja zaczynała budzić w Willu już nie irytację, lecz poważny niepokój.

- To, że nie wiem, co powiedzieć, dopóki nie zobaczę na własne oczy tego, co Jenks mi opisał, i twojej reakcji. Jeśli się mylimy, a modłę się, by tak było, to lepiej, żebym w ogóle nic nie mówił.

- Zatem świetnie. Utrzymuj dalej sekret, ale chociaż mi powiedz, dokąd jedziemy.

- Podróżowali już prawie godzinę i w Willu kiełkowała obawa, że zmarnuje cały dzień.

- Już niedaleko - zapewnił go książę. - Jeszcze trochę i dotrzemy do gospody Pod Lisem i Zającem. Nieczęsto się tam zatrzymujemy. Rozwadniają piwo, dolewając wody, a jedzenie jest co najwyżej przeciętne. Jednak wczoraj, podczas podróży panny de Bryun, wyniknął problem z kołem powozu i postój okazał się konieczny. Jenks zauważył w stajni coś ciekawego i chciał, żebyśmy się wypowiedzieli.

- Mam obejrzeć konia? - domyślił się Will. Nie przypuszczał, że uwaga rzucona poprzedniego wieczoru będzie miała taki skutek. - Nie chcę kupować konia, jeśli

tak ci powiedziano. Tak czy inaczej, dziś nie jestem gotowy dokonać takiego zakupu.

Adam znów pokręcił głową.

- Myślę, że ten koń cię zainteresuje. Najpierw musimy go zobaczyć.

Wkrótce potem zajechali na plac przed gospodą i udali się, wraz z woźnicą i Jenksem, do budynku, gdzie trzymano konie. Stajenny przestępował nerwowo z nogi na nogę.

- Pomyślałem, że zechce pan o tym wiedzieć, milordzie. Na pewno uzna pan nas za głupców i od razu zauważy różnicę.

- Nie ma żadnej różnicy - przerwał mu Jenks. - Dobrze rozpoznaliśmy, ale tylko lord Felkirk może to potwierdzić.

- Co potwierdzić? - Cierpliwość Willa stopniowo się wyczerpywała. - Nadal nie mam pojęcia, o czym mowa.

W połowie rzędu, z najbliższego boksu, dobiegł łomot kopyt uderzających o deski.

- Na tego trzeba uważać! - zawołał chłopiec stajenny. - Ledwie dajemy z nim radę.

- My z pewnością sobie poradzimy - oznajmił Will, mocniej ściskając główkę laski.

Stanęli przed zwierzęciem, przed którym ich ostrzegano. Na dźwięk głosu Willa koń przeraźliwie zarżał.

Lord Felkirk doskonale znał ten dźwięk.

Tyle że to przecież niemożliwe... Z drugiej strony, miał nie wierzyć własnym uszom i oczom? Odrzucił laskę i dotknął końskiej szyi.

- Powiedz im, że są głupcami i że wszystkie kare konie wyglądają podobnie - odezwał się Adam takim tonem, jakby sugerował bratu pożądane rozwiązanie problemu.

Jednak tego rodzaju stwierdzenie byłoby głupotą. Nie wszystkie kare konie wyglądały tak samo, podobnie jak nie wszystkie kobiety o złotorudych włosach przypominały Justine. Ten koń wyglądał zupełnie jak Jupiter... ponieważ był Jupiterem. Will przejechał otwartą dłonią po końskiej łopatce; znajdowała się dokładnie na tej samej wysokości, jaką zapamiętał.

Zwierzę natychmiast się uspokoiło. Bynajmniej nie dlatego, że Will miał jakiś specjalny dar obchodzenia się z końmi, tylko po prostu rozpoznało dotyk, tak jak wcześniej głos.

- Witaj, stary druhu. Minęło sporo czasu, co? Tęskniłeś za mną?

William odchylił głowę, żeby spojrzeć koniowi w oczy, na co ten jakby twierdząco

pokiwał wielkim łbem. W odpowiedzi pogładził miękkie czarne chrapy, a koń szturchnął go pyskiem w kieszeń, gdzie spodziewał się znaleźć kostkę cukru.

Czy rzeczywiście to Jupiter? - zawahał się Felkirk.

Wielu ludzi jeżdżących konno nosiło przy sobie cukier. Może czarny ogier nie dawał mu żadnych wskazówek ani go nie rozpoznawał, tylko prezentował wyuczone zachowanie? A on widział to, co chciał widzieć, i słyszał to, co chciał słyszeć? To jednak nie może być Jupi. Prawdziwy Jupiter zginął na skutek tego samego wypadku, w którym on doznał urazu.

Will przeszedł w głąb boksu, sunąc dłonią po końskim grzbiecie. Na zadzie znajdowała się widoczna, choć nieznaczna plamka siwych włosów. Zbadał dotykiem skórę nieco poniżej i wyczuł prostą linię blizny z czasów, gdy zdarzył im się upadek przy pokonywaniu płotu w czasie polowania. Zamartwiał się, prowadząc młodego wówczas Jupitera do stajni, a potem doglądał go troskliwie, dopóki zadrapanie się nie zagoiło. Koń powinien mieć też inne blizny. A może Justine została błędnie poinformowana co do powagi urazu Jupitera? - zastanawiał się Will. Jednak upadek w Bath, który omal nie pozbawił go życia, musiał się odbić na kondycji wierzchowca. Obmacał dokładnie kłęb, grzbiet i nogi aż do kopyt, ale niczego nie znalazł. Jupi był tak samo cały i zdrowy jak w dniu, kiedy Will wyruszał do Bath, żeby się spotkać z niejakim Montagiem.

Montague!

Nagle stanęło mu przed oczami pojedyncze wspomnienie: szukając prezentu dla bratanka, znalazł w komodzie w pokoju dzieciennym sakiewkę. Niewielki woreczek z jedwabiu i aksamitu, który służył mu do przechowywania ładnych kamyków. W istocie była to jubilerska sakiewka na nieoprawione szlachetnie kamienie. Gdzie ją znalazł?

W lesie.

Oparł się o szyję Jupitera, gorączkowo szukając w myślach reszty tamtej historii.

- Milordzie? - Jenks zbliżył się zaniepokojony, że zachowanie lorda Felkirka jest oznaką zaśląbnienia.

Will uspokoił jego obawy niecierpliwym machnięciem dłoni.

- Mielście rację. To jest Jupiter.

- Wiesz, co to oznacza? - odezwał się Adam pełnym gorzkiego głosem.

Co miał mu odpowiedzieć? Czy rzeczywiście wiedział? Nie, wcale nie. W przeciwieństwie do brata znał trochę faktów. Po znalezieniu sakiewki przepytął najstarsze osoby ze służby, próbując odtworzyć historię morderstwa sprzed lat. Handlarz diamentów zginął, a kamienie skradziono. Nikt nie potrafił sobie

przypomnieć nic więcej.

Wyśledził pochodzenie sakiewki dzięki monogramom wyszytym na jedwabiu: splecionym literom M i B, Montague i de Bryun, w haftowanej złotej koronie. Pojechał do Bath z nadzieją uzyskania jakichś informacji o zaginionych diamentach.

Kobieta w sklepie była stanowczo zbyt piękna jak na zwykłą ekspedientkę. Miała na sobie atlasową suknię, przesadnie strojną jak na porę dnia; zbyt głęboko wycięty dekolt ukazywał mleczną szyję ozdobioną szmaragdami. Upięte wysoko włosy odsłaniały kolczyki stanowiące komplet z naszyjnikiem. Ręce sprawiały wrażenie ciężkich od licznych pierścionków i bransoletek. Wyglądała jak żywy posąg obwieszony klejnotami, który miał zachęcać klientów do zakupów, prezentując bogactwo sklepowej oferty.

Twarz kobiety również kojarzyła się z posągiem, jej wyraz był równie kamienny, a oczy zdradzały znajomość życia, wybiegającą zdecydowanie poza młody wiek. W uprzejmym uśmiechu brakowało choćby cienia wesołości.

Montague wyszedł z zaplecza i popatrzył na nią, przenosząc szybko wzrok z klejnotu na klejnot, jakby liczył swoje dobra. Szczególny błysk w jego oczach wskazywał, że czuje się właścicielem nie tylko biżuterii, którą młoda kobieta miała na sobie. Kiedy wreszcie skierował spojrzenie na Willa, było w nim ostrzeżenie, że wprawdzie klienci mogą patrzeć na towar i prezentującą go piękność, ale niczego nie wolno im dotykać.

A potem, ku zgrozie Willa, przedstawił mu tę kobietę jako córkę de Bryuna.

Montague wydawał się Willowi znajomy. Był pewien, że wcześniej widział tę twarz. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach. Został wprowadzony do pomieszczenia na tyłach sklepu, żeby swobodnie porozmawiać, jednak Montague szybko zaczął okazywać zdenerwowanie prostymi, niewinnymi pytaniami Willa. Zyskał pewność, że nie dowie się niczego ponad to, co już wiedział. Odwróciwszy się do wyjścia, zobaczył tę kobietę. Stała w drzwiach, zagradzając mu drogę.

Po chwili przeszył go ból. Zapamiętał jeszcze spojrzenie jej zielonych oczu, nim zagarnęła go ciemność.

Wiedział już, co się stało, ale nadal nie miał pojęcia, jak mogło do tego dojść.

- Pytałem, czy wiesz, co to oznacza? - Adam szarpał go za ramię. - Okłamała nas, Will. Przyjąłem ją do swojego domu. Traktowałem jak członka rodziny. Namawiałem cię, żebyś jej zaufał.

Gdyby nie szok z powodu nagłego odkrycia prawdy, lord Felkirk pewnie by się roześmiał. Oto książę Bellston lamentował nad swoim urażonym honorem i niecnie

wykorzystaną gościnnością. Jakby te rzeczy były gorsze od przeżycia próby morderstwa i zakochania się w jednej z jego niedoszłych sprawczyń. Jak bardzo musiało ją bawić, że tak łatwo dał sobą manipulować...

- Ciekawe, czy w tym, co mówiła jest choć ziarno prawdy? Nie obawiaj się, zaraz wezwę straż i zostanie niezwłocznie aresztowana. Wtedy wyśpiewa nam całą prawdę. Jej siostra również. Dziewczyna prawdopodobnie pomagała w spisku.

- Nie zrobisz tego. - William w końcu zdołał wydobyć z siebie głos. Poklepał konia ostatni raz i odwrócił się do brata, uciszając go spojrzeniem. - Wsiądziesz do powozu, wrócisz do domu i nie piśniesz nikomu ani słowa. - Przeniósł wzrok na Jenksa. - Dowiedz się wszystkiego, co zdołasz o człowieku, który zostawił tu tego konia. Jeśli nadal tu jest, każ komuś go obserwować, a w razie potrzeby śledzić. Nie rób nic, dopóki nie wydam ci stosownego polecenia.

- A co ty w tym czasie zamierzasz robić? - Adam nie krył złości. Jego ton miał przypomnieć Willowi, że jako starszy brat i zarazem dziedzic tytułu oczekuje należnego szacunku.

- Zamierzam osiedlać Jupitera i wrócić do domu wierzchem. - Gestem uniesionej dłoni powstrzymał spodziewany protest. - Nie będę słuchał głupot o tym, że jestem za słaby na siedzenie w siodle. Jak widać, Jupiter nie ma zwyczaju zrzucać mnie z grzbietu.

Ironia zawarta w ostatniej uwadze zaskoczyła nie tylko Adama, ale i pozostałych obecnych przy rozmowie mężczyzn. A koń odpowiedział na nią radosnym rzeniem.

Will pogłaskał konia po czole.

- Nie śmieć się ze mnie, Jupi. Myślałem, że nie żyjesz. Odbyłem po tobie żałobę. A ty w tym czasie żarłeś owies i dokuczałeś stajennym. - Stojący obok ludzie patrzyli na lorda Felkirka, jakby na skutek niedawnego urazu postradał zmysły.

- Chodź - zwrócił się łagodniej do brata. - Proszę cię, zachowaj na jakiś czas dla siebie to, co usłyszałeś. Dzień, najwyżej dwa. Potrzebuję czasu, żeby się zastanowić i porozmawiać z... Justine. - Omal nie nazwał jej żoną. Cóż za gorzkie kłamstwo... - Przyślę ci wiadomość, jak już zdecyduję, co dalej. Nie masz się czym martwić. Teraz, kiedy orientuję się w sytuacji, nic mi nie grozi.

Nic mu nie groziło, ponieważ już wiedział, że nie należy się odwracać plecami do Justine de Bryun ani jej kochanka.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Nie wiem, po co się wysilasz, żeby mnie tego uczyć - powiedziała Margot, spoglądając na płataninę supłów, rezultat pierwszej próby dziergania koronki. - Ze wszystkich umiejętności, jakie chciałabym opanować dla uczczenia rodzinnej tradycji, ta akurat najmniej mnie interesuje.

Justine przygryzła wargę, starając się ukryć rozczarowanie. Margot nadal mówiła o sklepie i chęci powrotu do Bath, jak tylko Montague wyrazi na to zgodę. Choć młodsza siostra zaprzeczała, by czuła jakąkolwiek więź z ojcem, którego nigdy nie poznała, najwyraźniej odziedziczyła po nim żyłkę do interesów.

- Lepiej, żebyś rozwijała talenty, które pomogą ci zdobyć męża. Z pomocą lady Colton i ze wsparciem księżnej Bellston tegoroczny sezon...

- ...pozostanie pięknym marzeniem, ma się rozumieć - dokończyła za nią Margot i parsknęła śmiechem. - Żaden dżentelmen nie zechce poślubić córki kupca.

- Uchodziłabyś również za osobę należącą do rodziny Felkirków - przypomniała jej Justine.

Margot spojrzała na siostrę ze zdumieniem.

- Przecież wiesz, że do niej nie należę. Zapomniałaś już, co mi wyjawiałaś zaledwie wczoraj? W rzeczywistości nie jesteś żoną lorda Felkirka.

Justine na pewien czas rzeczywiście o tym zapomniała. Trudna prawda coraz bardziej się rozmywała z każdą nocą spędzaną w łóżku Willa. Tego dnia pamiętała jedynie słodkiego całusa, którym ją pożegnał rano. Wyjechał powozem razem z bratem, wspominając o możliwości zakupu konia.

Uważała, że to dobry pomysł. Will wciąż tęsknił za wierzchowcem, którego stracił. Choć żadne inne zwierzę nie mogło w pełni zastąpić Jupitera, Justine wolała, żeby ta niemożliwa do wyjaśnienia część przeszłości Willa pozostała nieruszana.

Znów zaczynała myśleć jak żona. Gdyby miłość wystarczała do przypieczętowania małżeństwa, byłaby stuprocentową żoną.

- Na chwilę obecną masz rację - przyznała. - Nie jestem żoną Willa, ale miałaś słuszność, mówiąc, że muszę znaleźć sposób, żeby mu to wszystko wytłumaczyć. Bo bardzo chcę... - Znów przygryzła wargę. Żałowała, że nie poznali się tak, jak sobie to wyobrażała w marzeniach. Jak miała mu wyznać prawdę?

- Kochasz go? - spytała cicho Margot.

- Bardzo. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Bardzo się boję, że kiedy wyjdzie na jaw, co zrobiłam...

wzbudzając podejrzeń.

- Margot, idź do swojego pokoju.

Mogła przynajmniej nie dopuścić do tego, by zobaczył młodszą podopieczną. Nie spodziewała się, że napotka opór z jej strony.

- Ani myślę. - Dla potwierdzenia swojej decyzji Margot wygodniej ułożyła się w fotelu.

- Pozostanie tutaj jest nierozsądne. Nie dostałyśmy jego zgody na twój przyjazd ze szkoły. Prawdopodobnie będzie na nas zły.

- Zły na ciebie, chciałaś chyba powiedzieć. - Margot uśmiechnęła się przewrotnie. - Zawiniłaś o wiele bardziej niż ja, oszukując tę nieszczęsną rodzinę i wywabiając mnie z internatu.

- To nie tak - wyszeptała z rozpaczą Justine.

Wróg był tak blisko, że wręcz mógł słyszeć ich kłótnię przez otwarte okno. Margot wskazała na nie machnięciem.

- To jemu należą się wyjaśnienia, nie mnie. Ponieważ od rana próbujesz mnie zniechęcić do moich życiowych celów, nie zamierzam chować się pod łóżko, żeby pomóc ci się z tego wyplątać.

Justine usłyszała pukanie do drzwi; ochmistrz otworzył i wysłał lokaja, żeby zapowiedział gościa.

- Margot, proszę cię, nic nie rozumiesz...

- Ale to się wkrótce zmieni. Wszyscy zrozumiemy o wiele więcej, jeśli porozmawiamy ze sobą szczerze. A teraz pozwól wprowadzić naszego opiekuna, bo inaczej zawołam do niego, że jestem przetrzymywana wbrew mojej woli.

Justine bezwiednie ścisnęła poduszkę do koronek, zastanawiając się gorączkowo, jak powinna postąpić. Nawet najlepsza służba nie stroniła od plotek. Nie mogła robić scen. Kiedy więc lokaj zaanonsował Montague'a, skinęła głową. Zaraz potem ich prawny opiekun wszedł do pokoju i uniósł brwi ze zdziwienia na widok Margot. Następnie spojrzał wymownie na lokaja. Nie zamierzał mówić, dopóki nie zostaną sami.

Jaką ochronę mógł im, w razie potrzeby, zaoferować nieszczęsny sługa? Miał nie więcej niż trzynaście lat i przy Montague'u wyglądał jak chuchro. Justine odprawiła go, prosząc, by drzwi pozostały zamknięte.

Montague bez zaproszenia zajął krzesło, co miało dać obu kobietom do zrozumienia, że uważa się za pana sytuacji.

- Dobrze rozegrane, Justine - zaczął. - Teraz rozumiem, dlaczego ignorujesz moje listy, w których domagam się spotkań.

Usłyszała radosny śmiech Willa, który trzymał w garści odnalezione kamienie. Obstukała jeszcze wykuty przez siebie otwór, by mieć pewność, że nic więcej w nim nie zostało. Następnie dotknęła diamentów, wyczuwając krawędzie fasetkowego szlifu. Gdyby miała przy sobie jubilerską lupę i przyjrzała się dokładnie, bez wątpienia rozpoznałaby pracę ojca, tak samo jak na kamieniach trzymanyh w sejfie przez Montague'a.

Popatrzyła na aksamitną sakiewkę zwisającą jej z lewego nadgarstka. Otworzyła ją, żeby Will mógł wsypać kamienie do środka, a potem ściągnęła sznurek. Chciała mu ją oddać, ale odmówił.

- Trafiły do ciebie, czyli tam, gdzie ich miejsce.
- Niezupełnie - rozległ się głos za ich plecami.

w ręce, rzucała cienie na ściany, sufit i na jego twarz. Był bardzo blady, ale przynajmniej żył. Poruszał ustami, jednak nie zdołała usłyszeć, co mówił. Łatwiej jej było zamknąć oczy i pomyśleć o czymś innym.

